MIESIĘCZNIK

Fantastyka

3(6) marzec 1983 Cena 50 zł



Janusz Giniewski

Z okazji 8 Marca

kobiety – autorki, kobiety – bohaterki

PIERWSZY I NIEUSTAJĄCY KONKURS „FANTASTYKI"

Poszukując talentów w tak szerokiej a specyficznej dziedzinie twórczości, jaką jest science fiction, ogłaszamy nieustający konkurs na

prozę (nowela, powieść) i poezję SF

oraz na

grafikę i malarstwo SF

Prace mogą przesyłać zarówno osoby zajmujące się zawodowo pisarstwem i plastyką, jak i amatorzy – pod adresem naszej redakcji z dopiskiem Konkurs. Nagrodzone prace drukowane będą w „Fantastyce" i honorowane według przyjętych stawek autorskich, wyróżnieniem zaś będzie otrzymanie od redakcji książek z dziedziny SF oraz wymienienie nazwiska osoby wyróżnionej na łamach pisma.

Zastrzegamy sobie drukowanie nagrodzonych prac w całości lub we fragmentach. Powinny być oryginalne i nigdzie dotychczas nie publikowane.

Oczekujemy i zapraszamy. Każda praca będzie skrupulatnie oceniana przez grono specjalistów.

W tym numerze na okładce ilustacja Janusza Giniewskiego z Wrocławia wybrana z prac nadesłanych na nasz konkurs.

NAGRODY x NAGRODY x NAGRODY x NAGRODY x NAGRODY x NAGRODY x NAGRODY

Pomimo wcześniejszych protestów i niezdrowych sensacji, jakie wzbudziła wywołana przez Lisę Tuttle dyskusja wokół zasad przyznawania jednej z dwóch najbardziej liczących się w światowej SF nagród, SFWoA ogłosił wyniki głosowania na Nebula Award 1982. Laureatami nagrody zostali:

Gene Wolfe za powieść ***„The Claw of the Conciliator"***
Poul Anderson za minipowieść: ***„The Saturn Game"***
Michael Bishop za nowelę ***„The Quickening"***
Lisa Tuttle za opowiadanie ***„The Bone Flute"***

Zgodnie z wcześniejszą zapowiedzią Lisa Tuttle nagrody nie odebrała.

Nagrody magazynu Locus za rok 1982 otrzymali:

Julian May za najlepszą powieść SF ***„The Many-Coloured Land"***
Gene Wolfe za najlepszą powieść fantasy ***„The Claw of the Conciliator"***
John Varley za minipowieść: ***„Blue Champagne"***
George R. R. Martin za nowelę ***„Guardians"***
John Varley za opowiadanie ***„The Pusher"***
Robert Lynn Aspirin za antologię ***„Shadows of Sanctuary"***
George R. R. Martin za tomik opowiadań ***„Sandkings"***
Stephen King za książkę krytyczną ***„Danse Macabre"***
Michael Whelan za twórczość plastyczną w dziedzinie SF
„The Magazine of Fantasy and Science Fiction" dla najlepszego pisma SF.


Ryszard Wojtyński

W następnym numerze:
- **„Ziemia Ozyrysa" Wolfganga Jeschke**
- **„Przełęcz" Kiryła Bułyczowa**
- **Dwie polskie nowele SF**



18, 21

– Od wampirów niszczących podstępnie mężczyzn – po romantyczne postaci, stanowiące natchnienie bohaterów. Kobiety w literaturze fantastycznej to przebogata w swojej rozmaitości galeria, dająca pole do wielu interesujących obserwacji.

Susan Wood „Księżniczki i emancypantki"
Andrzej Niewiadowski „Romantyczne widzenie świata

...3...2...1...



Czasem rozumiem Lema, pojmuję dlaczego ten główny twórca rodzimej fantastyki, sława już ponadczasowa za stworzenie „Astronautów" i „Solaris", za podróże kosmiczne Ijona Tichego i za „Summa technologiae" – odżegnuje się od gatunku, z którego czerpał rozgłos. Tak, rozumiem Lema. Przeczytałem jednym tchem całą dawkę fantastyki, całą tę ogromną porcję – nasz prezent dla Czytelniczek z okazji Dnia Kobiet. Na to święto, które kosym okiem śledzi lwia część płci brzydkiej.

Zacznijcie, proszę, konsumować nasz superprezent (i one, i oni) najlepiej od perfidnej powieści „Houston, Houston...".

Napisała ją kobieta, choć w podpisie udaje mężczyznę, pani profesor, uczona, starsza dama. Hic mulier. Perfidna pomysłowość twórców science fiction obojga płci zawsze nam daje po łbie, każe też oczom rozwierać się szeroko ze zdziwienia, przerażenia, czy bólu od czytania jednym tchem, z odrazy lub ze wściekłości. Pogodniejszych doznań nie wyliczam, gdyż zdarzają się rzadko. Nie liczcie na nie zbytnio w tym świątecznym melanżu. Raczej przygotujcie się państwo do podróży trudnej, choć interesującej, przez światy niby podobne do naszego, do spotkań z istotami prawie takimi jak my, lecz także – w swym podobieństwie – innymi. A my wśród tej przygody przestajemy wierzyć w swą identyczność w czasie. Fantastyka zawsze bywa karykaturą marzeń ludzkich. Zanurzając się w marzeniach, w fikcji stającej się rzeczywistością i prawdą, próbujemy wytrzymałości swych charakterów, uczuć, umysłów. To wówczas gwałtownie budzi się przemożna chęć fugi – ucieczki za wszelką cenę. Dokąd?

Od wyimaginowanych światów wracamy, pełni nostalgii, do tego co nas otacza na co dzień i co nagle wydaje się piękniejsze, milsze, lepsze od własnych i cudzych wydumań. A więc trzeba umieć przeżywać fikcję, aby odczuć codzienność jako świat optymalny. Cieszy wówczas wszystko co zwykłe, proste. Czy choćby dla takich powrotów nie warto się wgłębiać w fantastykę, może ona w ogóle po to jest, może dlatego stała się tak potrzebna czy pożądana? Jak długo można bowiem przebywać wśród potworów, żywo przypominających nas samych? Lecz czy potworów można się w ogóle pozbyć i za jaką cenę?

Myślę, że niewielu zdecydowałoby się na cudowne, spowolnione bytowanie, proponowane przez Hiszpankę, jakże romantyczną, Terese Inglés, w „Alabastrowym ogrodzie". Bytowanie niemal wieczne w postaci niby-pomnika: dwa ciała, dwie dusze wtopione w jedność alabastrowego tworzywa.

Dramatycznym protestem przeciw wizji, która mogłaby się spełnić, wizji świata palonego, niszczonego, deptanego, świata do jakiego nie powinniśmy się w ogóle zbliżyć, jest opowiadanie autorki wysoko nagradzanej – Jane Cherryh – zatytułowane „Kasandra". Bohaterka ciągle przeżywa identyczną tragedię. Rzeczywistość wojenna raz bywa fikcją, to znowu staje się rzeczywistością i obie te wartości wymieniają się, któż z nas bywa wolny od takiego miotania się. Science fiction ze swoim absurdalnym sztafażem uwypukla, uzewnętrznia najdrastyczniejsze zakątki naszej natury. Różnych przy tym używała i używa sposobów.

Mamy w dzisiejszej wspólnej podróży skok w modę SF z lat dwudziestych-trzydziestych, którą od czasu do czasu unaoczniają nam lub też „oddźwięczają" massmedia, przypominając figury, melodie i słowa starych tang, w rodzaju „jak pantera, co w złotej klatce śpi, pręży swój złocisty kark" itd, itd. Takie pantery, meduzy, czy gorgony, wysysające siły z biednych panów, opisywała też klasyczka gatunku SF Catherine L. Moore. Odwiedzamy wraz z nią tę epokę, aby poznać tajemniczą Shambleau, uwodzącą kosmitów o manierach iście kowbojskich. Otóż i mamy jakby ułamek tych nastrojów i wyobrażeń, z których wiele przetrwało do dziś w budowie np. „Gwiezdnych wojen". Kto nie zna tego filmu?

Oprócz utworów pań z Zachodu prezentujemy także naszą pisarkę (młodą) Emmę Popiss. Ukazuje ona fragment paskudnego świata mężczyzn (jakżeż by inaczej).

I jeszcze jedna pani: Amerykanka Susan Wood w swoim eseju ukazuje emancypację i upadki bohaterek horrorów, fantasies czy space operas na drugiej półkuli. Za to Andrzej Niewiadowski, szef naszej krytycznej fali, demonstruje wysublimowany, romantyczny portret bohaterki scjentyficznych opowieści w rodzinnym kraju. I zaczyna od fantastyki w wydaniu... Mickiewiczowskim. Naprawdę! W części krytycznej normalna porcja recenzji, w „Słowniku polskich autorów fantastyki" – Czesław Chruszczewski, nieżyjący już znany twórca poznański.

W sumie, w maszynopisie, ponad dwieście stron bitego tekstu. Grubo ponad dwieście. I oto zjawisko warte ze wszech miar odnotowania i zastanowienia. W epoce ucieczki od czytelnictwa, na którą skarży się świat cywilizowany, w czasach oczu przymurowanych do ekranów TV, uszu do słuchawek czy głośników ogłuszających muzyką, w świecie w którym tyle się dzieje – ludziska mają u nas chęć na pochłanianie pisma, którego nie najsilniejszą stroną są ilustracje.

W listach czytelniczych zaskakuje zawsze ogromny rozrzut wieku: „mam tyle lat, a jeszcze bardzo mnie interesuje ten gatunek" albo „jestem nastolatkiem, a już pasjonuje mnie SF", Sprawa warta studiów naukowych; uczeni przechodzą jednak obok niej obojętnie lub czasem jedynie trochę zaciekawieni. Większość już nie wierzy bowiem w oddziaływanie słowa pisanego, w jego wpływ na psychikę. Dla wielu być może po staroświecku zabrzmi więc cytat – „Każdy postęp w rozwoju umysłu ludzkiego, wszystkie jego zdobycze narodziły się kiedyś wśród tych wątłych badylków, wschodzących na karcie papieru. Krople atramentu biegną w żyłach kultury". Podpisuję się całym sercem pod tym cytatem z „Alchemii słowa" Jana Parandowskiego, choćbym miał się wydać najbardziej staroświecki.

10 – 9 – 8 – 7 – 6 – 5 – 4 – 3 – 2 – 1 – 0

Adam Hollanek

fantastyka

miesięcznik literacki

02-784 Warszawa, ul. Służby Polsce 2
tel. 43-88-91 (łączy wszystkie działy)
Redaguje zespół:
Adam Hollanek (red. nacz.), Leszek Bugajski, Sławomir Kędzierski, Andrzej Krzepkowski (kier. działu ogólnego), Marek Kubala, Maciej Makowski (kier. działu techn.), Wiktor Malsk (sekr. red.), Tadeusz Markowski (z-ca red. nacz.), Andrzej Niewiadowski (kier. działu krytyki), Maciej Parowski (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (kier. działu zagr.), Marek Rostocki (kier. działu nauki), Krzysztof Szolginia, Andrzej Wójcik (z-ca red. nacz.).
Opracowanie graficzne: Andrzej Brzezicki i Marek Załejski

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Nowakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93, Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-56-26. Cena prenumeraty: kwart. 150 zł, półr. 300 zł, rocznie 600 zł.

Warunki prenumeraty:

● dla zakładów pracy

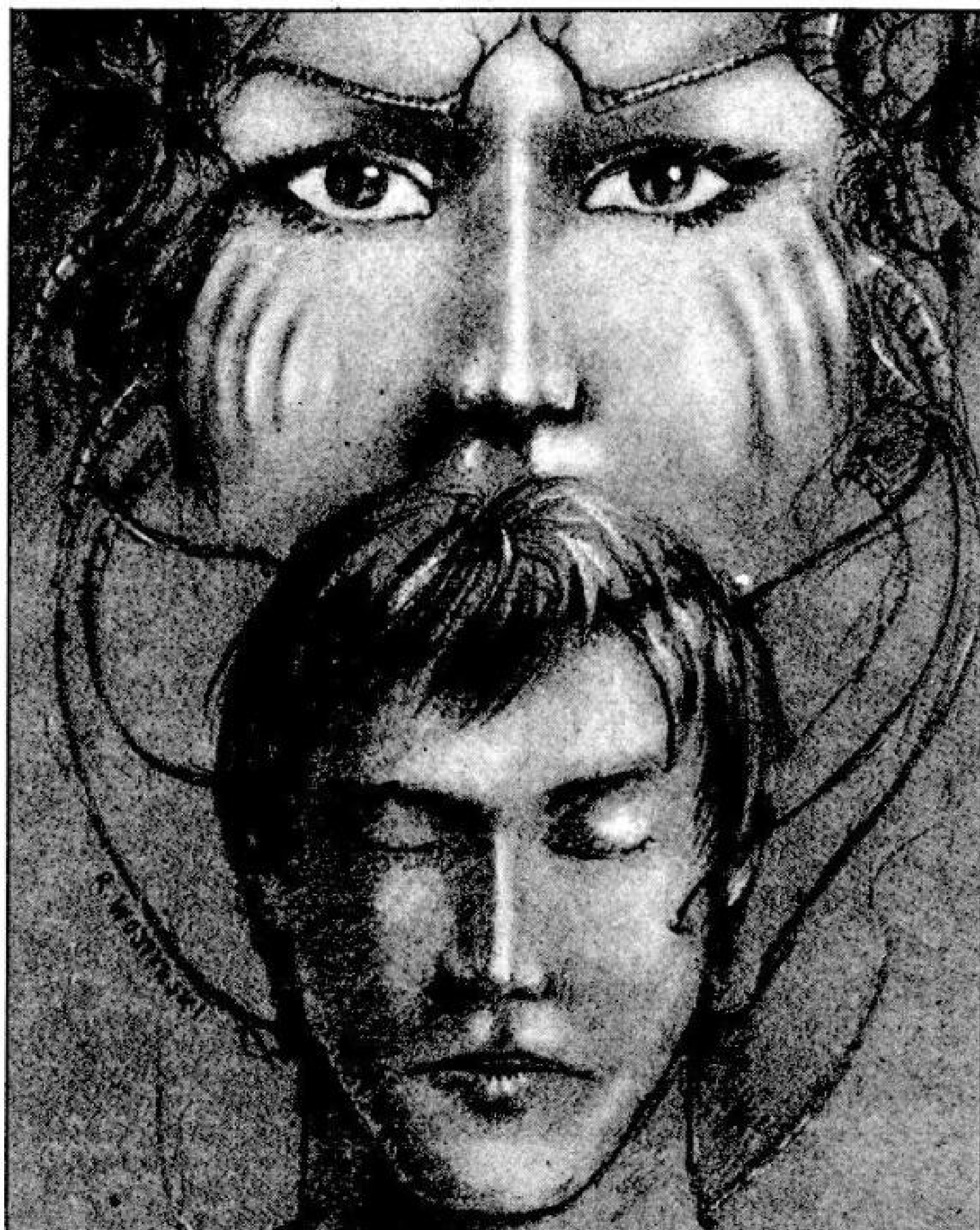
– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", zamawiają prenumeratę w tych oddziałach,
– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy.

● dla prenumeratorów indywidualnych

– osoby zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u listonoszy
– osoby zamieszkałe w miastach – siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych, przy użyciu „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy: Przedsiębiorstwo Upowszechniania Prasy i Książki w Łodzi, ul. Kopernika 53, nr konta NBP I O/M Łódź nr 47018-1603

● prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Skład: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72
N. 150 000 egz. Druk i oprawa: P. Z. Graf. Łódź. Zam. 385/83/M-6



Ryszard Wojtyński

Shambleau

(Shambleau)

Catherine L.
MOORE

— Shambleau!... Shambleau!!

Dziki wrzask tłumu odbijał się od murów wąskich ulic Lakkdarolu, a tupot ciężkich butów na czerwonej lawie bruku złowrogo towarzyszył narastającemu rykowi:

– Shambleau! Shambleau!

Northwest Smith usłyszał zbliżanie się tego rumoru. Jednym susem schronił się w najbliższym zagłębieniu muru i zacisnął dłoń na kolbie pistoletu termicznego. Jego blade, pozbawione blasku oczy zwęziły się. Taki hałas był dość powszedni na ulicach najnowszej ziemskiej kolonii na Marsie, w której w każdej chwili mogło się przydarzyć najgorsze. Northwest Smith, którego imię znano i szanowano we wszystkich spelunkach na pół tuzinie planet, był jednak, wbrew swojej reputacji, człowiekiem ostrożnym. Oparł się mocniej o mur i pewniej ujął pistolet termiczny, nadsłuchując zbliżających się krzyków.

W tym momencie dostrzegł postać biegnącą zygzakiem od bramy do bramy po wąskiej uliczce. To była dziewczyna lub młoda kobieta, opalona na heban, ubrana w strzępy oślepiająco szkarłatnej sukienki. Biegła ostatkiem sił i wyraźnie było słychać jej ciężki oddech. Zobaczył jak zatrzymała się i, oparta ręką o mur, szukała oszalałym wzrokiem jakiegoś schronienia. Nie mogła dostrzec Smitha ukrytego w cieniu załomu, ponieważ jednak wrzask tłumu nasilał się, skoczyła w kąt tuż koło niego.

Kiedy dostrzegła go: wysokiego, o ogorzałej twarzy, stojącego spokojnie z ręką opartą na kolbie pistoletu termicznego, wydała z siebie nieartykułowany dźwięk i runęła mu pod nogi, tworząc szkarłatno–hebanowy kopczyk z prześwitującą nagością skóry.

Smith nie widział jej twarzy, ale po sylwetce sądząc to była kobieta. Zgrabna i w niebezpieczeństwie. Nie miał w sobie niczego z rycerza, ale widząc ją leżącą w pozie pełnej poddania poczuł jak drgnęła w nim struna wibrująca w charakterze każdego Ziemianina – litość dla ciemiężonego. Delikatnie przesunął ją za siebie, wyjął z kabury pistolet i dokładnie w tym samym momencie pierwsi z galopującej sfory skręcili w jego stronę. Była to typowa mieszanka zamieszkująca Lakkdarol: Ziemianie, Marsjanie, kilku Wenusjańczyków z bagien i dziwni faceci z nieznanych planet.

– Szukacie czegoś?

Szydercze pytanie Smitha przebiło się bez trudu przez wrzask. Zatrzymali się jak wryci. Wrzaski zamarły na chwilę, w czasie której tłum kontemplował scenę. Wysoki Ziemianin w skórzanym kombinezonie nawigatora kosmicznego, spalony prażącym słońcem wielu planet, o złowrogo bladych, bezbarwnych oczach osadzonych w pooranej licznymi szramami twarzy, z pistoletem w dłoni, osłaniający szkarłatną dygoczącą za nim dziewczynę.

Szef tej bandy – barczysty Ziemianin ubrany w skórzany strój, z którego zerwano insygnia Straży Międzyplanetarnej – przyglądał mu się badawczo z wyrazem dziwnego niedowierzania na twarzy. Wreszcie z jego ust wydobył się głęboki ryk:

– Shambleau! – po którym rzucił się do przodu. Tłum podchwycił ten okrzyk i ruszył za nim.

Smith stał z ramionami skrzyżowanymi na piersi, nonszalancko oparty o mur. Mogłoby się wydawać, że nie jest w stanie wykonać żadnego ruchu. Kiedy jednak przywódca bandy wykonał pierwszy krok w jego stronę, broń trzymana dotychczas na lewym ramieniu zatoczyła półkole i błękitnawy rozbłysk zakreślił na bruku ognistą linię. Był to stary gest, którego znaczenie zrozumiał każdy. Pierwszy rząd ścigających cofnął się pośpiesznie, powstrzymując napierający tłum. Przez moment nie wiedzieli co mają zrobić. Facet w mundurze Straży podniósł zaciśniętą pięść i podszedł do wypalonej linii, ale tłum za jego plecami wahał się.

– Przejdziesz tę linię? – zapytał Smith z groźną słodyczą w głosie.

– Chcemy dziewczynę.

– Przyjdź i weź ją sobie.

Smith szyderczo zaśmiał mu się w nos. Czuł unoszące się w powietrzu niebezpieczeństwo, ale jego zuchwałość wbrew pozorom nie miała w sobie nic z szaleństwa. Miał duże doświadczenie z tłumem i w tym wypadku nie czuł żądzy mordu. Żaden pistolet nie pojawił się w tłumie. Z niezrozumiałą zaciekłością chcieli głowy tej dziewczyny, ale nie wyczuwał w nich żadnej agresji wymierzonej przeciwko niemu. Mógł przypuszczać, że najbliższy kwadrans będzie niezbyt sympatyczny, ale jego życiu nic nie zagrażało. W przeciwnym razie już dawno w rękach jego przeciwników pojawiłyby się pistolety. Opierając się nonszalancko o mur uśmiechnął się szyderczo do tego wściekłego Ziemianina. Z tłumu dały się słyszeć niecierpliwe głosy.

– Czego od niej chcecie? – zapytał.

– To Shambleau! Shambleau, idioto! Zajmiemy się nią. Nie zostawia się tego przy życiu. Wyłaź stamtąd.

Ta nazwa nic mu nie mówiła, ale kiedy banda znowu zaczęła sie zbliżać, upór Smitha spotęgował się jeszcze bardziej.

– Daj nam Shambleau! Wykop ją stamtąd.

Smith porzucił swoją nonszalancką pozę, stanął mocno na nogach i skierował broń w stronę tłumu.

– Cofnijcie się – krzyknął – ona jest moja. Cofnijcie się!

Nie zamierzał strzelać, bo wiedział, że jeżeli pierwszy nie zacznie, to oni również pierwsi nie użyją broni. Poza tym nie miał ochoty dać się zabić dla jakiejś tam dziewczyny. Spodziewał się jednak mało przyjemnej dla siebie bijatyki. Tymczasem banda nagle zafalowała i ku jego zdziwieniu wydarzyła się rzecz, z którą nigdy dotąd się nie zetknął. Ci, którzy stali najbliżej cofnęli się nieco. Nie ze strachu, ale z wyrazem ewidentnego zaskoczenia.

– Twoja?! Ona jest twoja? – zypytał eks-strażnik głosem, w którym zdumienie brało górę nad wściekłością.

Smith rozstawił szerzej nogi i wycelował w niego.

– Tak – powiedział. – Zatrzymuję ją. Cofnijcie się!

Mężczyzna patrzył na niego w milczeniu, a na jego twarzy rysowały się wstręt, obrzydzenie i niedowierzanie. Zdumiony powtórzył:

– Twoja?

Nagle cofnął się. Cała jego postać, każdy gest wyrażał głęboką odrazę. Machnął ręką w stronę tłumu i powiedział:

– To jest... jego! – Tłum nagle ucichł i rozstąpił się. Na twarzach wszystkich pojawił się ten sam wyraz najwyższej pogardy. Wielkolud splunął na bruk i odwrócił się.

– Zatrzymaj ją sobie – rzucił przez ramię – ale nie pozwól, żeby włóczyła się po mieście.

Smith stał niczego nie rozumiejąc. Tłum, teraz już tylko pogardliwy, zaczął się rozchodzić. Smith zupełnie nie mógł uwierzyć, że ta krwiożercza nienawiść mogła się tak nagle rozwiać. Najbardziej zastanawiała go ta dziwna mieszanina wstrętu i pogardy na ich twarzach. Lakkdarol nie miał w sobie nic z purytańskiego miasteczka... Trudno było choć przez chwilę przypuszczać, że zatrzymując tę dziewczynę mógł spowodować taką niechęć. Gdyby przedstawił się jako kanibal lub wyznawca Pharola wzbudziłby mniejszą odrazę niż ta, której doświadczył przyznając się do dziewczyny.

Oddalili się od niego pośpiesznie, jakby jego nieznany grzech był zaraźliwy. Ulica pustoszała tak szybko, jak się zaludniła. Na rogu dostrzegł jeszcze Wenusjańczyka, który szyderczo rzucił przez ramię „Shambleau!". Słowo to wywołało w umyśle Smitha szereg skojarzeń. Pochodziło chyba z francuskiego. W ustach Wenusjańczyka brzmiało dość dziwnie. Jeszcze dziwniejszy był ton z jakim je wypowiedział. „Nie zostawia się tego przy życiu" przypomniał sobie słowa eks-strażnika. Przywodziło to na myśl, niewyraźnie zresztą, jakieś zdanie ze starej książki: „Nie spoczniesz, dopóki nie zabijesz czarownicy". Uśmiechnął się na to skojarzenie i w tym momencie poczuł dziewczynę blisko siebie.

Podnosiła się bezgłośnie. Odwrócił się do niej chowając pistolet i przypatrując się jej z ciekawością, bez żenady, tak, jak patrzy się na coś, co nie jest całkowicie człowiekiem. Dziewczyna nim nie była. Dało się to dostrzec na pierwszy rzut oka, mimo że jej brązowe ciało należało do kobiety. Szkarłat odzienia nosiła ze swobodą, którą rzadko kiedy odznaczają się inni nie-ludzie. Oczy miała całkowicie zielone, jak świeża trawa, o podłużnych kocich źrenicach. Ich głębia kryła posępną, zwierzęcą mądrość... Był to wzrok zwierzęcia wiedzącego więcej niż człowiek.

Jej twarz pozbawiona była brwi i rzęs i Smith mógłby przysiąc, że pod szkarłatnym turbanem przykrywającym głowę nie było włosów. Dziewczyna miała po cztery palce u rąk i nóg zakończone zakrzywionymi pazurami, które chowały się pod skórę jak u kota. Wysunęła różowy, płaski i wąski język i z trudnością zaczęła mówić:

– Nie mieć strachu... teraz.

Miała małe, białe, ostro zakończone ząbki.

– Co takiego zrobiłaś? Czego chcieli? – zapytał zaciekawiony – Shambleau, to twoje imię?

– Ja nie mówić twój język – odparła z wahaniem.

– No to spróbuj. Chciałbym wiedzieć dlaczego cię gonili? Będziesz teraz bezpieczna czy lepiej będzie jeśli gdzieś wejdziemy? Wydawali się groźni.

– Pójdę z tobą – mówienie sprawiało jej kłopot.

– Co mówisz? – Smith uśmiechnął się. – Właściwie czym ty jesteś? Robisz na mnie wrażenie małego kotka.

– Shambleau – odrzekła posępnie.

– Gdzie mieszkasz? Jesteś Marsjanką?

– Pochodzę z daleka... z kraju... z czasu.... bardzo daleko.

– Poczekaj. Coś tu jest nie tak. Nie jesteś Marsjanką.

Wyprostowała się z godnością, podnosząc okrytą turbanem głowę. Wyglądała jak księżniczka.

– Marsjanką? – rzuciła z pogardą. – Mój lud jest... jest... Nie macie tego słowa. Twój język... trudny dla mnie.

– Jaki to język? Może go znam?

Spojrzała mu prosto w oczy i mógłby przysiąc, że dostrzegł w jej wzroku delikatne rozbawienie.

– Kiedyś... przemówię w moim języku – przyrzekła.

Na czerwonym bruku rozległ się stukot butów. Chwiejnym krokiem przeszedł Wenusjańczyk, rozsiewając zapach Segiru – wenusjańskiego alkoholu. Na widok czerwieni łachmanów dziewczyny odwrócił gwałtownie głowę i kiedy jego otępiały od alkoholu mózg zrozumiał wreszcie, że szkarłatna sylwetka nie jest złudzeniem, z bełkotem wyciągnął łapę by ją schwycić.

– Shambleau!

Smith odepchnął go z lekceważeniem.

– Idź swoją drogą – poradził mu.

Facet cofnął się i spojrzał na niego.

– Twoja? Cholera! Ale cię załatwiła.

I tak jak były strażnik, splunął na bruk, mamrocząc przekleństwa w swoim języku. Smith odprowadził go wzrokiem i poczuł narastający niepokój.

– Chodź – odezwał się ostro do dziewczyny. – Jeśli sprawa tak wygląda, to lepiej schowajmy się gdzieś. Gdzie chcesz, żebym cię zabrał?

Wynajął pokoik na peryferiach. W całym mieście, które wciąż było siedliskiem pionierów wywodzących się z różnych ras, warunki życia były właściwie identyczne. Smith wolał jednak, żeby jak najmniej wiedziano o jego wizycie. Spał już zresztą w najgorszych warunkach i wiedział, że jeszcze nie raz go to czeka.

Nikt nie widział jak z nią wchodził. Zamknął drzwi i oparty o framugę przyglądał się dziewczynie w milczeniu.

Dziewczyna ogarnęła pomieszczenie spłoszonym spojrzeniem: źle zasłane łóżko, chwiejący się stolik, pęknięte lustro wiszące na ścianie, nie pomalowane krzesła. Typowy

Catherine Lucille MOORE

urodziła się w 1911 roku w Indianapolis. Jako autorka opowieści fantastyczno-naukowych zadebiutowała w 1933 roku utworem „SHAMBLEAU" opublikowanym na łamach magazynu „World Fiction". W 1940 roku poślubiła swego kolegę po piórze Henry Kuttnera. Od tej chwili większość utworów piszą razem i publikują pod pseudonimami: Lewis Padgett, Keith Hammond, Lawrence O'Donnel. Po śmierci Henry Kuttnera w 1958 roku pisze dalej sama. Dziś uznawana jest za jedną z najbardziej znaczących postaci w amerykańskiej fantastyce lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Wśród najbardziej znaczących książek C. L. Moore wymienić należy: *„Doomsday Morning"*, *„Mutant"*, *„Robotes Have no Tails"*, *„Jirel of Joiry"*, *„Fury"*, *„Chessboard Planet"*, *„Earth's Last Citadel"*, *„Line to Tomorrow"*.

Szerokim rzeszom czytelników na świecie Catherine Moore znana jest przede wszystkim jako autorka cyklu *„Jirel of Joiry"*, której bohaterka zrodziła się jako przeciwwaga dla supermenów znanych z równoległej twórczości Doc Smitha.

pokój w jakimś ziemskim obozie na obojętnie której planecie. Zaakceptowała to niechlujstwo bez słowa, podeszła do okna i stała tak przez chwilę, patrząc ponad dachami parterowych domków na widniejący w dali czerwony krajobraz.
– Możesz tu zostać dopóki nie wyjadę z miasta – oznajmił sucho Smith. – Czekam na przyjaciela, który ma przylecieć z Wenus. Jadłaś coś?

Tak – ożywiła się dziewczyna. – Nie... będę potrzebowała jedzenia... przez jakiś czas.

– To dobrze – stwierdził Smith, rozglądając się po pokoju. – Wrócę wieczorem. Nie wiem o której. Możesz tu zostać lub odejść. Jak chcesz. Ale lepiej zrobisz, jeżeli zamkniesz za mną drzwi na klucz.

Powiedział to i wyszedł. Schodząc po schodach usłyszał trzask przekręcanego klucza. Nie sądził, że ją jeszcze kiedykolwiek spotka. Szybko zapomniał o dziewczynie zajęty własnymi problemami.

Lepiej nie wspominać o tym, co było celem jego wizyty w tym mieście. Każdy żyje tak, jak potrafi, a sposób życia Smitha polegał na ciągłym balansowaniu na granicy prawa i, z konieczności, na częstym jej przekraczaniu. Wystarczy wspomnieć, że obecnie interesował go najbardziej teren kosmoportu, na którym składowano towary gotowe do wysyłki. Warto również wspomnieć, że czekał na przyjaciela o imieniu Yarol i przydomku Wenusjańczyk, który był posiadaczem najszybszego w tym rejonie stateczku, mogącego z łatwością ośmieszyć dowolny statek Straży. Smith, Yarol i ich statek Maid tworzyli trójcę, stanowiącą przyczynę wielu zmartwień i siwych włosów wyższych oficerów Straży.

Wrócił późnym wieczorem pod wyraźnym wpływem pewnej ilości Segiru wypitego w różnych odwiedzanych lokalach. Przez pięć minut szukał klucza do drzwi zanim przypomniał sobie, że zostawił go dziewczynie. Zapukał. Nie usłyszał najmniejszego odgłosu zbliżających się kroków, ale drzwi otworzyły się. Dziewczyna w milczeniu wycofała się na swoje ulubione miejsce przy oknie. Pokój tonął w ciemnościach. Smith zapalił światło i oparł się o drzwi. Świeże powietrze otrzeźwiło go nieco i umysł miał już o wiele jaśniejszy.

– Jednak zostałaś – stwierdził, przyglądając się jej sylwetce odcinającej się na tle widocznego przez okno skrawka nieba.
– Czekałam...
– Dlaczego?

Nie odpowiedziała mu, ale jej usta wygięły się w powolnym uśmiechu. Gdyby była kobietą, stanowiłoby to dla niego wystarczającą zachętę. U Shambleau uśmiech ten miał w sobie coś żałosnego i okropnego zarazem. Był zbyt ludzki na tej półzwierzęcej twarzy. A przecież cała reszta... to ciało... jego miękkość i wygląd. Smith czuł narastające podniecenie. W końcu miał jeszcze kilka dni do przylotu Yarola.

– Chodź tutaj – powiedział już prawie trzeźwy.
Zbliżała się powoli na swoich pazurkach i zatrzymała się przed nim z opuszczonymi oczyma i ustami dygoczącymi w tym żałośnie ludzkim uśmieszku. Northwest Smith przycisnął ją gwałtownie do siebie. Pozwoliła na wszystko. Słyszał jej przyśpieszony oddech i czuł aksamitne dłonie na swoim karku. Wtedy spojrzał jej w twarz. Zobaczył zwierzęce oczy bez brwi i rzęs, i błysk czegoś, co było głęboko w tych oczach ukryte. Kiedy przytknął swoje usta do jej warg poczuł, że w najgłębszych zakamarkach jego duszy budzi się niewytłumaczalny bunt. Jakiś instynkt. Nie umiałby tego wyrazić słowami, ale samo dotknięcie tej aksamitnej skóry przyprawiało go o dreszcze. To tak, jakby usiłował się kochać ze zwierzęciem. Przez ułamek sekundy pojął, co reszta ludzi czuje na widok tej dziewczyny.

– Mój Boże – wyszeptał.
Wyrwał się z objęć, odpychając ją tak gwałtownie, że aż upadła. Sam cofnął się do drzwi ciężko dysząc i czując, że to niespodziewane obrzydzenie już mu mija.

Dziewczyna potoczyła się pod okno. Turban, który miała na głowie rozwinął się i odsłonił pukiel czerwonych włosów. Ich czerwień była równie niesamowita, nieludzka, jak zieleń jej oczu. Przyglądał się temu, potrząsając głową. Wydawało mu się bowiem, że ten pukiel czerwonych włosów drgał jak żywa istota.
Dziewczyna wsunęła go pod turban zupełnie kobiecym gestem i zakryła twarz rękoma. Miał jednak wrażenie, że wciąż obserwuje go przez palce.
Smith odetchnął głęboko i otarł pot z czoła. Dziwne uczucie zniknęło bez śladu.



Zygmunt Stanisław Nasiółkowski

– Muszę zbastować z Segirem – pomyślał bez przekonania. Czyżby sobie wydumał te czerwone włosy? W końcu była to tylko cudowna, hemoidalna istota. Jedna z wielu półludzkich ras zamieszkujących planety. Cudowne zwierzątko. Nic więcej.
– W porządku. Już mi przeszło – stwierdził. – Bóg mi świadkiem, że nie jestem aniołem, ale mimo wszystko są pewne granice.
Zdjął kilka koców z łóżka i rzucił je w najdalszy kąt pokoju.
– Możesz tam spać.
Dziewczyna bez słowa zaczęła je rozkładać, wykazując w każdym geście nieme, zwierzęce zrezygnowanie.

Tej nocy Smith miał dziwny sen. Wydawało mu się, że obudził się i coś – coś niewyobrażalnego – owinęło się wokół szyi jak giętki, wilgotny i gorący wąż. To coś leżało bezwładnie na jego skórze, dotykając go delikatnie, bardzo delikatnie, z pieszczotliwą lekkością. Cudowne ciepło

przenikało aż do najmniejszego atomu jego ciała, wzbudzając niewyobrażalną ekstazę. Ekstazę, która zabierała mu wszystkie siły. Potem nadeszło obrzydzenie, ohydne uczucie obcości, ale również towarzyszyła mu jakaś niezwykła delikatność. Próbował zerwać tę okropność ze swojej szyi, ale bez przekonania. Bo mimo najwyższego, nieznanego dotąd obrzydzenia, rozkosz była tak wielka, że ręce odmawiały mu posłuszeństwa. Kiedy wreszcie zwalczył tę niemoc, stwierdził z przerażeniem, że nie jest w stanie wykonać żadnego ruchu. Jego ciało zamieniło się w żyjący marmur. Marmur przeżywający rozkosz nie do opisania. Walczył tak przez długi czas. Wreszcie stracił do końca świadomość i pogrążył się w zapomnieniu, aż do chwili gdy przebudził się nad ranem.

Długo nie mógł sobie przypomnieć tego snu. Wiedział tylko, że to było okropniejsze i rozkoszniejsze zarazem niż wszystko, co dotąd przeżył. Wreszcie jego uwagę przyciągnęła dziewczyna, która również się obudziła. Przyjrzał się jej, lekko zawstydzony.

– Dzień dobry – powiedział. – Miałem piekielny sen. Jesteś głodna?

Pokręciła przecząco głową i mógłby przysiąc, że w jej oczach znowu skrywał się dziwny błysk rozbawienia.

– Co mam z tobą zrobić? – zaniepokoił się, ziewając. – Odlatuję za dwa, trzy dni. Nie będę cię mógł zabrać ze sobą. Może mi wreszcie powiesz, skąd jesteś?

Znowu pokręciła przecząco głową.
– Nie chcesz powiedzieć. Twoja sprawa. Możesz tu zostać dopóki nie odlecę. Potem musisz sama dać sobie radę.
Wstał z łóżka i zaczął się ubierać. Dziesięć minut później wyszedł.

Koszmar nocy rozproszył się na powietrzu. Smith ponownie musiał poświęcić się interesom. Przez kilka godzin włóczył się wokół kosmoportu, obserwując uważnie starty i lądowania oraz załadunek i rozładunek rozmaitych towarów. Odwiedził kilka barów, porozmawiał z kilkoma dziwnymi facetami. Wracając kupił różne rzeczy w sklepie spożywczym. Miał nadzieję, że dziewczynie coś spośród tych zakupów przypadnie wreszcie do gustu.

Pokój znowu był zamknięty na klucz i, jak poprzedniego dnia, pogrążony w ciemnościach.

– Czemu nie zapalisz światła – zapytał rozdrażniony, bo obił sobie kostkę, próbując dotrzeć do stołu.
– Światło... ciemność... to samo – mruknęła dziewczyna.
– Kocie oczy? Niech będzie. Przyniosłem ci coś do jedzenia. Wybierz sobie. Lubisz befsztyki?
– Nie mogę jeść twojej żywności – powiedziała cofając się.
– Nie ruszyłaś nawet tabletek z koncentratem – zdziwił się Smith.
Czerwony turban zakołysał się przeczącym gestem.
– A więc od dwudziestu czterech godzin nic nie jadłaś. Musisz być wygłodzona.
– Nie mieć głodu.
– Więc co mogę ci kupić? Jeszcze zdążę.
– Zjem – szepnęła szalenie cicho – już niedługo zjem. Nie... bój się.

Znowu odwróciła się w stronę okna. Smith rzucił jej niespokojne spojrzenie znad puszki z befsztykiem. Nie lubił takich sytuacji. W końcu doszedł do wniosku, że musiała po kryjomu zjeść trochę koncentratów. Zajął się befsztykiem.

– Jeżeli nie chcesz jeść, to nie – stwierdził filozoficznie, wyrzucając do śmieci pustą puszkę.
Dziewczyna wciąż stała przy oknie, przypatrując się mu w milczeniu. To wyprowadziło go wreszcie z równowagi.

– Czemu nie chcesz spróbować choć trochę? – zapytał zabierając się do puszki z gulaszem.
– To, co jem... lepsze – znowu odparła szeptem.

Ponownie odczuł w jej tonie fałszywą nutę. Wreszcie przypomniał sobie pewną historię sprzed tysiącleci, którą opowiadano sobie przy ogniskach. Odwrócił się razem z krzesłem, żeby lepiej ją widzieć i po raz pierwszy poczuł prawdziwy niepokój. Wywołały go jej niedopowiedzenia.
– Czym ty się żywisz? – zapytał, patrząc jej w oczy. – Krwią?

Przez moment wydawało się, że nie rozumie. Wreszcie coś, jakby grymas rozbawienia pojawiło się na jej ustach i odparła z odrazą:
– Bierzesz mnie za wampira?... Jestem Shambleau.
Bez wątpienia to podejrzenie ubodło ją i rozbawiło. Ale przecież wiedziała, o co mu chodzi. Przesądy, przesądami, ale słowo wampir nie było jej obce. Co więcej – rozumiała je. Smith nie był zabobonny ani przesądny, ale w swoim życiu widział już tak wiele rzeczy teoretycznie niemożliwych, że nie wątpił, iż najidiotyczniejsze legendy mogą zawierać w sobie cząstkę prawdy. A w tej dziewczynie było coś niesamowicie dziwnego.
Zastanawiał się nad tym wszystkim jedząc jabłka zebrane w marsjańskich kanałach, ale, mimo że na usta cisnęło mu się mnóstwo pytań, nie odezwał się, zdając sobie sprawę z bezsensu takiej próby.
Skończył wreszcie kolację i posprzątał po sobie, wyrzucając wszystko przez okno. Potem długo przyglądał się jej w milczeniu, dochodząc wciąż do tego samego wniosku – że jest cudownie zbudowana. Wreszcie położył się spać.
Późno w nocy nagle obudził się z głębokim przeświadczeniem, że dzieje się coś ważnego. Dziewczyna również nie spała. Siedziała na posłaniu i to co robiła, wywołało w nim uczucie przerażenia. A przecież, jak tyle innych dziewczyn, tylko rozwiązywała turban.
Kiedy wreszcie skończyła, Smith omal nie krzyknął. Jednak nie był wtedy pijany. Czerwone pukle jej włosów drgały jak żywe. I wtedy stało się coś, co miało być najstraszliwszym przeżyciem całego jego życia. Na głowie dziewczyny zaczęła rosnąć czerwona masa pukli, których przedtem nie było. Każdy z nich żył i rozwijał się niezależnie i wkrótce stworzyły na brązowym tle ciała czerwoną plamę czegoś żywego. Dziewczyna potrząsnęła głową w okropnej imitacji kobiecego gestu i pukle spadły jej prawie do kostek.
Wreszcie odrzuciła tę upiorną fryzurę do tyłu i Smith poczuł, że zaraz się odwróci w jego stronę. Bał się tak straszliwie, jak tylko może bać się człowiek, ale nie mógł odwrócić wzroku. Kiedy wreszcie popatrzyła na niego, poczuł, że ogarnia go paraliż. Jej zielone oczy napotkały jego spojrzenie.
Po chwili poczuł, że pogrąża się w przepaść oddania bez granic; potem na chwilę urok osłabł i dziewczyna uśmiechnęła się do niego. Wtedy zrozumiał, że ma do czynienia z Meduzą.
– Teraz przemówię do ciebie – szepnęła – w moim własnym języku... och mój kochany!
Zbliżała się do niego, wywołując dreszcze odrazy, ale była to perwersyjna odraza, która jednocześnie pragnęła przedmiotu swojej nienawiści. Objął jej ciało ramionami, czując na nich dotyk ohydnych włosów. Przycisnął to cudowne ciało do swojego i czerwone piekło zamknęło się nad nimi.

Na twarzy młodego Wenusjańczyka idącego po schodach wiodących do pokoju swojego przyjaciela widniała głęboka troska. Podobnie jak reszta jego pobratymców miał anielską buzię, która dla niejednego stała się przyczyną śmiertelnej pomyłki. Jedynie demoniczne zmarszczki wokół ust pozwalały domyślać się przeżyć, których doświadczył wraz ze Smithem podczas niezliczonych awantur. Awantur, które sprawiły, że dla oficerów Straży stał się on najbardziej, po Smithie, znienawidzoną osobą.
Przybył przed kilkoma godzinami do Lakkdarolu i znalazł wszystkie sprawy w tragicznym stanie. Z zasięgniętych dyskretnie informacji zorientował się, że Smitha nie widziano nigdzie od dwóch dni. To nie pasowało do jego przyjaciela. Obaj zbyt wiele ryzykowali w tej sprawie. Yarol znajdował tylko jedno wytłumaczenie: Smithowi musiało się przytrafić coś, co uniemożliwiło mu przybycie na spotkanie.
Wsadził duplikat klucza do zamka i ogarnięty coraz większym niepokojem otworzył drzwi. Od razu zrozumiał, że dzieje się tam coś niedobrego. Pokój pogrążony był w ciemnościach. Nic nie widział, ale czuł dziwny nieokreślony zapach: słodki i jednocześnie odpychający. Bardzo mgliście przypominało mu się coś, co opowiadano wśród wenusjańskich bagien.
Z ręką na kolbie pistoletu otworzył szeroko drzwi. Najpierw dostrzegł w mroku jakąś dziwną masę kłębiącą się



Ryszard Wojtyński

na łóżku. Kiedy oczy przywykły do ciemności dostrzegł, że masa ta poruszana jest od środka. Wyglądało to, jak kupa jakichś niesamowitych wnętrzności. Wtedy wyrwało mu się z ust straszliwe wenusjańskie przekleństwo. Jednym skokiem wpadł do pokoju z pistoletem w dłoni i oparł się o framugę drzwi dysząc i drżąc ze strachu. Yarol bowiem wiedział.

– Smith – krzyknął przerażonym głosem – Northwest!

Masa na łóżku poruszyła się, jęknęła i opadła.

– Smith? Smith! – powtarzał Yarol wibrującym i nalegającym głosem, coraz silniej walcząc z narastającym strachem.

Jakiś silniejszy wstrząs poruszył nagle wnętrznościami na łóżku i spod tej drgającej masy wyłoniła się skórzana kurtka nawigatora kosmicznego.

– Smith! Northwest! – Yarol wołał teraz bez przerwy.

Z niewiarygodną powolnością ze środka tego czegoś, co leżało na łóżku, pojawił się Smith, lub człowiek, który nim kiedyś był. Jego twarz przypominała twarz trupa o nieruchomych oczach przepojonych niezrozumiałą dla śmiertelnych niezwykłą ekstazą.

– Wstań, Smith! Wstań! – syczał teraz Yarol bez przerwy. Smith takim samym, powolnym ruchem podniósł się z łóżka. Zachwiał się lekko, podczas gdy dwie lub trzy macki pieściły jego łydki, jakby przypominając mu co traci.

– Odejdź... Zostaw mnie – odezwał się matowym głosem przepojonym pamięcią chwil, których nie dane było przeżyć innym.
– Smith! Słyszysz mnie?
– Odejdź. Odejdź. Odejdź.

Czerwona masa na łóżku zaczęła się podnosić. Yarol oparł się mocniej o framugę, przypominając sobie imię dawno zapomnianego boga. Wiedział, co zaraz się wydarzy. I ta wiedza wystarczała, żeby czuł się jak sparaliżowany. Macki wreszcie rozchyliły się nieco, ustępując miejsca półludzkiej twarzy o kocich oczach, które błyszczały w ciemności jak diamenty.

– Boże! – szepnął Yarol, zasłaniając oczy ramieniem. – Smith! Słyszysz mnie?
– Odejdź – odparł głos, który nie był jednak głosem Smitha.

Mimo że nie śmiał spojrzeć, wiedział, że istota odchyliła swoje okropne włosy. Czuł na sobie jej spojrzenie i słyszał w głowie jej głos nakazujący mu opuszczenie ramienia. Był stracony i wiedział o tym, ale to właśnie dodawało mu desperackiej odwagi. Mimo narastającego przerażenia nie stracił do końca głowy. Po omacku wyszukał ramię Smitha pokryte lepkim śluzem i w tej samej chwili poczuł, że coś niesamowitą pieszczotą owija mu się wokół kolana. Pierwsza fala odrażającej rozkoszy przeniknęła jego ciało. Zaraz potem nastąpiła druga i trzecia, w miarę jak kolejne macki dosięgały jego ciała. Tkwiąc już w oparach obłędu szarpał jednak oślizłą kurtkę Smitha, powtarzając w swoim rodzimym języku najgorsze przekleństwa.
Nagle dostrzegł kątem oka lustro i jakieś dawne wspomnienie otrzeźwiło go na chwilę. Ostatkiem sił, patrząc w odbicie w lustrze, wycelował pistolet i nacisnął spust. Stracił przytomność.

— Smith – zawołał z oddali głos Yarola – Northwest Smith, obudź się do cholery.
– Już... nie śpię – udało się wykrztusić Smithowi – Co się stało?

– Wypij to, durniu – powiedział Yarol poirytowanym głosem.

Smith wypił posłusznie. Segir przyjemnie palił mu gardło przywracając go do życia. Powoli wracała pamięć.

– Mój Boże! – krzyknął, usiłując się podnieść.
Był jednak tak osłabiony, że zaraz opadł na łóżko. Zakręciło mu się w głowie.

– Na Boga, Smith! Nigdy nie pozwolę ci o tym zapomnieć. Następnym razem, kiedy będę w kłopotach przypomnę ci to wszystko.

– W porządku. Nie zapomnę. Co właściwie się stało?
– Shambleau! Co ty z tym robiłeś? Skąd wzięło się to u ciebie?

– Co chcesz powiedzieć? – zapytał poważnie Smith.
– Nie wiedziałeś?

– Może mi najpierw powiesz, co wiesz na ten temat. I poczęstuj mnie jeszcze odrobiną Segiru.

– Nie padniesz od takiej dawki? Dobrze się czujesz?
– Chyba tak. Wytrzymam. Mów.
– Nie wiem jak zacząć. Nazywają je Shambleau...
– Więc jest ich więcej?

– To jakaś rasa, jak sądzę. Jedna z najgorszych. Nazwa ma brzmienie francuskie, prawda? Ale ich historia sięga początków życia. Shambleau zawsze istniały.
– Nigdy o nich nie słyszałem.

– Mało kto o nich słyszał. A ci, co wiedzą, niechętnie o tym mówią.

– A jednak połowa tego miasta je zna. Nie miałem wtedy najmniejszego pojęcia, o co im chodzi. Dalej nie mam pojęcia.

– Czasami się pojawiają, ale kiedy tylko ludzie się o tym dowiedzą, rozpoczyna się pościg. Potem mało kto o tym wspomina. To zbyt niewiarygodne.
– Skąd ona przyszła?
– Tego nikt nie wie dokładnie. Może z innej planety. Niektórzy mówią, że z Wenus – nawet w mojej rodzinie istnieje kilka dziwnych legend na ten temat. Nikt się nie orientuje czym one są. Nie są ludźmi, mimo że tak wyglądają. Ich normalny wygląd to chyba te macki. Przybierają postać kobiety, żeby wzbudzić w mężczyznach pożądanie, bowiem ich pożywieniem są męskie siły witalne. Ci, którzy przeżyją pierwszy posiłek, przyzwyczajają się do tego, jak do narkotyku. I przez całe życie zachowują przy sobie Shambleau. Zresztą trwa to bardzo krótko, bo śmierć następuje po kilku tygodniach.

– Zaczynam rozumieć, czemu ta banda nagle zapałała do mnie taką odrazą – mruknął Smith.
– Próbowałeś z nią... rozmawiać?
– Tak. Nie mówiła zbyt dobrze. Zapytałem skąd pochodzi. Powiedziała, że „z bardzo daleka w czasie i w przestrzeni".

– Istnieją od najdawniejszych czasów. Nikt nie wie, kiedy pojawiły się po raz pierwszy. Czy pamiętasz legendę o Meduzie? Bez wątpienia starożytni Grecy je znali. Czy to oznacza, że Ziemia była kiedyś zamieszkała przez inne rasy niż ludzie? A jednak Shambleau pojawiła się w Grecji przed tysiącami lat. Jak się o tym pomyśli, to można oszaleć. Przypomniałem sobie o tej legendzie w ostatniej chwili i to uratowało nam obu życie. Perseusz zabił ją posługując się miedzianą tarczą jako zwierciadłem, bo nie chciał spojrzeć jej prosto w oczy. Zastanawiam się, czy ten Grek, który opowiadał innym legendę o Meduzie mógł w najśmielszych marzeniach pomyśleć, że parę tysięcy lat później jego opowieść uratuje życie dwóm facetom na zupełnie innej planecie.

Wiemy o nich tak mało, że można tylko snuć przypuszczenia. Podejrzewam na przykład, że prowadzą wędrowny tryb życia. Pojawiają się raz tu, raz tam. Nigdy się o nich wszystkiego nie dowiemy. Wiem tylko, że kiedy poczułem pierwszą z tych macek na swojej nodze wcale nie miałem ochoty jej zerwać.

– Wiem – mruknął cicho Smith i pogrążył się we wspomnieniach ekstazy, którą przeżywał przez dwa dni, a która nauczyła go rzeczy, jakich nie można sobie wyobrazić w ciągu tysięcy lat.

– Mówisz, że one wracają? – odezwał się wreszcie. – A więc można sobie znaleźć jakąś inną?

Yarol przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu. Wreszcie przysiadł na brzegu łóżka i ujął dłońmi za ramiona.

– Smith – powiedział. – Nigdy cię o nic nie prosiłem, ale wiem, że mam prawo żądać byś dał mi słowo. Chcę, żebyś mi coś przyrzekł.

Blade oczy Smitha zamgliły się. Pojawiło się w nich całe cierpienie i cała rozkosz, którą przeżył. Wreszcie mgła ustąpiła i Smith znów był sobą.

– Śmiało – odparł niepewnym głosem – Przyrzeknę.
– Daj mi słowo, że jeżeli kiedykolwiek i gdziekolwiek napotkasz jeszcze w swoim życiu Shambleau, to wyciągniesz pistolet i spalisz ją w momencie, w którym przekonasz się, że to ona.

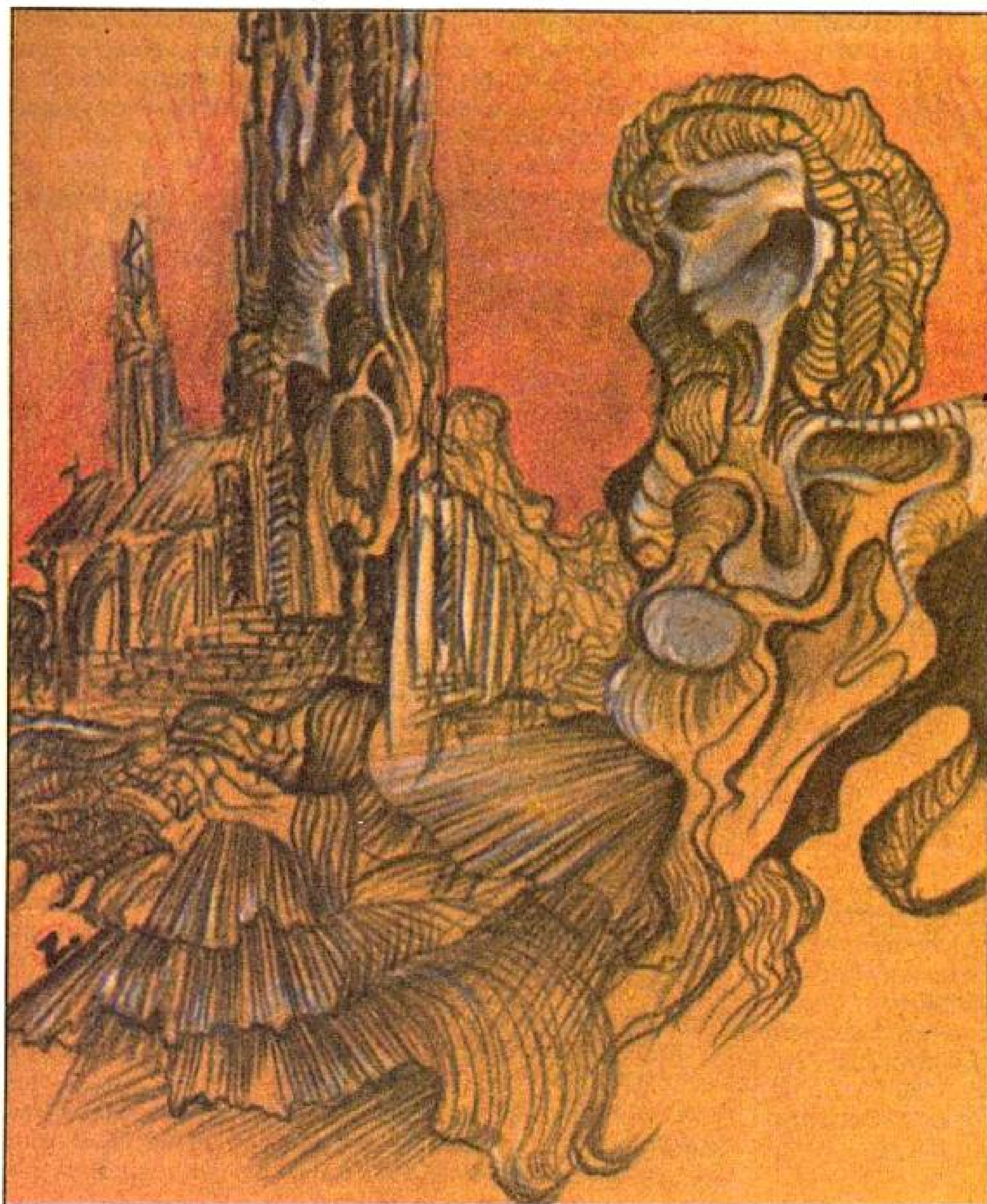
W pokoju zapadła cisza. Ciemne oczy Yarola utkwione były w oczach Smitha, Wenusjańczykowi nie drgnęła nawet powieka. Żyły na skroniach Smitha napięły się do granic wytrzymałości. Nigdy nie złamał danego słowa. Dał je może z sześć razy w całym swoim życiu, ale kiedy już dał, to nie był w stanie go złamać. Raz jeszcze w jego oczach pojawiła się mgła wspomnień. Raz jeszcze Yarol uważnie obserwował te nieludzkie przeżycia. Cisza w pokoju stawała się coraz cięższa.

Wreszcie raz jeszcze mgła ustąpiła i Smith wrócił w świat żywych.

– Spróbuję... – powiedział, ale w jego głosie pobrzmiewała wątpliwość.

Przełożył Tadeusz Markowski

■



KASANDRA

Caroline Janice Cherryh

(Cassandra)

Otaczające ją morze ognia stało się nie do wytrzymania. Alicja otworzyła drzwi mieszkania z głębokim przekonaniem, że tym razem potrafi już powstrzymać się od krzyku. Wśród płomieni wymacała zimny metal klamki... Przez walące zewsząd kłęby dymu dostrzegła zarys schodów na tyle wyraźnie, by uświadomić sobie, że może nimi zejść nie ryzykując, iż zwalą się pod jej ciężarem.

Stuknięta Alicja.

Nie spieszyła się. Płomienie były coraz większe. Ale śmiało wstąpiła w nie i zaczęła schodzić na dół. Winda nie działała – rozbiła się przecież w swoim szybie. Po kilku chwilach była już na parterze i mogła odwrócić wzrok od czerwonego rozpalonego żywiołu.

Jakiś duch powiedział jej „dzień dobry"... to stary Willis. Chudy i przezroczysty walczył ze strzelającymi w górę płomieniami. Mrugnęła porozumiewawczo i odpowiedziała na pozdrowienie. Otwierając bramę, kątem oka dostrzegła nerwowe ruchy jego głowy.

Na zewnątrz toczył się normalny popołudniowy ruch – ciężka masa żelastwa przewalała się po jezdni jak tocząca się bezkształtna bryła.

Ledwie znalazła się na ulicy, dom runął. Czarne, okopcone i popalone cegły pochłonęło piekło dymu i ognia. Stary Willis podskoczył bezradnie, jego ubranie zapaliło się, upadł i po chwili był już tylko kupką śmierdzącego, spalonego mięsa. Tak jak każdego dnia...

Lecz tym razem Alicja już nie krzyczała, prawie nie odczuła strachu. Zignorowała otaczające ją ze wszystkich stron zwały cegieł. Minęła zaaferowaną czymś zjawę, która tym razem nie mogła zakłócić jej spokoju.

Kawiarnia Kingsleya stała na swoim miejscu, wciąż cała w przeciwieństwie do otaczających ją budynków. Było to stałe miejsce jej popołudniowej ucieczki. Tu czuła się pewnie.

Gdy otworzyła drzwi, jak zwykle powitał ją brzęk zawieszonego nad nimi dzwoneczka. Podobni do cieni goście spojrzeli na nią i wymienili szeptem jedną tylko uwagę:

„Stuknięta Alicja".

Szept zaniepokoił ją. Zlekceważyła jednak spojrzenia i obecność innych i wcisnęła się w najdalszy kąt noszący tylko nieznaczne ślady pożaru.

WOJNA – głosił tłustymi literami napis na ladzie. Wzdrygnęła się i spojrzała na pochylające się nad nią oblicze Sama' Kingsleya.

– Kawy – powiedziała krótko – i kanapkę z szynką. Zawsze było tak samo. Nigdy nie zmieniała formy zamówienia. Stuknięta Alicja.

Opanowało ją przygnębienie. Stan ten powracał każdego miesiąca gdy szpital odsyłał ją do domu. A potem – najpóźniej po tygodniu znowu wracała do kliniki, do przezroczystych – jak wszyscy wokół – lekarzy. Bo szpital też płonął. Gryzący dym przetaczał się przez błękitne, aseptyczne korytarze. W zeszłym tygodniu przebiegł obok niej płonący pacjent.

Brzęknęło nakrycie. Sam postawił na stoliku kawę, a po chwili wrócił z kanapką.

Opuściła głowę i trzymając w jednym ręku przezroczyste uszko pękniętej, porysowanej filiżanki, drugą podnosiła do ust przezroczyste jedzenie z na wpół zniszczonej porcelanowej zastawy. Była na szczęście tak głodna, że przestała zwracać uwagę na towarzyszące jej stale zjawy. Nawet najstraszliwsze obrazy widziane setki razy tracą swoją moc oddziaływania. Już nie krzyczała na widok cieni. Uspokoiła myśli – przed nią stało jedzenie, którego domagał się wygłodzony żołądek. I to wszystko. Reszta się nie liczy. Popatrzyła na swoją czarną, zbyt obszerną kurtkę, znoszoną niebieską bluzkę i szare długie spodnie. Każdego wieczoru prała ten swój stały strój, suszyła go i następnego dnia wkładała znowu. Innym rzeczom pozwalała spokojnie wisieć w szafie. Bała się ich, sprawiały bowiem wrażenie nierzeczywistych.

Lekarzom nie opowiadała o tym. Życie, które rozgrywało się jedynie pomiędzy murami szpitali i chwilami spędzonymi poza nimi, nauczyło ją nieufności. Wiedziała już doskonale, co może im powiedzieć.

Lekarze dawali jej pigułki. Sprowadzały one sen odsuwający gdzieś daleko tupot stóp i krzyki docierające do jej pokoju. Kładli ją do łóżka zawieszonego wysoko ponad ruinami strzelającymi ogniem i wypełnionymi krzykami rozpaczy. Nie zwierzała się jednak ze wszystkich swoich odczuć. Lata spędzone w szpitalu nauczyły ją milczenia. Skarżyła się jedynie na swoje przywidzenia i niepokoje. I dostawała coraz większe ilości czerwonych pastylek.

Opuszczona bezwiednie filiżanka zadzwoniła nagle uderzywszy gwałtownie o spodek. Nawet nie próbowała wyjrzeć przez popękane okno na zewnątrz, gdzie płonęły masy metalowego złomu. Tak jak każdego dnia zamarła w bezruchu. Sam przyniósł jej następną kawę. Piła ją powoli, pragnąc w nieskończoność rozciągnąć czas spędzony w tym miejscu. Później zdecydowała się zamówić jeszcze jedną.

Matowo zadźwięczał dzwoneczek. Jakiś mężczyzna zamknął drzwi i usiadł przy kontuarze. Widziała go nadspodziewanie wyraźnie. Przyglądała mu się zaskoczona, serce waliło jej jak młot. Nieznajomy zamówił kawę i wstał na chwilę, by w stoisku z gazetami wybrać jakiś dziennik. Potem wrócił na swoje miejsce i czekając aż kawa wystygnie zagłębił się w lekturze doniesień. Ze swego miejsca Alicja mogła dostrzec tylko jego plecy. Zniszczony brązowy płaszcz, sterczące nieco nad kołnierzem włosy.

Nagle przybysz jednym haustem wypił kawę, położył drobne na kontuarze i odłożył gazetę.

Młoda, pełna życia sylwetka pomiędzy cieniami!

Nie zwracając uwagi na pozostałych gości mężczyzna ruszył do wyjścia. Na ten widok Alicja poderwała się ze swojego kąta.
– Hej! – zawołał za nią Sam.

Przez chwilę grzebała w portmonetce w poszukiwaniu drobnych, ale gdy usłyszała dzwonek zamykanych drzwi rzuciła na ladę banknot nie zwracając uwagi na jego nominał. Nagła obawa napełniła jej usta metalicznym smakiem. Mężczyzna był już na zewnątrz! Błyskawicznie opuściła kawiarnię. Jego plecy znikały właśnie w tłumie.

Potykała się, przebijała przez kłębiące się mrowie zjaw i przeskakiwała płomienie. Kilkakrotnie ugodziły ją bezboleśnie odłamki gruzu, krzyknęła, ale biegła dalej. Duchy kręciły się wokół, spoglądały na nią i oddalały się – zupełnie jak on. Goniła go jednak wytrwale. Gdy wreszcie dopadła ściganego i została dostrzeżona, zabrakło jej tchu.
– O co chodzi? – zapytał.
Nie zwróciła uwagi na pytanie. Była zbyt zdziwiona tym, że właśnie on nie zauważa różnicy pomiędzy nią i otaczającymi ich zjawami. Nie mogła zdobyć się na odpowiedź.

Zirytowany ruszył dalej, a ona podreptała za nim. Łzy płynęły jej po twarzy, gwałtownie wdychane powietrze paliło gardło. Przezroczyści ludzie przyglądali się jej z zainteresowaniem. Nieznajomy przyspieszył kroku. Szedł pewnie przez ruiny i płomienie. Jakaś ściana zawaliła się raptownie. Tym razem Alicja krzyknęła.
Mężczyzna odwrócił się gwałtownie wzbijając chmurę kurzu i kopciu. Jego twarz wyrażała złość i poruszenie. Patrzył na nią dokładnie tak samo jak inni. Przerażone matki odsuwały od nich swoje dzieci. Jakaś grupka młodzieży wybałuszyła na nią martwe oczy.
– Niech pan poczeka – wydusiła z siebie.

Otworzył usta jakby chciał ją ofuknąć. Znów ogarnęło ją przerażenie. W nie dającym ciepła płomieniu na jej twarzy wyraźnie widać było strumienie zimnych łez. Wyraz twarzy mężczyzny zmienił się. Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął z niej garść drobnych. Chciał wcisnąć je jej do ręki. Energicznie pokręciła głową i zaczęła ocierać łzy – spojrzała w górę i zobaczyła jak następny budynek staje w płomieniach.
– Co się stało? – zaniepokoił się. – Czy trzeba pani w czymś pomóc?
– Proszę... – tyle tylko zdołała z siebie wydobyć.

Spojrzał na wpatrujące się zewsząd bezmyślnie duchy i wolno ruszył przed siebie. Szła obok niego starając się skupić na tym, by nie krzyczeć na widok przejrzystych sylwetek snujących się po wypalonych ruinach domów i poskręcanych ciał rozciągniętych na tętniącej ruchem ulicy.

– Jak się pani nazywa? – zdecydował się wreszcie na rozmowę.
Odpowiedziała. Od czasu do czasu spoglądał na nią. Zmarszczył czoło i uniósł brwi. Miał młodzieńczą, sympatyczną twarz. Tylko niewielka zmarszczka koło ust sprawiała, że wyglądał nieco starzej od niej. Sposób, w jaki się jej przyglądał, nie był zbyt przyjemny. Ale Alicja przyjmowała to spokojnie – gotowa była znieść wszystko byle pozostać w towarzystwie tej jedynej w okolicy naprawdę żywej osoby. Mimo okazywanej przez niego niechęci wsunęła mu rękę pod ramię i pogładziła delikatnie zniszczoną skórę jego płaszcza. Nie bronił się już przed tym.

Po pewnym czasie ramię nieznajomego objęło jej plecy. Poszli przed siebie jak para zakochanych.

Na wysokości sklepu żelaznego Tennsa mężczyzna chciał skręcić w boczną uliczkę. Alicja aż cofnęła się na widok tego, co w niej ujrzała. Postąpił jeszcze krok do przodu zanim zorientował się, że dziewczyna stanęła. Odwrócił się ku niej. Gdy stanęli twarzą w twarz, jego sylwetka przesłoniła nieco czerwień płomieni wielkiego pożaru, który ogarniał właśnie ulicę.
– Nie idź tam – poprosiła.
– A dokąd chciałabyś iść?
Wzruszyła bezradnie ramionami i wskazała na drugą stronę głównej ulicy.
Zaczął przemawiać do niej jak do dziecka zaniepokojonego jakimiś straszydłami. Uspokajał ją. To było obudzone nagle współczucie. Ale można też było przyjąć, że to jedynie zdawkowe pocieszenie. Tak czy inaczej odczuła ulgę. Zrozumiała jego intencje i uspokoiła się.

Nazywał się Jim. Przybył zaledwie wczoraj do miasta. Teraz szuka pracy. Nie zna tu nikogo. Alicja zrozumiała nagle jak bardzo jest bezradny. Gdy skończył – popatrzyła na niego ze współczuciem. Nagła zmiana zaskoczyła go – przyglądał się jej badawczo.
– Nie jestem wariatką – powiedziała.
Było to kłamstwo, które każdy w tym mieście mógł zweryfikować. Każdy, ale nie on, bo on nie znał nikogo.

Jego twarz wyglądała na rzeczywistą. Małe zmarszczki nadawały jej w chwilach zamyślenia wyraz nagłej ostrości. W innej sytuacji Alicja przestraszyłaby się takiej twarzy, ale teraz przerażała ją jedynie myśl, że i ona mogłaby się upodobnić do bezmyślnych, przezroczystych masek zjaw.
– Wygląda na to, że mamy wojnę – powiedział.

Milczała starając się nie widzieć nic oprócz niego. Palcami ściskała kurczowo jego ramię.
– Kiedy jest wojna – powtórzył – wszystko zwariowało i każdy musi zwariować.

Powiedziawszy to położył ręce na jej ramionach i obrócił ją w stronę parku, w którym zielone liście frunęły wśród popalonych szkieletów drzew. Szli wolno brzegiem jeziora. I pierwszy raz od bardzo długiego czasu Alicja mogła głęboko odetchnąć. Kupili trochę kukurydzy dla ptaków, usiedli na porośniętej trawą skarpie i rzucali ziarno podobnym do duchów łabędziom. Obok nich przechadzało się wiele przezroczystych postaci. Sprawiały wrażenie przeważnie starych ludzi, którzy nie zwracając uwagi na okropieństwo czasów spokojnie rozmyślają o swoich sprawach.
– Widzisz ich – odważyła się w końcu odezwać – takich chudych i siwych?

Jim nie zrozumiał, o co jej chodzi i wzruszył tylko ramionami. Powstrzymała się przed powtórzeniem pytania. Podniosła się z ziemi i wpatrzyła w horyzont, nad którym dym skręcał się w podmuchach wiatru jak gigantyczna flaga.

– Mogę zafundować ci obiad? – spytał niespodziewanie.
Odwróciła się ku niemu i ponieważ była na to przygotowana zmusiła się do nieśmiałego, desperackiego uśmiechu.
– Oczywiście – odparła wiedząc, że za tym zaproszeniem kryje się coś więcej. Była na to gotowa i chciała, by wszystko stało się jak najszybciej. Paraliżował ją jednak strach, że Jim porzuci ją dziś w nocy albo jutro rano. Nie miała przecież żadnych doświadczeń z mężczyznami. Nie miała pojęcia jak ma się zachowywać, co powinna robić i mówić, aby powstrzymać go przed odejściem. Wiedziała tylko, że musi to i tak nastąpić, gdy pewnego dnia Jim odkryje, że ma naprawdę do czynienia z wariatką.

Nawet jej rodzice nie mogli znieść tej świadomości – tylko na początku odwiedzali ją często w szpitalu, później jedynie z okazji świąt, w końcu zaprzestali i tego. Nawet nie wie gdzie teraz mieszkają.

Pamięta jak kiedyś przepowiedziała pijanemu synowi sąsiadów, co się z nim stanie. Wykrzyczała to. A potem całe miasto twierdziło, że to ona wrzuciła go do wody...
Stuknięta Alicja.

„Przywidzenie" – orzekli lekarze – „ale nie niebezpieczne". Wypuszczono ją. Potem przyszły czasy szkół specjalnych i publicznych.
I coraz częstsze pobyty w szpitalach.
Trankwilizator.
W domu uspokajały ją czerwone pigułki. Myśl o nich wywołała pot na jej rękach. Tabletki sprowadzały senność. I niszczyły sny. Zaciskała usta, żeby przeciwstawić się nadchodzącej panice. Potem przekonywała siebie, że pastylki nie są jej więcej potrzebne. Przynajmniej tak długo, jak długo nie była samotna. Wsunęła mu rękę pod ramię i szła z nim po stopniach wiodących z parku na ulicę – pewnie i spokojnie, bezpieczna i uciszona.

I nagle stanęła jak wryta.
Ogień zniknął.

Upiorne budowle wyrastały w górę poszczerbionymi, bezokiennymi szkieletami. Przez zwały gruzów przedzierały się postacie du-

Caroline Janice CHERRYH

urodziła się w 1942 roku w St. Luis. W 1945 roku przeniosła się wraz z rodzicami do Oklahomy. W 1965 roku ukończyła wydział filologii klasycznej na uniwersytecie w Oklahoma City. Przez następne 11 lat była nauczycielką łaciny i historii starożytnej. Wakacje spędzała na licznych podróżach do krajów i miejsc, którym poświęciła swoje studia. Odwiedziła między innymi Mykeny, Troję, Spartę, Knossos, Rzym. Zainteresowanie historią i starożytną mitologią znalazło odbicie w jej twórczości, którą uprawiała ponoć od dziesiątego roku życia. Jako pisarkę SF Caroline odkrył Donald A. Wollheim, który zainteresował się w 1975 roku jej powieścią *„Gate of Irvel"*. W następnych latach opublikowała: *„Brothers of Earth" (1976)*, *„Hunter of Worlds"* (1977), *„The Faded Sun: Kesrith"* (1978) i *„The Faded Sun: Shon'jir"* (1979). W 1977 roku C. J. Cherryh uznana została za najlepszą autorkę młodego pokolenia i wyróżniona John W. Campbell Award, zaś 27 światowa konwencja SF w Brighton w 1979 roku przyznała jej Hugo Award za publikowane w tym numerze opowiadanie *„Cassandra"*.

chów. Próbował pociągnąć ją za sobą, ale i tym razem nie ruszyła się z miejsca. Przyjrzał się jej zdziwiony i objął ją ramieniem.
– Przecież ty cała drżysz. Czy jest ci zimno?
Pokręciła przecząco głową i zaczęła się śmiać. Ogień, przeklęty ogień, zniknął. Starała się poczytać to za dobry omen. Przywidzenia minęły. Wpatrzyła się w jego na serio zatroskane oblicze. Jego zakłopotanie wyzwoliło w niej atak niepohamowanego śmiechu.
– Jestem po prostu głodna – powiedziała.

Obiad jedli w „Fosie". On w swojej znoszonej marynarce, ona w swojej postrzępionej na brzegach i powypychanej na łokciach kurtce. Pozostali goście ubrani byli znacznie lepiej i często spoglądali ze zdziwieniem w ich stronę. Posadzono ich przy oddalonym od drzwi stoliku, by nie rzucali się w oczy nowo przybywającym gościom. Na bezpostaciowej tacy przyniesiono im popękane szklanki i zniszczone nakrycia. Przez rozwarte rany sufitu, poprzez ciężkie szkło rozbitego żyrandola przyglądały się im zimne, obojętne gwiazdy.
Ruiny. Zimne, spokojne ruiny.
Alicja rozejrzała się ostrożnie. Można żyć w ruinach. Pod warunkiem, że nie płonie w nich ogień. Zwłaszcza, gdy obok siedzi Jim, którego śmiech odpędza wszystkie smutki. Co prawda w tej chwili jego twarz wyraża ogromne przygnębienie, ale właściwie mogła to zrozumieć. Wydał na ten obiad więcej pieniędzy niż mógł sobie na to pozwolić. Nigdy nie sądziła, że zobaczy ten lokal od środka. A przecież z całą świadomością powiedziała mu, że tu już była.

W jakiś sposób wyrządziła mu tym krzywdę – jemu, na którego zaufaniu tak bardzo jej zależało. Uśmiechnęła się smutno, a on zauważył to i skwitował jedynie kolejnym zmarszczeniem czoła. Pełna obaw, by jej smutek nie zranił go jeszcze bardziej, roześmiała się głośno.
Stuknięta Alicja.

Może być dziś wieczorem zajęty i porzuci ją, jeśli nie będzie ostrożna. Starała się więc być milsza i bardziej radosna.
Nagle salę restauracyjną wypełniły muzyczne dźwięki. Rozmowy innych konsumentów umilkły. Głośnik podawał nic nie znaczącą informację:
– Do bunkra... bunkra... bunkra...
Rozległy się okrzyki, przewracano krzesła.

Alicja ocknęła się ze swego zadumania i poczuła szarpiące ją, zimne z przerażenia, mocne ręce Jima. Widziała jego wykrzywioną strachem twarz – wykrzykiwał jej imię, chwycił ją za ramiona pociągając ją za sobą.

Na zewnątrz uderzyło w nią zimne powietrze, przypomniało okropny widok ruin. Przezroczyste sylwetki rzuciły się tam, gdzie przedtem widziała najbardziej rozszalałe płomienie.
I w tym momencie zrozumiała co to znaczy.
– Nie!! – krzyknęła i szarpnęła go za rękę. – Nie! – powtórzyła. Na wpół przezroczyści pędzili w stronę ruin. Jim skapitulował przed jej niespodziewaną, nagłą stanowczością, chwycił wyciągniętą ku sobie rękę i biegł za nią pod prąd rozpędzonej masy uciekających. Syreny wyły przeraźliwie. Biegli tak długo, aż znalazła wolne przejście przez ruiny.

Drzwi kawiarni Kingsleya, gdzie na opuszczonych stołach stało ciepłe jeszcze jedzenie, były na wpół otwarte. Przebiegli na zaplecze – do kuchni, a potem w dół, do ciemnej, zimnej piwnicy, nie poznaczonej śladami ognia.

Byli sami. Nikt nie podążył za nimi. Potem ziemia stęknęła tak cicho, że można było to poczuć, ale nie usłyszeć. Głos syren umilkł nagle i już się nie powtórzył.

Leżeli w ciemnościach mocno wtuleni w siebie drżąc ze strachu i z zimna. A nad nimi przez wiele godzin szalało piekło ognia. Od czasu do czasu do wnętrza piwnicy wdzierał się gryzący w oczy kłąb dymu. W pewnym momencie drgnęły ceglane ściany i gdzieś w głębi korytarza posypały się zwały gruzu. Ziemia znowu zadrżała. Łoskot przybliżył się, ale nie dosięgnął ich schronienia.

Rankiem powietrze wciąż przesiąknięte było zapachem ognia. Jim i Alicja ostrożnie wydobyli się na zewnątrz w szare światło dnia. Wokół, jak okiem sięgnąć, stały ciche, wypalone ruiny. Budynki zatraciły już swą przezroczystość. Duchy zniknęły. Gdzieniegdzie płożył się jeszcze ogień.

Jim pobiegł cicho przed siebie jakby za najbliższym zakrętem spodziewał się ujrzeć inny widok. Widząc jednak wszędzie ten sam obraz zniszczenia, zapłakał.

Gdy Alicja dogoniła go wciąż jeszcze miał mokre oczy. Słuchała go ze zrozumieniem, kiedy w nagłym porywie zaczął tłumaczyć jej, że trzeba znaleźć coś do jedzenia i że jak najszybciej muszą opuścić miasto.
– To oczywiste – powiedziała tylko.
A potem z przerażeniem zacisnęła oczy, by nie widzieć tego, co dostrzegła na jego twarzy. Gdy otworzyła je znowu – obraz nie zmienił się. Jim stawał się przezroczysty, a jego twarz pochlapana była krwią. Zatoczyła się i Jim musiał podtrzymać ją, by nie upadła.

– Co się stało? – spytał troskliwie – coś nie tak?
Nie mogła mu odpowiedzieć, nie chciała. Przed oczyma przesunęła jej się postać tamtego pijanego chłopca, a potem wiele innych. Nagle odwróciła się i zaczęła uciekać. Zrozumiała labirynt dręczących ją przez tyle lat snów na jawie, które dziś stały się rzeczywistością.
– Alicjo! – zawołał za nią zaskoczony Jim i zaczął biec w jej kierunku.
– Nieee... – krzyknęła, gdy odwróciwszy się ujrzała na jego drodze chwiejącą się ścianę. Chciała powstrzymać go gestem rąk. Jim wyciągnął przed siebie ramiona jakby pragnął ją w nie pochwycić i w tym momencie wszystko zakryły tumany pyłu i kurzu.

Gdy chmura opadła ujrzała wystające z rumowiska wciąż wyciągnięte martwe ręce.

Stała przez chwilę w milczeniu, bezradnie opuściwszy ramiona. Potem otarła wykrzywioną bólem twarz, odwróciła się i poszła przed siebie martwymi ulicami.

Niebo zaciągnęło się deszczowymi chmurami. Alicję opanował spokój. Spadły pierwsze krople deszczu. Zauważyła je, ale ich nie poczuła. Po pewnym czasie deszcz rozszalał się i martwe miasto stało się zimne i odpychające. Poszła brzegiem martwego jeziora mijając szpalery czarnych, martwych drzew. W ruinach, które niegdyś były „Fosą", znalazła sznur szklanych pereł.

Gdy następnego dnia jakiś łupieżca pragnął pozbawić ją jedzenia roześmiała się tylko widząc jego przezroczystość. Powiedziała mu prosto w oczy, że nastąpił już jego kres.

Potem wróciła do swojej kryjówki. Położyła się wśród ruin, które nie przedstawiały już dla niej żadnego niebezpieczeństwa. To był już koniec wizji. Żyła z dnia na dzień wzbogaciwszy swój strój o sznur szklanych koralików. Bo przecież można żyć w ruinach gdy ogień już wygasł. I gdy snujące się wśród nich upiory należą już do przeszłości. Raz na zawsze.

Przełożył A. W.



Poznałem go w porcie. W dole, za szklaną ścianą dzielącą przestrzeń na pół, widoczna była płyta kosmodromu. Rejs opóźniał się. Nie wziąłem nic do czytania i teraz nudziłem się jak mops. Zebrało się nieciekawe towarzystwo - ze dwudziestu turystów i odprowadzających, i tłum takich jak ja - podróżujących służbowo. Nie ma do kogo ust otworzyć, nie ma kogo posłuchać. Całkiem niespodziewanie pojawił się w poczekalni ktoś wyraźnie różniący się od zebranego tłumu. Takich jak on, jeśli tylko ktoś ma wprawne oko, można poznać z daleka. Wyglądał na zwiadowcę dalekiego kosmosu lub kogoś w tym rodzaju.

Przy pasie miał zawieszoną ogromną, żółtą kaburę. Idąc utykał lekko na prawą nogę. Na twarzy, pokrytej nierówną, kosmiczną opalenizną, widniała wielka, biała blizna, podobna do księżyca w ostatniej kwadrze. Słowem miał wszystkie charakterystyczne cechy starego kosmicznego wyjadacza. Z takiego człowieka, jak już niejednokrotnie się przekonałem, można wyciągnąć najbardziej niewiarygodną historię.

Wziął z automatu kawę i usiadł przy moim stoliku. Ryba, jeśli można się tak wyrazić, sama pchała się na haczyk. W myśli poplułem na wyobrażonego robaka i od razu zarzuciłem wędkę:

rytmy dobowe - osłabione. A przecież życie oparte jest na kontrastach. Tak mówią. No i dobrze. A potem natknęliśmy się na gwiazdolot Piątej Kultury.
- Od razu Piątej?
Przytaknął.
- Z początku myśleliśmy, że to asteroid. Może dlatego, że był taki wielki - kula o średnicy dziesięciu kilometrów. Ale właśnie kula. Był to statek jednej z minionych cywilizacji - Piątej Kultury galaktycznej - porzucony przez załogę miliony lat temu. Taka kosmiczna „Maria Celesta".
Zamilkł, a ja spytałem:
- Dlaczego załoga opuściła statek?
- Nie wiem. Możliwe zresztą, że wcale nie uciekała. Snucie przypuszczeń na temat wydarzeń sprzed milionów lat nie ma większego sensu. Zaczęliśmy przygotowywać się do desantu. Jest to swojego rodzaju sport - kto pierwszy dostanie się do wnętrza statku. Gwiazdoloty Piątej Kultury mają po kilka śluz wejściowych. Sto tysięcy hektarów wypolerowanego metalu i gdzieś tam zagubione wejścia. Brakuje znaków orientacyjnych. Na każdego z nas przypadała powierzchnia większa od kosmodromu. I jak tu szukać? Rozeszliśmy się po hangarach i wystartowaliśmy.

CZŁOWIEK z PUSTĄ KABURĄ

Michaił PUCHOW

(Czełowiek s pustoj koburoj)

Dla obserwatora z boku wyglądało to na pewno efektownie. Dwa kolosalne pojazdy pośród pustki i nagle jeden ciska w drugiego garść świecących punkcików. „Moich przyjaciół leciały zastępy..." Możliwe, że to prymitywne porównanie, ale dla innego świata zawsze jesteśmy bogami zstępującymi z nieba. Pędziliśmy więc na wyścigi w stronę obcego statku, jak gromada bogów, którzy porzucili Olimp w poszukiwaniu rozrywki. Tak to wyglądało. A tak naprawdę, jest to po prostu praca.
- I to bardzo niebezpieczna - wtrąciłem.
- Owszem. Wkrótce grupa rozpadła się i zostałem sam na sam z kosmosem. Sylwetka naszego gwiazdolotu kurczyła się za rufą sondy odsłaniając gwiazdy kulistego skupiska. Niezapomniane niebo.

- Skąd pan ma taką dziwną bliznę?
- Hokej - wyjaśnił. Po jego galaktycznej opaleniźnie spływały wąskie strużki potu. - W młodości entuzjazmowałem się hokejem.
- Stał pan na bramce?
- Siedziałem na trybunach - dotknął białej blizny palcem. - Nic jej nie bierze. Chyba, żeby zamalować ją szminką. Przez czterdzieści dni opalałem się nad morzem - wszystko bez skutku.
Czekałem cierpliwie, jak przystoi prawdziwemu wędkarzowi.
- Nie podobało mi się nad morzem - zakomunikował. - Masa ostrych, śliskich kamieni. Wczoraj poszedłem się wykąpać, upadłem i stłukłem nogę.
Ostrożnie pomacał kolano lewej nogi.
- Do tej pory boli. A gorąco, tam nad morzem, prawie tak jak tutaj.
Rozpiął swoją ogromną kaburę, pogrzebał w niej chwilę, wyciągnął zmiętą chustkę i wytarł sobie twarz.
Inny na moim miejscu pomyślałby, że z połowu nici i że pora zwijać wędki. Ale ja nie należę do tych, którzy tak łatwo rezygnują.
- Jest pan zwiadowcą dalekiego kosmosu?
- Tak. Jestem pilotem sondy desantowej.
- A gdzie w takim razie pański pistolet?
- Promiennik? - jego wzrok ześliznął się ku żółtemu futerałowi. - Właściwie jest to przede wszystkim przyrząd. Jeśli trzeba coś przeciąć, przebić otwór, wydrążyć studnię. Poza tym jest to też sygnalizator i silniczek odrzutowy. Zamilkł.
- No i broń również - powiedziałem. - Zresztą to nieistotne. Co się z nim stało?
- To długa historia - ryba w końcu wzięła. - Jeśli pan chce...
- Oczywiście. Pozwoli pan, że wezmę sobie jeszcze jedną kawę?
Skinął głową. Gdy wróciłem z filiżanką był już całkiem dojrzały. Nie zdążyłem jeszcze usiąść, a już zaczął opowiadać.

- To zdarzyło się po spotkaniu ze statkiem Piątej Kultury. W tym sezonie pracowaliśmy w gromadzie kulistej. Nudne miejsce. Wszystkie gwiazdy i planety podobne. Życia nie spotykało się nigdzie.
- A to dlaczego?
- Proszę spytać biologów. W skupiskach noce są zupełnie jasne, a

- Tak pan sądzi?
- To chyba oczywiste.
- Gdyby było inne, nie pamiętałby pan o nim.
- Ma pan rację - powiedział spokojnie. - Było właśnie takie. Nie można nawet powiedzieć, że czarne, tyle tam gwiazd. A wszystkie wielkie i jasne. To nie niebo, a zastygły nieruchomo fajerwerk i tylko cień naszego statku kurczył się za rufą, natomiast z przodu puchła czarna i okrągła plama. Przybliżałem się do obcego. Moich towarzyszy, rzecz jasna, nie widać. Nie ma ich. Szybkość miałem niewielką, samolotową można powiedzieć. Odnosiłem wrażenie, jakby wszystko zastygło, a czas zdawał się stać w miejscu.

Ale potem, na ostatnich kilometrach, znów popłynął. Obcy statek zakrywa pół nieba, sonda hamuje. Ani to lądowanie, ani cumowanie.

I oto stoję wraz z sondą na samym środku płaskiej równiny. Statek jest kulisty, ale tak ogromny, że wypukłości nie zauważa się. Stoję na płaskiej równinie, a od horyzontu sto, albo i dwieście metrów. Nad głową gwiazdy. Pod nogami też gwiazdy, tylko rozmyte. Odbijają się w poszyciu tak matowym, że metal wydaje się jakby nadżarty. Widząc to rozumie się, że czas składa się ze zdarzeń. Każda plamka na poszyciu, to ślad zderzenia z drobinką pyłu. Zdarzają się takie spotkania powiedzmy co minutę. A ile minut ma milion lat? Tyle, że poszycie stało się jednolicie matowe. Stoję rozmyślając o tym, a tu trzeba gdzieś iść. Trochę jakby strach. Wiekowy gwiazdolot podobny jest do starego zamku ze zjawami. Straszne historie opowiadają o takich statkach.

- Co pan ma na myśli? - przerwałem mu. - Przecież gwiazdolot był martwy, sam pan to powiedział.
- Dotknął palcem blizny na twarzy.
- Nie, życie zawsze pozostaje. Taki gwiazdolot, to cała sztuczna planeta, z własną atmosferą, własną florą i własną fauną. Mieszkają tam nie tylko mikroby. Centrum statku zajmuje oranżeria, ale to nie jest rezerwat minionego. Życie na opuszczonych statkach przez miliony lat rozwija się bez przeszkód. Ewolucja posuwa się zygza-

kami, płodzi potwory. Tak powiadają. Gdyby nie to, nasze znalezisko nie przedstawiałoby specjalnej wartości.
– Jak to?
– Znaleziono już wiele statków Piątej Kultury. Są prawie identyczne. Ale w każdym z nich ewolucja posuwała się własnymi drogami i biolodzy cieszą się z każdego takiego znaleziska. Stałem na powierzchni statku, nie mając pojęcia, gdzie szukać wejścia. Ruszyłem na los szczęścia, no i powiodło mi się.
– Napadły na pana potwory?
– Nie, po prostu posadziłem sondę we właściwym miejscu. Po kilku krokach metal pode mną zadrżał. Przyspieszenia nie odczułem, ale gwiazdy zniknęły i zrobiło się ciemno.
Potem błysnęło światło. Z trzech stron otaczały mnie ślepe ściany. Czwarta ściana były przezroczysta.
Właściwie dalej mogłem już nie iść. Naszą maleńką olimpiadę i tak wygrałem. Aby wrócić, wystarczyłoby pozostać we wnętrzu dźwigu, który sam wyniósłby mnie na powierzchnię. Ale nie zamierzałem czekać. Spiesząc się, by winda nie zdążyła ruszyć, przez przezroczystą ścianę wkroczyłem do wnętrza statku.
– I napadły na pana potwory?
Skrzywił się.
– Wyjąłem z kabury promiennik i ruszyłem przed siebie. Znałem plan gwiazdolotu. Wszystkie wejścia łączyły się tunelami z centralną sterownią. Uprzednio wiele czytałem o przyrządach nawigacyjnych statków Piątej Kultury. Naoczni świadkowie też mi sporo opowiadali. Chciałem zobaczyć to wszystko na własne oczy. Można by powiedzieć, że to zawodowa ciekawość. Do sterówki było półtora kilometra, a powietrza w skafandrze miałem na dwie godziny.

Ściany tunelu lekko zakrzywiały się prowadząc w dal. Dziwne ściany. Wzdłuż tunelu wiał tam słabiutki, prawie niewyczuwalny wietrzyk. Pewnie wentylacja albo po prostu przeciąg. Ale to, co w ciągu milionów lat zrobił ze ścianami... Nigdy nie uwierzyłbym, gdyby ktoś mi o tym opowiadał. Wszystko zaokrąglił, wygładził wszelkie nierówności polerując ściany do blasku.
W ogóle było tam czysto i jasno. Włożyłem promiennik do futerału i zatrzasnąłem wieko. Możliwe, że stare gwiazdoloty nie są takie znów straszne. Nie zdołałem zauważyć żadnego ruchu nawet w bocznych korytarzach prowadzących w głąb statku. Szedłem i rozmyślałem o różnych rzeczach, przede wszystkim zaś o tym, jakby tu przystępnie wyobrazić sobie milion lat. W zamyśleniu nie zauważyłem, że warunki w tunelu zmieniają się. Zrobiło się ciemniej. Od wygładzonych występów ciągnęły się cienie. Mój własny cień również wił się przede mną po ścianach i magnetycznej podłodze. Zabrnąłem nie wiadomo dokąd. Z prawej strony ziały otwory bocznych odgałęzień tunelu. Bez żadnych przeszkód przechodziłem przez odkryte miejsca, podczas gdy z mroku wąskich nor coś jakby mnie obserwowało.
Była to jakaś diabelska sztuczka. Cisza, półmrok, rytm kroków... Zatrzymałem się. Z przodu, zlewając się z moim cieniem, poruszało się coś czarnego, długiego... Jak gruby ślepy wąż, dotykając ściany, zmieniało w oczach kształt, a potem zakręciło się, przekształcając się w coś w rodzaju wywróconej na lewą stronę trąby powietrznej, z wycelowanym we mnie głębokim lejkiem. Po pewnym czasie wirowanie uległo zwolnieniu.
Nie miałem zwyczaju cofać się. Znów rozpiąłem kaburę i zbliżyłem się do czarnego leja.
Już się nie obracał. Znieruchomiał w poprzek tunelu, niby jakaś symetryczna paszcza, której brzegi zlewały się ze ścianami. Po jego wewnętrznej powierzchni poruszały się koncentryczne fale.
Stałem nieruchomo przed nim.
Czarne fale, gasnąc, zbiegały się w środku leja, który jak zauważyłem – stawał się coraz płytszy. Prostował się i przekształcał w gładką membranę oddzielającą mnie od tunelu. Spieszyłem się, ale czasu i tlenu miałem jeszcze sporo.
Stałem nieruchomo. Membrana była sprężysta, ktoś obdarzył ją najprostszym z instynktów... Wie pan, o czym mówię... Od czasu do czasu drgała, zupełnie jakby oczekując na coś. Położyłem rękę na promienniku.
Membrana napięła się, stała się wyraźnie twardsza.
Zdjąłem rękę. Membrana znów się rozluźniła. Trwała w miejscu drżąc bojaźliwie, jakoś dziwnie przypominając mi bezdomnego psa, czekającego, żeby do niego przemówić.
Zagradzała mi drogę, ale nie miałem w stosunku do niej złych zamiarów. Na razie miałem czas. Siadłem przed nią na gładkiej, zaklęśniętej podłodze.
„Spieszę się – powiedziałem do niej. – Chciałbym wstąpić do sterowni, ale mam mało powietrza. Rozumiesz?"
Wydawało się, że słucha uważnie.
„Możliwe, że to kaprys, ale bardzo chciałbym tam wstąpić. Przepuść mnie proszę".
Membrana zakołysała się.
„Proszę, przepuść mnie do sterowni" – raz jeszcze poprosiłem.
Zadrżała i powoli rozstąpiła się, dzięki czemu mogłem pójść dalej.
– A pistolet – przypomniałem mu, kiedy zamilkł. – Gdzie on się podział? Obiecał pan...
– Tak – mruknął niewyraźnie. – Później znalazłem się w sterowni. Długo tam siedziałem, oglądając osobliwe przyrządy, których przeznaczenie znałem z książek. Najciekawsza z nich była kula na środku sterowni. Specjalną, cienką igłą przekłuwałem w niej dziurki, a wtedy naprzeciwko nich, na sferycznych ścianach pomieszczenia zapalały się gwiazdy, zupełnie jak wyświetlane w planetarium. Gdybym narysował na kuli prawdziwe konstelacje gwiezdne w jakimkolwiek rejonie, statek bezzwłocznie przeniósłby mnie tam. Ale prawdopodobieństwo przypadkowej zbieżności było znikomo małe i mogłem tak zabawiać się do woli. Nagle, w samym środku tej zabawy spostrzegłem, że minęła już większa część czasu, że muszę natychmiast wracać do sondy, jeśli, rzecz jasna, nie zamierzam pozostać tu na zawsze. Pobiegłem z powrotem.
– Rozumiem – poczułem się rozczarowany. – Krótko mówiąc, zapomniał pan pistoletu w sterowni?
– Niestety, nie. W tunelu natknąłem się ponownie na membranę, która czekała na mnie, wywijając nie istniejącym ogonem. Nie mieliśmy w stosunku do siebie wrogich zamiarów. Wydawało się, że wszystko jest jak za pierwszym razem. Ale, rozumie pan, sytuacja nieco się zmieniła.
„Przepuść mnie, proszę – powiedziałem do niej. – Bardzo się spieszę".
Wyczuła chyba w moim głosie zniecierpliwienie, bo tylko zakołysała się.
„Proszę, puść mnie" – raz jeszcze poprosiłem.
Naprężyła się, ściślej przylegając do ścian.
„Puść mnie" – powtórzyłem. Spokojnie, jak mi się zdawało. Zrobiła się jeszcze twardsza. Rozumiałem ją, ale nie miałem czasu. Już niczego, niestety, nie mogłem ze sobą zrobić.
„Natychmiast mnie przepuść! – krzyknąłem. – Słyszysz?"
Drgnęła, cofnęła się troszkę, stwardniała i zrobiła się głucha jak ściana więzienia.
– A pan...
– Tak – potwierdził. – Gdybym nie miał promiennika, wszystko byłoby inaczej. Znalazłbym pewnie odpowiednie słowa.
Ale...
Zamilkł na chwilę, po czym kontynuował:
– Od tej pory nie zdarzyła mi się sytuacja, w której broń byłaby rzeczywiście niezbędna. Jest to chyba oczywiste. Moim zdaniem, broń jest orężem zła oraz tym, czym walczy się z uzbrojonym złem. Ale przecież nawet wojny, których już dawno nikt nie pamięta, wygrywano nie tylko orężem. Tym niemniej przy pańskim pasie wisi „uniwersalny instrument" i, jak słusznie pan zauważył, jest to „broń również". Jasne, że wykonać otwór można nie tylko w ścianie. Posługuje się pan nim dlatego tylko, że go pan posiada. Tylko dlatego. Czy polował pan kiedyś?
– Nie.
– Szkoda. Lepiej by mnie pan zrozumiał. Kiedy wchodzi się do lasu z bronią, wszystko się zmienia. Inaczej reaguje się na zapachy, na dźwięki... i patrzy się nie tak, i idzie się inaczej, i myśli. Słowem, jest się innym człowiekiem.
Rozumie pan?
Potem dodał:
– I na odwrót – bez broni, jest się również innym człowiekiem.
Odszedł, a gdy pół godziny później zapowiedziano rejs do systemu słonecznego, wraz z tłumem współpasażerów ruszyłem na lądowisko.

Przełożył **Dariusz Struś**

■

Michaił PUCHOW

urodził się w 1944 roku w Domsku. Ukończył Moskiewski Instytut Fizyczno-Techniczny. Do 1977 roku pracował w Moskiewskim Instytucie Naukowo-Badawczym. Debiutował w 1968 roku opowiadaniem *„Ochotnaja ekspedycja"* opublikowanym w Fantastyce 67. W 1977 roku w Bibliotece Sowietskoj Fantastiki wydał tomik autorski *„Kartinnaja galeria"*. Oprócz tego do 1977 roku wydał 5 opowiadań w różnych pismach.
Opowiadanie *„Człowiek z pustą kaburą"* ukazało się w 1982 roku w Bibliotece Sowietskoj Fantastiki w zbiorku „Zwiezdnyje dożdi".

alabastrowy ogród

(El jardin de alabastro)

Teresa Inglés

... ale my, samotni wędrowcy, wiemy dobrze jak zuchwałą jest ludzkość gdy wyobraża sobie, iż rozumie cały Wszechświat.
Wyznaczyliśmy pienistą ścieżkę pomiędzy dwoma portami i już uznaliśmy się za władców mórz.
Ułożyliśmy dwie cieniutkie stalowe szyny i ogłosiliśmy się panami kontynentów.
Zbudowaliśmy wąską nitkę asfaltowej szosy wśród leśnej skóry Amazonii i wyobrażaliśmy sobie, że opanowaliśmy prastarą dżunglę.
A przecież wszystko to, to jedynie przygotowanie, to nici, które wiodą ku właściwej drodze. Szlaki z asfaltu, metalu, linie przeprowadzone atramentem na mapach mórz i nieba, to tylko środek po temu, by wyciągnąć nas z umysłowego lenistwa.
Teraz nadszedł już czas, by wyrysować mapę przestworzy: nieco ponad sto linii na dwuwymiarowej mapie Układu Słonecznego i dziewiętnaście szlaków na trójwymiarowej mapie galaktyki. A poza nimi Terra Incognita.
Dziewiętnaście oddzielnych szlaków. Lecz któregoś dnia będzie ich z pewnością dwadzieścia...

Gdy doszedłem do tego miejsca uniosłem wzrok znad trzymanej w ręku karty i spojrzałem na siedzącego przede mną Orama Dumę – czterdziestoletniego, wysokiego, szczupłego mężczyznę o zniszczonej twarzy – znanego biochemika i archeologa, a przede wszystkim serdecznego przyjaciela zmarłego Olse.

– Skąd się tu wzięła dwudziesta linia – spytałem – co to oznacza?

– Dokładnie to, co zostało napisane – odparł z przewrotnym uśmiechem. – Po prostu istnieje dwudziesta marszruta podprzestrzenna, która dziś jeszcze nie jest oznaczona na żadnej mapie nawigacyjnej.

– Czy wie pan coś więcej o tej marszrucie? Może pan...

– Tak, chętnie podzielę się z panem swoją wiedzą na ten temat – odparł spokojnie. – O ile oczywiście nie uzna pan tego za nieprawdopodobne. To, co tu pokazuję, to nie jest bynajmniej wymysł starego, zbzikowanego człowieka. O to chciał pan zapytać, prawda?

– Zna pan przecież mój podziw dla Olsego – zaprotestowałem. – I to chyba też było powodem, dla którego mnie pan odszukał...

– To tylko jeden z powodów. Nie przeczę, że istotny. Drugim jest fakt, iż jest pan najwyższej klasy pilotem...

– Dziękuję, ale, przy całym respekcie dla pana i Olsego poczytalności, chciałbym najpierw usłyszeć coś konkretnego.

– Czy zna pan wiersz o Alabastrowym Ogrodzie? – spytał nagle i wyglądało na to, że chce zmienić temat.

– Każdy miłośnik poezji zna go – powiedziałem nieco zdezorientowany dziwnym przebiegiem rozmowy. I jakby dla poparcia swoich słów zacytowałem pierwszą zwrotkę:

„Władcą twoim jest czas.
Godziny snu przywołują
wieczne ogrody
pełne róż..."

– Bardzo dobrze – przytaknął Duma. – Gdy rozmawiałem z Olsem na kilka dni przed jego śmiercią, mówiliśmy między innymi o tym wierszu. Spytałem go co tak naprawdę chciał w nim wyrazić i jak powinienem rozumieć jego metaforykę. Odparł wtedy, że nie ma tu żadnych metafor. „Alabastrowy ogród istnieje naprawdę – stwierdził stanowczo. – Byłem tam, a wiersz nie jest niczym więcej jak jego realistycznym opisem."

– Przepraszam bardzo – przerwałem – nie chciałbym uchodzić za sceptyka, ale Olse był genialnym wizjonerem i jego poetyckie wędrówki nie są wcale żadnymi argumentami. Był już stary, stał niemalże nad grobem...

– I mnie się wtedy tak wydawało, przyjacielu – odparł Duma. – Rzeczywiście, gdy mówił o tym, wyglądał jak natchniony. Dlatego i ja nie przywiązywałem wówczas zbyt wielkiej wagi do jego słów. Ale gdy umarł i wyznaczył mnie na egzekutora swojego testamentu, przeglądając jego zapiski natrafiałem często na określenia takie jak „wieczne ogrody" czy „alabastrowe ogrody". A co ważniejsze – znalazłem daty i opisy marszruty podprzestrzennej, którą dotarł do swojego celu.

Jeśli Duma miał ochotę mnie poruszyć to zrobił to po mistrzowsku.

– Ależ to nie ma żadnego sensu – zaoponowałem. – Jeśli Olse rzeczywiście kiedyś był w takim ogrodzie, to dlaczego nie przekazał wszystkich danych do Centrum Lotów Kosmicznych? Wie pan przecież równie dobrze jak ja, że wszystkie znane marszruty podprzestrzenne i trasy międzygwiezdne nanoszone są na specjalne mapy. I że Centrum zajmuje się tym bardzo aktywnie i troskliwie.

– Ależ tak – potwierdził. – Tylko, że nawet ślepej kurze trafia się ziarno, prawda? Musi mi pan wybaczyć to, co powiem: wariaci, którzy biorą na siebie całe ryzyko wyszukiwania dróg w podprzestrzeni mają często bardzo dużo entuzjazmu i bardzo cieniutką warstewkę wiedzy astronomicznej – dwie zupełnie wydawałoby się sprzeczne w tym przypadku cechy. Oczywiście od czasu do czasu któremuś z nich udaje się osiągnąć swój cel, który po zaakceptowaniu przez urzędników otwiera oficjalnej astronautyce nowe drogi.

– W porządku, ale z powodu oportunistycznej polityki Centrum Lotów nie musi mnie pan atakować. Jest przecież faktem, że jeżeli jakiś nawigator albo grupa badaczy minie się z celem nawet nieco więcej niż o rok świetlny – Centrum uznaje to za sukces i zwraca wszelkie koszty wyprawy. A pan mówi mi, że Olse w y l ą d o w a ł na planecie. Więc jak to się stało, że Centrum nie dysponuje żadną mapą tej trasy? Dlaczego Olse zachował swoją tajemnicę aż do śmierci? I czym wytłumaczy pan tak osobliwe postępowanie?

– Ależ on wcale nie próbował zatrzymać tego dla siebie! Mam tu kopię jego raportu dla Centrum Lotów Kosmicznych – obruszył się Duma wskazując na trzymaną między kolanami aktówkę. Z tej właśnie aktówki wyciągnął również wcześniej manuskrypt, który trzymał w ręku.

– A potem...

– A potem rozpoczęto normalną rutynową procedurę. Centrum sprawdziło koordynaty podane przez Olsego i odnalazło w przestrzeni odpowiadający im punkt, w którym... nie było nic. Zdaniem Centrali Olse odkrył... jedynie kawałek próżni. Wynikające stąd rozczarowanie wpędziło go w zastępczy świat urojonych wizji, do których miał skłonność ze względu na swą poetycką naturę. Mówiono, że wyśnił sobie cudowny świat, który oznaczył bezsensownymi koordynatami...

– Muszę zaznaczyć – wtrąciłem stanowczo – że ta teza nie jest tak bardzo bezpodstawna. Nie byłby bowiem pierwszym, którego opanowały w kosmosie halucynacje. Zdarzali się ludzie o znacznie gorzej rozwiniętej wyobraźni, którzy twierdzili, że widzieli tam półnagie czarownice szybujące na skrzydlatych słoniach.

– Zgoda – potwierdził Duma. – Przecież ja się nie kłócę o to, że tam nie zdarzają się halucynacje. Ale ja znałem Olsego zbyt dobrze. I mogę stwierdzić pod przysięgą, iż był tak zdrowy psychicznie jak mało kto.

– Ale jeśli koordynaty nie przyśniły mu się to...

– W zbadanym przez nas obszarze czterdziestu lat świetlnych w podanym kierunku nasze instrumenty nie wykryły żadnego ciała.

Z tego tępogłowi w Centrum Lotów Kosmicznych wysnuli wniosek, że chodzi o kompensację, ekwiwalent kosmicznego rozczarowania. Ja jednak jestem innego zdania...

– Myśli więc pan, że rozmawiamy o niewidzialnym systemie gwiezdnym?!

– Właśnie tak! Jeśli zada pan sobie trud przestudiowania opisów, które trzyma pan w ręku i porówna to z innymi dokumentami, które ze sobą przyniosłem, uświadomi pan sobie, że planeta odkryta przez Olsego obiega olbrzymie Słońce. Jest ono większe od naszego i czerwone...

– Przecież to nierealne – oburzyłem się. – W odległości czterdziestu lat świetlnych nie może znajdować się żadna gwiazda, której nie uchwyciłyby nasze instrumenty. Na dodatek – jak twierdzi pan – wielka...

– A czyż ta okoliczność nie czyni tej sprawy jeszcze bardziej interesującą? – odparł z lekkim wzruszeniem ramion. – Jeśli tam rzeczywiście znajduje się jakieś Słońce, które skutecznie potrafi ukryć się przed naszymi instrumentami – to czy nie jest interesujące znalezienie odpowiedzi na pytanie: dlaczego tak się dzieje?

Rigel Olse był nie tylko jednym z największych poetów swoich czasów, ale także jednym z najsłynniejszych nawigatorów. Podróżujący wśród gwiazd poeta i idol całej generacji marzycieli! W szczególności bożyszcze całego pospólstwa narwańców, którzy – jak ja sam – jego życie i przygody zdobywcy kosmosu postawili sobie za wzorzec do naśladowania.

Ale Olse był nie tylko poetą i astronautą. Był także archeologiem i jak jego przyjaciel – Duma – niestrudzonym poszukiwaczem, który zwiedzał archiwa i biblioteki z takim samym entuzjazmem, z jakim pokonywał przestrzenie kosmosu. I wygląda na to, że w swoją tajemniczą podróż nie wybrał się przypadkowo. Odnalazł bowiem w jakichś bardzo starych dokumentach tajemnicze zapiski. Dumie wydawało się nieprawdopodobieństwem powtórzyć cały tok jego prac przygotowawczych, ale był przekonany głęboko o tym, że określenie nowej trasy jest nie tyle zasługą Olsego – astronauty, co przede wszystkim Olsego – archeologa.

Wnioski, jakie dawały się wysnuć z takiego założenia były wręcz ogłuszające. Podróże w podprzestrzeni wciąż jeszcze tkwią w powijakach i ciągle borykają się z niedostatkami teorii. Zanurzając się w podprzestrzeń wtedy tylko można być pewnym osiągnięcia wyznaczonego celu, jeśli trzyma się dokładnie instrukcji udzielonych przez tego, kto daną drogę przebył. Często powodzenie całego przedsięwzięcia zależy jedynie od ślepego zrządzenia losu. Ale też tą jedynie drogą opanować można nawigację w podprzestrzeni. Powstały więc szczegółowe mapy, na których cieniutkimi liniami oznaczano marszrutę normalną, kropkami zaś miejsca podprzestrzennych przejść. Wygląda więc na to, że w jakichś starych papierzyskach Olse musiał wygrzebać taką nieznaną nikomu mapę lub bardzo dokładny opis umożliwiający mu wyliczenie nowej podprzestrzennej marszruty. Marszruty bardziej niż zdumiewającej.

Tym jednak co pasjonowało nas najbardziej było znalezienie odpowiedzi na pytanie czy planeta Olsego istnieje naprawdę. W krótkim czasie staliśmy się parą nierozłącznych przyjaciół. A odpowiedź ostateczną uzyskać można było w jeden tylko sposób...

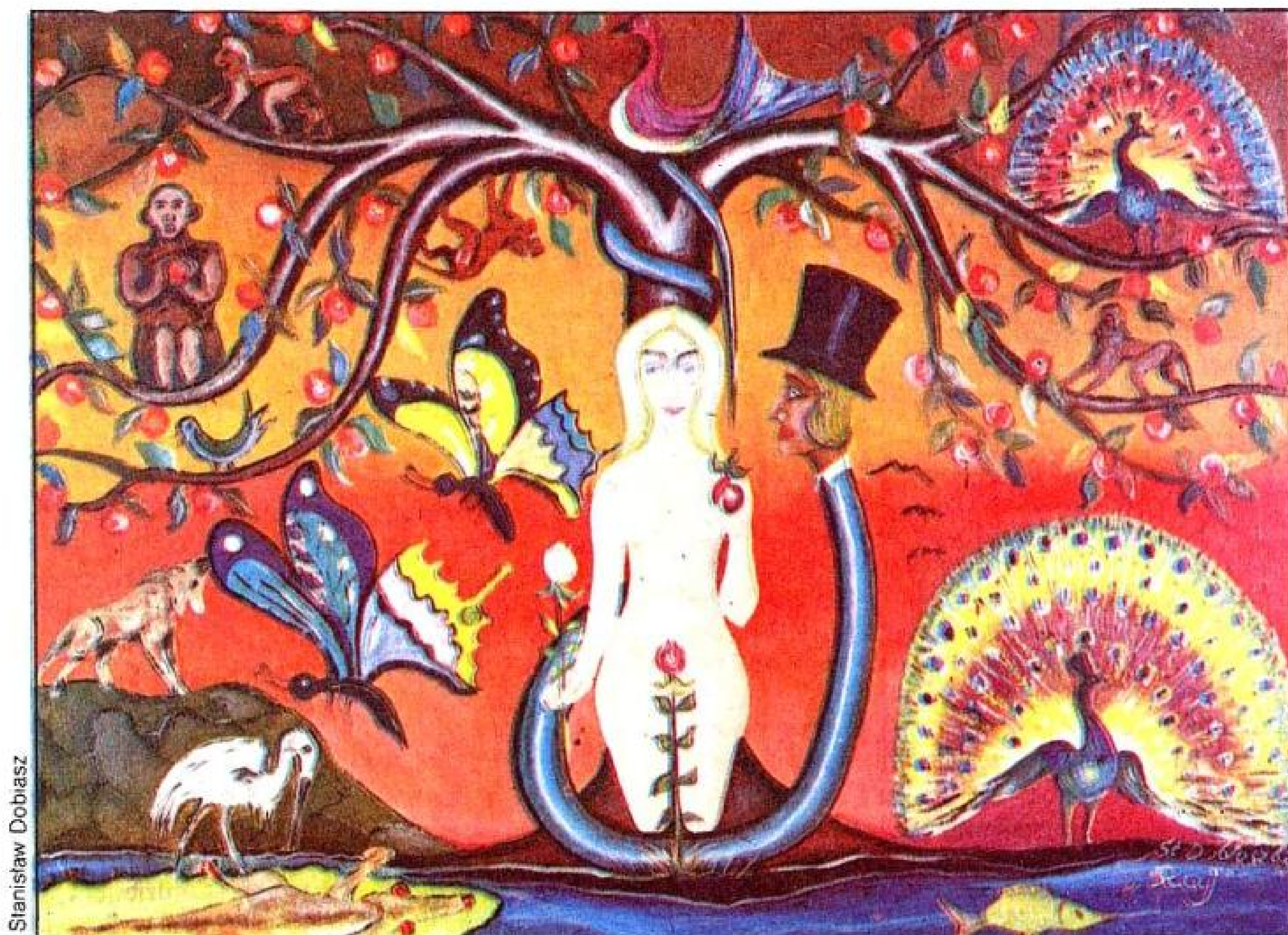
Pozostał nam jeszcze tylko jeden skok, a przestrzeń wokół nas nadal pozostawała pustką.

– Wygląda na to, że braciszkowie z Centrum mieli rację – stwierdziłem ponuro.

Duma nie wyglądał jednak na załamanego. Usłyszawszy moje stwierdzenie odparł spokojnie:

– Jeszcze nie skończyliśmy lotu, Len. Jeśli istnieje coś, co czyni gwiazdę niewidzialną z odległości czterdziestu lat świetlnych, to logiczne jest chyba, że to coś może zasłaniać ją również z odległości kilku milionów kilometrów. A przecież powinien pan wiedzieć, że przy każdym skoku trzeba brać pod uwagę błąd rzędu jednego roku świetlnego... Jeśli gwiazda Olsego rzeczywiście istnieje, a o tym wciąż jestem przekonany, musi też istnieć jakaś bariera, która absorbuje wysyłane przez nią promieniowanie.

–Ale skoro jesteśmy tak blisko i nadal niczego konkretnego nie możemy ustalić, musielibyśmy przyjąć, że bariera ta izoluje cały system.



Stanisław Dobiasz

– Czemu nie? Może to coś w rodzaju wielkiego kosmicznego jaja, którego żółtkiem jest nasza gwiazda?
Taka możliwość zmroziła mnie. Nasze wcześniejsze spekulacje doprowadziły do wniosku, iż pomiędzy gwiazdą Olsego a Słońcem znajduje się coś w rodzaju chmury pyłowej albo innej naturalnej zasłony. Istnienie bariery, jak sugerował Duma, wskazywałoby na fakt, iż nie jest to twór naturalny, ale wynik czyjegoś świadomego działania. I właśnie myśl o tym, że istnieje ktoś zdolny do zbudowania takiej zasłony, napełniła mnie strachem.

– A co będzie jeśli to jajo okaże się tak samo puste jak otaczająca nas przestrzeń?

– Być może. Wkrótce się zresztą o tym przekonamy. Jeśli znajdziemy się po drugiej stronie tej gigantycznej bariery musimy stracić z oczu Słońce. Skoro Olse się tam dostał – muszą być jakieś drogi przejścia na drugą stronę. Sądzę, że znalezienie ich powinniśmy zostawić komputerowi. A żeby zdobyć dane trzeba wysłać sondy.
– Tak, ale zgodnie z tym, co ustaliliśmy, stracimy z nimi kontakt.
– Ale przekonamy się przynajmniej czy przy przekraczaniu granicy światów nie grozi nam eksplozja, a to już coś.
Duma popatrzył na mnie z namysłem.
– Pan jest pilotem, Len. Nie mogę pana do niczego zmuszać...
– Ilekroć lecę w kosmos – przerwałem mu – ryzykuję życiem. I to w znacznie mniej interesujących sytuacjach. Więc nie cofnę się dopóki nie przekonam się naocznie co znajduje się po drugiej stronie tej niesamowitej zasłony...

Po drugiej stronie widniała czerwona gwiazda wyglądająca jak Słońce o poranku. Po okalającej ją orbicie toczyła się jedyna planeta. Miała nadającą się do oddychania atmosferę i nieco mniejszą niż Ziemia siłę przyciągania. Oprócz tego planeta nie obracała się.
Tak to przynajmniej na pierwszy rzut oka wyglądało. W rzeczywistości jednak pozycja Słońca na niebie globu ulegała powolnej zmianie. Wyliczyliśmy, że dzień równa się tu rokowi. A rok – dziesięciu latom ziemskim.
– Olse był tu jakieś pięć lat temu. Ogród powinien więc znajdować się teraz gdzieś w pobliżu strefy cienia – powiedział Duma przeglądając jakieś zapiski.
– Skoro tak, to musimy się pospieszyć. Jeśli gdzieś tu rzeczywiście jest – odparłem spoglądając ze sceptycyzmem na pokrytą morzem piasku powierzchnię planety.
Paradoksem tego świata było bowiem to, iż tak podobny do Ziemi pod względem warunków atmosferycznych, przy pierwszym spotkaniu wyglądał jak naga, pozbawiona całkowicie życia, wiatru, chmur i wody czerwona pustynia. Wszędzie jedynie regularne zwały piachu oświetlone czerwonym światłem nieruchomego dla nas Słońca.

Poszukiwane miejsce przyciągnęło nas raczej samo, niż udało nam się je odkryć. Mała nieregularność w absolutnej monotonii piaszczystego krajobrazu; oaza cienia w nagrzanym świecie piasku.
I gdy tylko przybyliśmy na miejsce, zrozumieliśmy dlaczego Rigel – jeden z największych poetów swojego pokolenia – tak bardzo przejęty był swoją ostatnią podróżą... i dlaczego wszyscy skłonni byli uznać go za wariata.
Przed nami rzeczywiście rozciągał się alabastrowy ogród. I mimo obcego dla nas wyglądu, panujące w nim warunki były wprost dla ludzi wymarzone: ciążenie około 0,8 g, temperatura 20°C, świeża, przepojona niesamowitym zapachem atmosfera. A niemożliwe by był to przypadek.
Aleje róż. Cudowny, skamieniały ogród, w którym skamieniałe alabastrowe kwiaty znalazły schronienie w cieniu nadciągającego powoli zmierzchu.
Gdy przemierzaliśmy jego ścieżki mój umysł opanowała melancholia, potem zmęczenie, a w końcu przepełnił mnie zdumiewający, błogi spokój. Nigdy nie uważałem się za człowieka agresywnego, ale w tym ogrodzie nie byłbym zdolny odpędzić nawet natrętnego owada, gdyby się taki pojawił. Ale tu nie było żadnych owadów krążących wśród alabastrowych róż.
Tylko raz jeden podczas naszej wędrówki chciałem zmącić spokój ogrodu. Pomyślałem, że kilka spośród tych niezwykłych kwiatów trzeba byłoby poddać analizie. Ale gdy wszedłem między nie z zamiarem zrealizowania swojego pomysłu, nie mogłem się zdecydować na naruszenie otaczającego mnie porządku stworzenia.

W normalnych warunkach krzyczałbym ze strachu. Ale gdy przepełniony tym swoistym i w sumie bardzo przyjemnym zmęczeniem odkryłem posąg, zatrzymałem się i patrzyłem nań zdumiony. Zamurowało mnie tak, że nie mogłem wymienić z Dumą żadnego zdania, mimo iż stał tuż obok, zapewne podobnie jak ja zdumiony i zaszokowany.
Posąg przedstawiał nagą, bezwłosą kobietę, która odtworzona była z taką samą precyzją jak i reszta ogrodu. Stała na białym podeście obok pojemnika pełnego martwej wody. Miała zamknięte oczy i ręce uniesione ku czerwonemu słońcu.
Przypomniały mi się słowa wiersza:
„Władcą twoim jest czas.
Godziny snu przywołują
wieczne ogrody
pełne róż..."
Nie odważyliśmy się jej dotknąć, ba, nawet zbliżyć się zbytnio do niej. Staliśmy zafascynowani podziwiając jej piękno. W końcu w milczeniu odwróciliśmy się i wróciliśmy do statku.

— Nie sądzę, że powinienem odlecieć pozostawiając tu pana samego – sprzeciwiłem się koncepcji, jaką uczony wyłożył mi po kilku dniach dyskusji na temat planety i tego, co tu zastaliśmy.
– Niech pan będzie rozsądny, Len – przekonywał mnie – To jedyna możliwość jaka nam pozostaje. Działa tu jakaś siła, która z pewnością może nas kontrolować. Cóż więc nam pozostaje? Jeśli zostaniemy tu obaj może nas ona w każdej chwili zniszczyć. Tego ryzyka nie wolno nam podjąć. Jeśli pan teraz odleci i wróci po ustalonym czasie – być może znajdzie pan rozwiązanie frapującego nas zagadnienia.
– W takim wypadku powinniśmy losować, który z nas powinien tu zostać.
– Len, pan jest pilotem tej ekspedycji, ja zaś naukowcem. Pilot powinien obsługiwać statek, naukowiec natomiast skonstruować odpowiednie aparaty i zrobić z nich należyty użytek. Czy to nie brzmi logiczniej od pana romantycznych porywów?
To brzmiało logiczniej. Zostawiłem więc Dumie wszystkie niezbędne przyrządy, pomogłem w urządzeniu prowizorycznej stacji i wróciłem na Ziemię.

Oddałem się gruntownemu studiowaniu dokumentów Olsego. Szukałem jakiejkolwiek podstawy, która mogłaby wskazać związek tej niesamowitej planety z Ziemią. Bo posąg kobiety był niewątpliwie posągiem Ziemianki. Ale papiery Olsego były tak bezładne i niekompletne, iż trudno było na ich podstawie marzyć o rekonstrukcji czegokolwiek i wyciągać jakiekolwiek wnioski o przyczynach, które pchnęły go do tej fantastycznej podróży.
Przez cały czas dręczył mnie niepokój i troska o Orama. Czy nieznana siła, panująca nad planetą nie zniszczyła go, czy pozwoliła mu działać zgodnie z naszymi planami? Rozstając się ze mną polecił mi powrócić tam po roku, gdyż tyle, jego zdaniem, czasu było potrzeba na przygotowanie i przeprowadzenie podstawowych eksperymentów. Nie zgodziłem się jednak na tak długą przerwę. Umówiliśmy się za sześć miesięcy.
To było sześć najdłuższych miesięcy mojego życia.

Orama nie było na stacji. Nie znalazłem też żadnej wiadomości od niego. Pełen niepokoju szedłem przez ogród. Tym razem nie bałem się już o siebie, myślałem jedynie o Dumie i o tym, że nigdzie nie napotkałem jakichkolwiek śladów jego działalności. Na to jednak, co ujrzałem nie byłem przygotowany.

Teresa INGLÉS
– hiszpańska dziennikarka i tancerka baletu, jest w fantastyce naukowej gościem. Mieszka i pracuje w Barcelonie. W 1979 roku opublikowała w miesięczniku Nueva Dimension *„Alabastrowy ogród"* – opowiadanie, które tak spodobało się męskiej części czytelników tego pisma, iż postanowili ufundować jej specjalną nagrodę.

Musiałem dokonać nadludzkiego niemal wysiłku, by zbliżyć się do wyrosłej nagle przede mną statuy mojego przyjaciela. Ogromniejącymi ze strachu i zdumienia oczyma zajrzałem mu przez ramię do trzymanego przezeń w ręku otwartego notesu.
Wyglądało na to, że zaczął coś w nim zapisywać. Było to jednak tylko kilka słów. Z rosnącym coraz bardziej zdumieniem przeczytałem: *„Len, wszystko w porządku"*.
Pisak przywarł do notesu tak samo zatrzymany w pół ruchu jak cały posąg. Wyglądało na to, że skamieniał nagle, akurat w chwili gdy, o ironio, chciał mi przekazać, że wszystko jest na najlepszej drodze do osiągnięcia założonego celu.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę z tego, co wcześniej wydało mi się tylko objawem chwilowego przestrachu – cały ten ogród to pułapka. Jakaś tajemnicza siła zbudowała sobie w tym zakątku kosmosu dziwaczną zabawkę lub laboratorium. Kobieta na postumencie musiała być dziewczyną, którą ta tajemnicza siła przed laty porwała z Ziemi, zamieniła w kamień i ustawiła w tym monstrualnym ogrodzie. To właśnie musiało być odkrycie Olsego wygrzebane w starych dokumentach. Więc władcy tej planety odwiedzali kiedyś Ziemię! A może... Jedyne, co poczułem to chęć jak najszybszego wyrwania się stąd.

Minęły cztery lata od chwili mojej ucieczki z alabastrowego ogrodu. Cztery lata, które poświęciłem na walkę z głupotą i konserwatyzmem.

Natychmiast po powrocie udałem się do Centrum Lotów Kosmicznych. Gdy opowiedziałem urzędnikom całą tą historię spotkał mnie ogromny zawód. Naukowcy pracujący w Centrum ograniczyli się do tego, iż ogłosili teorię, że gdzieś na trasie odkrytej przez Olsego musi występować promieniowanie, które uszkadza ludzki mózg. A więc nie można nią latać. Na wszelką pomoc mogłem liczyć teraz mniej niż kiedykolwiek.

Często szukałem okazji, by wrócić do alabastrowego ogrodu. I gdy kilkakrotnie wydawało mi się, że mogę zrealizować swój zamiar, na przeszkodzie stawał strach. Zwyczajny ludzki strach zakrawający niemal na fobię. Wyglądało na to, że jakaś tajemnicza siła, która powstrzymała Olsego od powtórzenia wyprawy i zmusiła do zatajenia części notatek, teraz zapanowała i nade mną. Przecież osoba o jego reputacji z łatwością znaleźć mogłaby sponsorów kolejnej wyprawy. Ale gdy urzędnicy uznali go za kłamcę, całą swoją energię skierował w niewłaściwym kierunku. Wydawało mu się, że tylko poezja jest dobrą formą przekonania świata o jego racji. Aż do śmierci.
W końcu jednak przełamałem się.

Gdy wylądowałem koło naszej prowizorycznej bazy zaparło mi dech w piersiach. Na jej srebrzystym dachu widniały duże czerwone litery: „WITAJ LEN".

Zdumiony wszedłem do środka. Cóż mi zresztą innego pozostało? Czy miałem jakiekolwiek możliwości, by przeciwstawić się potędze gospodarzy planety? Byłem przecież wobec nich całkowicie bezsilny. Ale nic złego się nie wydarzyło.
Na biurku Orama zauważyłem ten sam notes, który widziałem w jego ręku gdy zamienił się w kamień. Poznałem też pierwsze słowa: *„Len, wszystko w porządku"*. Ale tym razem informacja była dłuższa.

Przez chwilę ugięły się pode mną nogi. Musiałem usiąść nim zdecydowałem się sięgnąć po zapiski i odczytać je.
„Len, wszystko w porządku!
Właśnie pan przyleciał i nie miałem dość czasu, by spisać dla pana wystarczające wyjaśnienie. Mógł pan zobaczyć jedynie pierwsze słowa i wiem doskonale, że niewiele się z tego można domyślić. Ale wiem także, że pan tu wróci i teraz mogę wszystko spokojnie opisać.

Kobieta żyje. Wydała nam się martwą statuą, gdyż jej rytm życia jest znacznie powolniejszy niż nasz. Doszedłem do tego gdy przekonałem się, że oddycha, że jej serce bije. To nie było łatwe. Przez cały czas musiałem walczyć z przeciwnościami ogrodu, który strzegł jej bardzo zazdrośnie. Prawa rządzące nim w dalszym ciągu pozostają dla mnie zagadką.

Po pewnym czasie ustaliłem, że rytm życia tej kobiety jest cztery tysiące razy wolniejszy od naszego. To znaczy, że nasza subiektywna godzina stanowi dla niej nieco więcej ponad sekundę.
Gdy tu przybyliśmy i odkryliśmy ją, była akurat pogrążona w medytacjach (to tutejszy odpowiednik snu). Gdy wrócił pan po sześciu miesiącach – dla niej upłynęła dopiero godzina i w dalszym ciągu jeszcze spała. Ale byłem pewien, że kiedyś musi się obudzić. I, że wtedy muszę być taki jak i ona. Dlatego przystosowałem swój rytm biologiczny do jej rytmu. Naturalnie wcześniej miałem zamiar spisać panu wszelkie wyjaśnienia. Ale tajemnicza moc ogrodu sprawiła, że wszystko zapomniałem.
Nie wiedział pan dotąd, że jako biolog miałem duże osiągnięcia w dziedzinie pomiarów procesów metabolicznych i w zmienianiu ich rytmu. To przede wszystkim było powodem, dla którego Olse, pragnąc wyjaśnić swoją tajemnicę, zaprzyjaźnił się ze mną. Nie wszystko, co tu zastaliśmy było tak samo wielkim zaskoczeniem dla mnie jak dla pana. Parę rzeczy wiedziałem już wcześniej, chciałem jednak, by zachowywał się pan tak, jak musiał zachować się Rigel. Przepraszam, ale nie mogłem powstrzymać się przed tym eksperymentem.

Już tu, na miejscu, znalazłem sposób zrównania swojego rytmu biologicznego z rytmem tej kobiety. Co prawda nie wiem czy całkiem mi się to udało (w końcu sprawdzić to mogę jedynie empirycznie sam na sobie), ale myślę, że gra warta świeczki.
Gdy przybył pan poprzednim razem na tę planetę spędziłem już około miesiąca żyjąc nowym rytmem (w moim odczuciu było to zaledwie kilka minut). Gdy zauważyłem pana statek (przez czysty przypadek, gdyż pańskie lądowanie było dla mnie mignięciem meteoru) przypomniałem sobie, że nie zostawiłem żadnej wiadomości. Mogę sobie wyobrazić jakim przerażeniem napełniła pana moja nowa postać. Ale czar ogrodu ma mnie już w swojej mocy. Nie jest on wprawdzie niepokonany, ale nim dotarł pan tu ze swego statku niewiele mogłem zdziałać. Miałem tylko tyle czasu, by wydobyć z kieszeni notes i napisać kilka słów.
Teraz zniknął pan znowu i mam czas, aby wszystko to spokojnie spisać, gdyż nie sądzę, by wrócił pan przed upływem kilku miesięcy.

Mam nadzieję, że do tego czasu kobieta obudzi się i uda mi się w jakiś sposób z nią porozumieć. Mam też nadzieję, że któregoś dnia odgadnę do końca istotę tego ogrodu, tego świata. I jego związek z przeszłością Ziemi.
Jeśli ta kobieta znalazła się tu wbrew swojej woli, znajdę sposób, by ją wyrwać z tego więzienia. Mam pewne podstawy by sądzić, że stan obecny nie jest zgodny z jej normalnym rytmem biologicznym. Subiektywny rytm biologiczny tej kobiety wydaje mi się być zbliżony do naszego. Mógłbym przedstawić panu mnóstwo przemawiających za tym logicznych i naukowych dowodów, ale nie chcę zanudzać pana zbędnymi detalami.
Może też być tak, że cały ten świat jest jej osobistym ogromnym osiągnięciem, że w ten sposób właśnie osiągnęła szczęście.
Jakkolwiek się by jednak sprawy przedstawiały, jedyną drogą wyjaśnienia zagadki jest bezpośrednie porozumienie z nią. I dlatego musiałem przekroczyć barierę czasu, która dzieliła nas od siebie.
Nie wiem kiedy pan wróci, Len. Jestem jednak przekonany, że tak będzie. Mam nadzieję, że te zapiski uspokoją pana. I być może przydadzą się, gdyby mój eksperyment jednak się nie powiódł.

Z biciem serca dobiegałem do pierwszych krzaków róż. Ale ku mojemu zdziwieniu nie spotkała mnie żadna nieprzyjemna niespodzianka. Róże wyglądały przyjaźnie, jakby pozdrawiały mnie niezwykłym blaskiem i zapachem.
Długo wędrowałem po ścieżkach ogrodu starając się tym razem już w żaden sposób nie zakłócić spokoju miejsca, które emanowało dziwną życzliwością i radością. Wreszcie ujrzałem ich. Na białym podeście siedziały dwie alabastrowe istoty. Trzymały się za ręce i uśmiechały do siebie. Zaś w żwirze ścieżki któreś z nich, zapewne Oram, wypisało wielkimi literami: „TEN OGRÓD I CAŁA TA STREFA TO DZIEŁO KOBIETY CZEKAJĄCEJ NA MĘŻCZYZNĘ SWOJEGO ŻYCIA..."

Przełożył **Andrzej Wójcik**

■

KSIĘŻNICZKI I EMANCYPANTKI

Susan Wood

„Kobiety mają dla siebie wydzielone miejsce nawet w świecie mężczyzn" – twierdzi opryskliwy, stary kapitan statku międzyplanetarnego z *„Priestess of the Flame"* – Sewell Peasle'a Wrighta („Astounding", lipiec 1932).

„Kobiety mogą brać udział w akcji utworu science fiction, ale pod warunkiem, że ukazane są zgodnie z poczuciem przyzwoitości i nadzwyczaj powściągliwie" – przestrzega 19-letni Isaac Asimov, dodając – „W literaturze science fiction spotykamy najrozmaitsze wizerunki kobiet" (Statling Stories", listopad 1939.)

„W fantastyce naukowej kobiety nie występują niemal w ogóle" – oponuje amerykańska teoretyczka gatunku Joanna Russ. Jej wypowiedź pochodzi z artykułu *„The Image of Women in Science Fiction"*, który ukazał się po raz pierwszy w roku 1971 i nabrał rozgłosu po powtórnym opublikowaniu w roku 1974 na łamach magazynu „Vertex". Joanna Russ ocenia fantastykę naukową pod kątem szeroko rozpowszechnionych kryteriów: niemożności dokonania należytej charakterystyki oraz zastosowania trafnej ekstrapolacji warunków społecznych a zwłaszcza rozwoju stosunków międzyludzkich i roli obojga płci. Zarówno ją jak i innych krytyków atakowano niegdyś za założenie, że kobieta i mężczyzna winni nie tylko być sobie równi wobec prawa, ale również spełniać równorzędne funkcje w społeczeństwie. Ostatnio jednak czytelnicy zaczynają odnosić się coraz bardziej sceptycznie do stereotypów gatunku, który do tej pory był zorientowany wyłącznie na mężczyzn i również przez nich zdominowany. Rezultatem tego procesu są, ukazujące się coraz częściej, utwory fantastyczno-naukowe traktujące o problemach wynikłych z układu kobieta – mężczyzna. Powstaje też wiele artykułów krytycznych obnażających związane z tym niedomagania. Większość tych wypowiedzi opiera się na schemacie przejętym z rozprawy Joanny Russ oraz napisanego przez Pamelę Sargent znakomitego wstępu do antologii opowiadań o kobietach tworzonych przez kobiety *„Women of Wonder"* („Vintage", 1975). Typowy artykuł zaczyna się od stwierdzenia, że fantastyka naukowa jest wyraźną domeną mężczyzn, a kobiety występują jedynie na okładkach masowych wydawnictw zeszytowych, odziane tak skąpo, jak to tylko możliwe i napastowane przez ohydne, budzące grozę potwory. Po otwarciu takiej książeczki doznajemy srogiego zawodu, gdyż – jak to sformułowała ostro i celnie Anne McCaffrey – „Fantastyka naukowa ma przemawiać do rozumu, a nie do popędu" (*„Romance and Glamour in Science Fiction"* w: „Science Fiction – Today and Tomorrow", Penguin 1975). W „złotym wieku" powieści zeszytowych wydawanych masowo od chwili powstania *„Amazing Stories" (1926) do połowy lat czterdziestych, pojawiała się jeszcze kobieta, najczęściej córka wynalazcy, której wszelkie problemy naukowe musiano wyjaśniać w sposób jak najmniej skomplikowany i którą w zakończeniu triumfujący młody bohater mógł nawet pocałować, jakkolwiek skromnie. „Miłość i romans" wydawały się wówczas niezbędne, aby ożywić nieco suchą, kostyczną akcję. Powieść Hugo Gernsbacka „Ralf 124 C 41+"* wprowadza całą masę takich głupiutkich kobiet, którym trzeba wyjaśniać dosłownie wszystko – chwyt doprowadzony później do najwyższej perfekcji przez Roberta Heinleina. Podobne przykłady, jeszcze liczniejsze i bardziej śmieszne (w negatywnym znaczeniu tego słowa), można czerpać całymi garściami z tak zwanych „space opera" („oper kosmicznych"). Kobiety grają tam jednocześnie dwie role: są to albo jasnowłose ofiary, piszczące na widok potworów i ratowane przez odważnych bohaterów, albo czarnowłose, nieprzyzwoite wampy, usiłujące powstrzymać supermenów przed realizacją chwalebnej misji wyzwoliciela. Te drugie zazwyczają bawią się lepiej, ale czeka je za to niechybny koniec w postaci złamanego serca, jeśli bohater wzgardzi ich uczuciem. Najczęściej spotyka je jeszcze zasłużona kara.

Świadomość, że ten rodzaj „fantastyki naukowej" został na szczęście zaniechany, napawa otuchą, ale tylko do czasu, kiedy okazuje się, że dawne stereotypy, które kazały tamtej „kapłance płomieni" grać na kolejnych stronach „Austounding" rolę wampa, są nadal żywe. Półnagie dziewczęta zniknęły wprawdzie z okładek magazynów, ale pojawiły się w tekstach utworów jako bezwolne obiekty uciech seksualnych. I tak w lutowym wydaniu „Vertexu" z 1974 roku, zawierającym między innymi wspomniany artykuł Joanny Russ, znajduje się opowiadanie *„Nobody Lives around Here"*, drobne dziełko odkrytego niedawno pisarza dużego kalibru – Gregory Benforda. Ilustracja przedstawia (jakże mogłoby być inaczej!) nagą kolorową dziewczynę oraz dwóch białych policjantów w mundurach. Już sam początek utworu mówi czytelnikowi aż nadto dobitnie, jak widzą oni ową dziewczynę: „To dziwka, tak, z całą pewnością dziwka. Bez przerwy wodziła za nami tym swoim wygłodniałym wzrokiem". Przywódca poleca swoim ludziom zaprowadzić porządek, co wyzwala całą lawinę wydarzeń składających się na właściwą akcję opowiadania: rozboje uliczne, grabieże, morderstwa, pożary. To wszystko jest dziełem mężczyzn, o ile nie liczyć pewnej starszej kobiety, która zabija strażaka ostrzem siekiery, dając w ten sposób upust swej nagromadzonej agresji („Vertex", luty 1974).

Niewątpliwie scena ta miała na celu osiągnięcie taniego efektu szoku. Benford poddaje naturalnej krytyce istniejące współcześnie społeczeństwo, wypowiada się przeciw przemocy stosowanej przez mężczyzn, nie wiemy jednak na ile czytelnicy sympatyzują z autorem opowieści.

„Space opera" tworzyły również kobiety: Leigh Brackett i C. L. Moore (jeśli przypomnieć najbardziej znane nazwiska) – ale, o dziwo, również i one skłaniały się ku temu, aby zaakceptować wspomnianą konwencję. Zmiana nastąpiła dopiero w schyłku lat czterdziestych i na początku lat pięćdziesiątych, a więc w okresie, kiedy Ameryka Północna zaczęła dostrzegać reformę obyczajowości społecznej. Autorzy SF wyprowadzają wówczas słabą, bezbronną kobietę z fabryki i umieszczają ją w nowocześnie urządzonej kuchni jakiejś ekskluzywnej dzielnicy, tak aby mogła korzystać z tych udogodnień przez cały dzień. Jednak już w 1938 roku Lester del Rey przedstawia czytelnikom swą nową powieść *„Helen O'Loy"*, prezentując inny typ kobiety przyszłości: panią domu. W latach 1947–1949 Margaret St. Clair publikuje szerg opowiadań o Oonie i Jicku Ritterbusch, parze małżeńskiej uwikłanej w pospolite przygody w stylu amerykańskiego magazynu dla kobiet „Ladies Home Journal". W roku 1948 John W. Campbell prosi Judith Merrill o napisanie historii poruszającej problem rozwoju technologicznego z punktu widzenia kobiety. Powieść, wydana pod tytułem *„That Only Mother", zajmuje się sprawą mutacji będącej skutkiem promieniowania radioaktywnego. Bohaterką utworu jest matka przepełniona ślepą miłością do swojej córki – ofiary napromieniowania. Panie domu z roku 2050, które z zadowoleniem odkurzają zautomatyzowaną kuchnię, stanowią jednak chybioną próbę ekstrapolacji społecznej, jakkolwiek są, być może, trochę bardziej wiarygodne, niż wszystkie dawne księżniczki i kapłanki. Możliwe.*

Kobiety jako autorki literatury SF zaczynają zdobywać sławę dopiero na przełomie lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Pisarki takie jak Ursula K. Le Guin, Joanna Russ, Kate Wilhelm, Vonda McIntyre, Pamela Sargent i Suzy McKee Charnas, usiłują nakreślić nowy projekt roli kobiety, buntującej się przeciw zdaniu innych, tak jak znakomita inżynier z „Podkayne of Mars", której wmawia się, że zaniedbuje swe obowiązki, skoro nie chce pozostać w domu przy dzieciach: „Powinieneś wytłumaczyć żonie, że budowanie mostów i konstruowanie stacji kosmicznych to rzeczywiście duża frajda, ale kobieta ma do załatwienia ważniejsze sprawy". Jednocześnie kreśli się także nowe projekty roli mężczyzn.

Krytyka fantastyki naukowej, której nie udało się stworzyć wiarygodnych postaci kobiecych, sprowadza się teraz do dwóch punktów. Punkt pierwszy ma zdecydowanie charakter literacki: jest nim konieczność zastąpienia nieudanych sylwetek bohaterów (zarówno mężczyzn jak i kobiet) przez dobrze obmyślane i ukazane typy

Susan WOOD

– amerykańska teoretyczka gatunku science fiction. Jej artykuł *„Księżniczki i emancypantki"*, omawiający rolę kobiety w anglosaskiej literaturze science fiction, ukazał się po raz pierwszy w roku 1978 na łamach czasopisma „Algol" pod znamiennym tytułem *„Women and Science Fiction"*. Jego obecna, nieco skrócona wersja pochodzi z przedruku zamieszczonego w drugim tomie „Heyne Science Fiction Magazin", Hrsgb. von Wolfgang Jeschke, Wilhelm Heine Verlag, München – 1982, s. 241–274.

ludzkie. Tu uwaga na marginesie: warto wspomnieć, że Gordon R. Dickson w swoim głośnym eseju *„On Plausibility in SF"* zastanawia się wprawdzie, w jaki sposób łączyć realistyczne tło z rzeczywistymi faktami naukowymi, ale nie interesuje go, co robić, aby nośnikami akcji byli bohaterowie wiarygodni. Punkt drugi ma natomiast charakter czysto socjologiczny. Fantastyka naukowa musi realizować założenia, które deklaruje, a więc opisywać nieznane dotąd formy społeczne i kulturowe. Tymczasem: „w amerykańskiej fantastyce naukowej – twierdzi Ursula K. Le Guin – wytworzyła się cała hierarchia przełożonych i podwładnych. Na samym szczycie znajdują się mężczyźni bogaci, ambitni i agresywni, potem przez dłuższy czas nie widać nikogo i wreszcie u samego dołu pojawia się warstwa najbardziej upośledzona: ludzie biedni i niedorozwinięci, niezidentyfikowana masa, do której należą również kobiety... Mamy więc do czynienia ze zorganizowanym społeczeństwem patriarchalnym, któremu przewodzi mężczyzna, a podwładni co pewien czas oddają mu z respektem honory" (Le Guin *„American SF and the Other"* w: „Science Fiction Studies" nr 7, 1975).

Moim zdaniem scjentyficzne społeczeństwa patriarchalne znikną z powierzchni Ziemi dopiero wówczas, kiedy uporządkujemy nasz stosunek do przeszłości. Wszelkie modele przyszłości opierają się bowiem na zaakceptowanych wzorach historycznych, które bywają tylko lekko zmieniane, a nierzadko przenoszone bezpośrednio w przyszłość: Imperium Galaktyczne Asimova odwołuje się do Imperium Rzymskiego Gibbona, Whileaway Joanny Russ czerpie wzór bezpośrednio z naszego globu, z jedną wszakże różnicą – mężczyzn już nie ma, ale zachowany został wzajemny układ ról.

Wspomniane uprzednio panie domu i księżniczki kryją się zatem w zakamarkach każdej maszyny do pisania, gotowe wskoczyć na scenę przy najmniejszym defekcie fantazji i wyobraźni. Mnóstwo wizerunków kobiet pojawiających się na kartach fantastyki naukowej jest swoistym przekształceniem archetypów, których do niedawna nie rozumieliśmy, a być może nawet i odrzucaliśmy. Robert Graves ustala trzy główne role kobiety w mitologii greckiej: potrójnego bóstwa – Diany (Wenus), Hakate (Panny), Matrony (Czarodziejki), władczyni narodzin, seksu i śmierci oraz inspirującej sylwetki Muzy. Opowiadanie Samuela Delany'ego *„We, in Some Strange Power's Employ, Move on a Rigorous Line"* („Fantasy and Science Fiction" 1968) czerpie swą siłę narracyjną z manipulowania rezonansowymi, powracającymi symbolami i archetypami odnoszącymi się właśnie do tych trzech ról kobiety. Bohaterkami utworu są: Sue, młoda, promienna „kobieta-demon", omal nie zgwałcona przez monstrualnego „anioła"; piękność zwana, jak na ironię, „Fidessą", kochanka bohatera; oraz Mabel, stara niewiasta, która w finale historii staje się powodem zagłady mężczyzn i zarazem określonej kultury.

Również powieść Poula Andersona *„The Queen of Air and Darkness"* posługuje się w zręczny sposób archetypami, pochodzącymi z dawnych przekazów.

Zarówno Leslie Fiedler (w *„Love and Death in the American Novel"*) jak i Germaine Dreer (w *„The Female Eunuch"*) zajmują się problemem dezintegracji tych dawnych symboli w zachodniej kulturze masowej, która doprowadziła do pojawienia się czczonej i poważanej ale mdłej i bezpłciowej „kobiety dobrej" oraz „kobiety z gruntu złej", kojarzonej zawsze (poprzez zakazy w sferze seksualnej) z grzechem pierworodnym i śmiercią. Tą pierwszą jest w science fiction jasnowłosa księżniczka lub córka naukowca, dziewica, która walczy o miłość zmagając się z przeciwnościami losu i cierpiąc. Ucieleśnia ona ideał kobiety, narażonej na bezustanną ingerencję jakowychś ciemnych mocy i stale wybawianej z niebezpieczeństwa, niewiasty, która w zakończeniu książki obdarza swego ukochanego pocałunkiem. Wyśmienitym przykładem jest tu powieść Randalla Garreta *„The Man Who Collected Women"*. Błękitnoskórzy przybysze z Kosmosu uprowadzają najpiękniejsze kobiety Ziemi w celu ich zapłodnienia. Między porwanymi znajduje się mężczyzna, aktor kreujący rolę kobiecą. Najeźdźcy wychodzą z założenia, że kobiety to zwierzęta, pozbawione inteligencji, a więc niezdolne do zorganizowania buntu. Kiedy przybywa ów mężczyzna i staje na czele uprowadzonych, dręczyciele zostają po prostu zmieceni z powierzchni Ziemi. Historia R. Garreta jest zatem wyraźnym komentarzem do sytuacji społecznej kobiet w USA w roku 1957.



Inna, mniej istotna odmiana powieści fantastycznych ukazuje kobietę jako bohaterkę występującą w tradycyjnej roli męskiej, bądź też amazonkę lub osobę buntującą się przeciw wszechwładnemu panowaniu mężczyzn. Wraz ze zmianą poglądów na temat odpowiedniego podziału ról społecznych, część pisarek zaczyna prezentować bohaterki awanturnicze, ambitne i wytrwałe. Doskonałym przykładem jest tu Alix – Joanny Russ (*„Alyx in Picnic on Paradise*, Ace, 1968; *„Alyx*, Gregg Press, 1976) oraz Roxy Rimidon stworzona przez Sonyę Dorman (*„Bye, Bye Banana Bird"*, „Fantasy and Science Fiction", 1969). Pierwsza z nich jest dowódcą, ostatnia sierżantem patrolu planetarnego, ale obie zachowują się jak mężczyźni. Warto pamiętać również o kobietach żołnierzach z *„Change War"* Fritza Leibera; o przybyłej z innej planety bohaterce cyklu powieściowego Jamesa H. Schmitza – *„Lanni, Agent of Venus"*; wymyślonej przez Rosel George Browna policjantce w *„Galactic Sybil Sue Blue"*, a wreszcie o walecznych amazonkach z *„The Forever War"* Joe Haldemana. Inne powieści ukazują ponadto konsekwencje owej zamiany ról. I tak kobiety przedstawione w sytuacjach, będących do tej pory domeną mężczyzn, starają się podołać swym zajęciom i ich wpływom na życie prywatne. Przykładem może służyć młoda Puertorykanka Imt z powieści Pameli Sargent, która zostaje burmistrzem ginącego Nowego Jorku. Również opowiadanie Vondy Mc Intyres *„Of Mist, and Grass, and Sand"*, będące prologiem do jej powieści *„Dream Snake"*, ukazuje młodą lekarkę, która podróżuje po świecie, kocha, adoptuje dziecko, popełnia błędy i próbuje przy tym zgłębić tajemnicę własnej natury. Nowela tej samej pisarki *„Aztecs"* to przygody kobiety, która usiłuje przeprowadzić korektę genetyczną, aby objąć funkcję pilota statku kosmicznego. To skomplikowane przedsięwzięcie utrudnia jeszcze bardziej jej związek z młodszym mężczyzną.

Nastał jednak czas, kiedy pisarze zapragnęli uwolnić amazonkę od stereotypów,


Andrzej Pągowski

które do niej przylgnęły. I znowu uczyniły to kobiety. Jacinth, młoda dziewczyna z utworu Suzette Haden Elgins *„For the Sake of Grace"* („Fantazy and Science Fiction", 1969) walczy z okazywaną wzgardą w jedyny dostępny dla niej sposób – zostaje pisarką. Alldera, kobieta oddana w niewolę (mowa tu o powieści Suzy McKee Charnas *„Walk to the End of the World"*, Ballantine 1974) – poznaje w końcu smak wolności, ale dopiero w drugiej części dylogii – *„Motherlines"* (Berkley, Putnam, 1978). Wolne Amazonki z Darkover, z powieści Marion Zimmer Bradley *„The Shattered Chain"* prowadzą życie z dala od zdominowanego przez mężczyzn społeczeństwa planety. Kobiety z opisanego przez Joannę Russ Whileaway, gdzie toczy się akcja opowiadania *„When it Changed"*, stworzyły społeczeństwo kompleksowe, funkcjonalne i ekologicznie stabilne. Mężczyźni są im po prostu niepotrzebni, co różni je od protagonistek z *„Virgin Planet" Poula Andersona, które czekają tylko na dzień, kiedy przybędą legendarni władcy świata. Whileaway jest również ojczyzną Janet, kobiety o cechach mężczyzny. Janet wkracza w środowisko dorosłych kierując się prawem wilka. Rodzi dziecko, ma żonę, Vittorię, pracuje jako policjantka, zabija w pojedynku czterech przeciwników. Kiedy któryś z mieszkańców Ziemi pyta ją: „Z pewnością oczekuje pani, że do Whileaway przybędą nasi mężczyźni?", odpowiada po prostu – „A po co?".*

Jedną z ostatnich ról jaką może odegrać kobieta w literaturze science fiction, jest rola przybysza z kosmosu. W swojej powieści „The Misogynist" – James Gunn wychodzi z założenia, że kobiety to w rzeczywistości wrogie istoty pozaziemskie: – Książka kryje w sobie zalążek strachu i nienawiści: kobiety mogą istotnie pozabijać mężczyzn! Nieco inaczej widzi ten problem James Tiptree w „The Women Men Don't See". Kobieta i jej córka dochodzą do przekonania, że lepiej opuścić Ziemię wraz z istotami z Kosmosu, niż żyć jak obcy w społeczeństwie mężczyzn. Nic dziwnego: Tiptree to pseudonim Alice Sheldon, która pisywała już książki jako Raccoona Sheldon. Jej opowieść *„The Screwfly Solution"* (Analog, 1977) ukazuje w umiejętny sposób wyobcowanie mężczyzn – owoc strachu przed kobietami. Najnowsza wypowiedź autorki – *„Houston, Houston, Do you Read?"*, przedstawia przerażenie i zrodzony z rozpaczy gwałt ze strony mężczyzn, którzy po powrocie z podróży kosmicznej zastają na Ziemi cywilizację wyłącznie kobiecą.

Kobiety – bohaterki, kobiety w funkcji bohaterów oraz kobiety jako istoty pozaziemskie – to cała gama wizerunków kobiet w fantastyce naukowej. Większość z tych ról to przebrzmiałe stereotypy społeczne najniższego stopnia. Tak się jednak nieszczęśliwie składa, że charaktery i sytuacje stereotypowe nie tylko dają się łatwiej opisywać, ale są również najchętniej akceptowane przez wydawców literatury komercyjnej. Podobna sytuacja panuje w dziedzinie przekazów archetypicznych. Mitologiczna postać „potrójnego bóstwa" dostarcza nadal nieskończenie bogatego materiału dla wyobraźni. Ciekawym przykładem jest również wizerunek „kobiety-żywicielki", pojawiający się na kartach antologii *„Women of Wonder"* oraz *„More Women of Wonder"*, wydanych przez Pamelę Sargent. Kobieta sprawuje funkcję opiekunki albo bezpośrednio jako matka, bądź też pośrednio, jako lekarz w Kosmosie, zawsze jednak troszczy się o innych.

O stopniu atrakcyjności i fascynacji archetypami przekonuje powieść Elizabeth Lynn *„The Northern Girl"* (trzecia część trylogii zatytułowanej *„Chronicles of Tornovi"). Lynn posługuje się całym szeregiem archetypów (wojownik, stary mędrzec, młody olbrzym) oraz tworzy role społeczne (polityk, nauczyciel) przeznaczone wyłącznie dla kobiet. W rezultacie utwór nie tylko góruje nad innymi pod względem wartości literackiej, ale również daje okazję do przemyśleń na temat układu ról w społeczeństwie.*

Czy archetypy, które wywarły tak wielki wpływ na twórczość pisarzy północnoamerykańskich, są w stanie zafascynować przedstawicieli innych kultur? Wielu autorów fantastyki naukowej, zainspirowanych „niezwykłymi" kulturami, jaką jest np. świat Indian Ameryki Północnej, zwraca się ku nim z coraz większym zainteresowaniem. Richard Lupoff ukształtował Kishimo, władającą mieczem postać kobiecą z „Sword of the Demon", według wzorów z kultury japońskiej. O ile pierwsze pokolenie twórców SF składało się przede wszystkim z pisarzy przygodowych, a drugie z naukowców, jak Asimov, Heinlein lub Clarke, to pokolenie trzecie – i to zarówno kobiety, jak i mężczyźni – mogłoby przekształcić się w antropologów kultury, w socjologów, mogłoby ukształtować nowe formy współżycia w tym jedynym gatunku literackim, jaki pozwala na zabawę w Boga. Może nadejdzie kiedyś dzień, kiedy fantastyka naukowa wzniesie się ponad historyjki o księżniczkach, kapłankach i futurystycznych paniach domu.

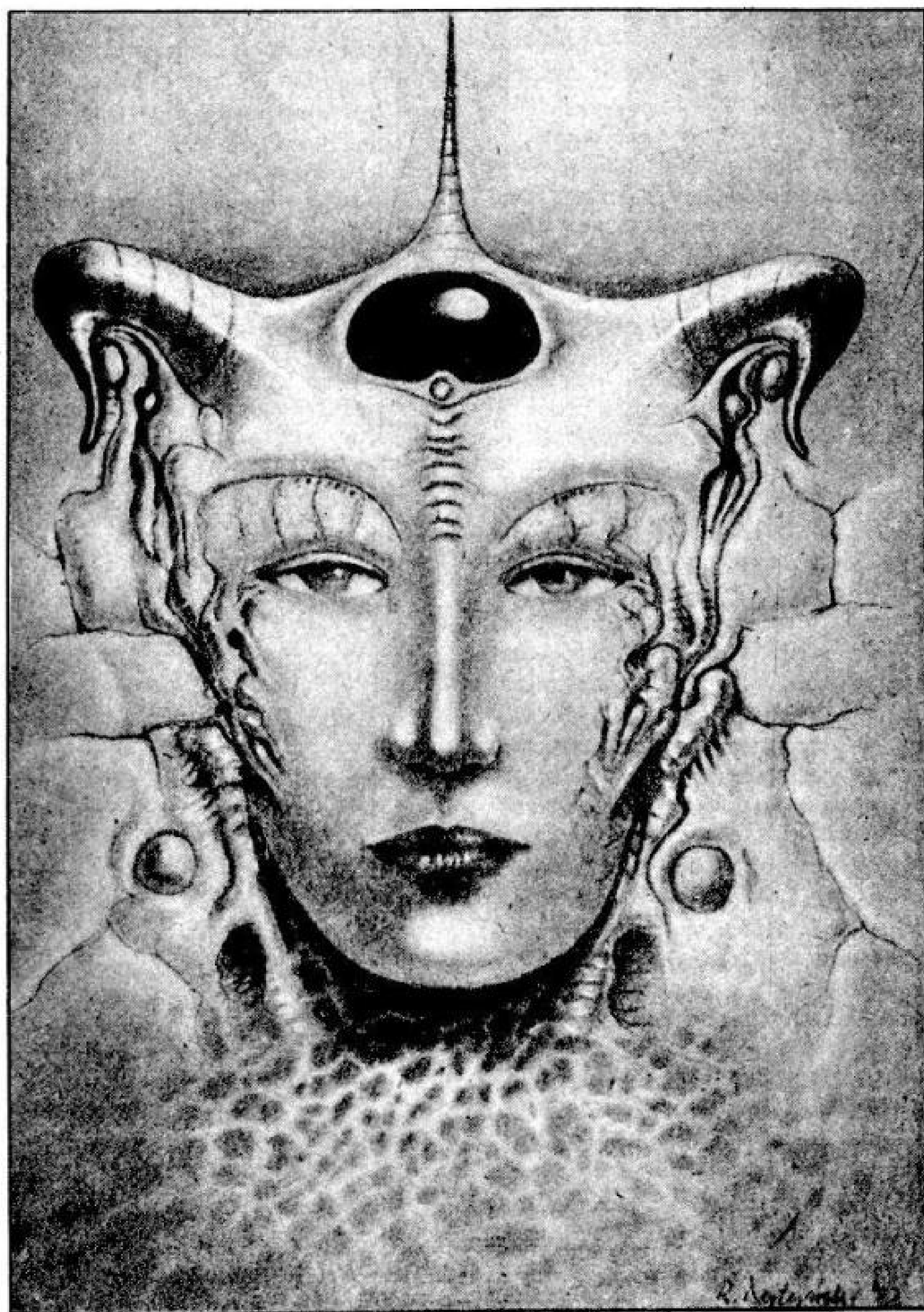
Z niemieckiego przełożył Mieczysław Dutkiewicz

■

„Czucie i wiara silniej mówi do mnie niż mędrca szkiełko i oko."

ROMANTYCZNE WIDZENIE ŚWIATA

Andrzej Niewiadowski



Ryszard Wojtyński

Tak, tym cytatem można rozpocząć opowieść o kobiecie, bohaterce polskiej literatury fantastycznej. Legendę o postaci, która wkracza na karty prozy scjentyficznej przybrana w triumfalny laur zwycięzcy. W jednej z ubiegłowiecznych, zaginionych wersji *„Historii przyszłości"* (1829–1842) Adama Mickiewicza dzielna, nieustraszona Polka staje na czele zjednoczonych armii europejskich, broniąc Starego Kontynentu przed inwazją barbarzyńskich plemion azjatyckich. Mniejsza o źródła owej koncepcji, przejętej w spadku po ideologii polskiego mesjanizmu. Sytuacja, którą kreśli Mickiewicz okazuje się wielce znacząca dla całego, późniejszego rozwoju „roman scientifique". Egoistyczne, bezwolne, przywykłe do wygód, konsumpcyjne społeczeństwo dobrobytu staje bezradne w obliczu bezpośredniego zagrożenia (najazdu z zewnątrz) i dopiero kobieta, nowa Emilia Plater, jedyna osoba, która zachowała bezpośredniość i szczerość uczuć, porywa lud do walki, przełamując złudną, bezkrytyczną wiarę w potęgę środków technicznych. Postawa romantyczna zwycięża nie tylko w starciu z klasycyzmem, ale przede wszystkim z rodzącą się manierą Pozytywizmu: ślepym, bałwochwalczym kultem wiedzy ścisłej, racjonalizmu i techniki.

Przeczucie roli kobiety w literaturze scjentyficznej pojawia się również w nowelistyce Józefa Dzierzkowskiego (*„Lekarz magnetyczny"*, 1846) i Józefa Bohdana Dziekońskiego (*„Siła woli"*, 1843). Rywalizacja w grze miłosnej sprawia, że do zrutynizowanych, logicznych działań „eksperymentatora" wkrada się element nieobliczalności, emocji, zagrożenia prowadzącego do szaleństwa, czynów nieetycznych, sprzecznych z kodeksem moralnym bohatera. Uczucie wydaje walkę obiektywnemu rozumieniu i porządkowaniu świata. Te dwie skłonności ludzkiej natury będą odtąd w nieustannej konfrontacji i biada fantastyce, która tego zjawiska nie dostrzeże.

Tragiczny los naukowca-dyletanta, który próbuje popełnić samobójstwo doznając zawodu miłosnego opisze Sygurd Wiśniowski w noweli *„Niewidzialny"* (1881). Autor, jeden z typowych przedstawicieli epoki Pozytywizmu, nadaje nowy wymiar kreacji kobiety w literaturze science fiction. Postać niewiasty symbolizuje teraz istnienie tradycyjnych wartości kulturowych: religii, gniazda rodzinnego, „dobrej", szlacheckiej przeszłości. Jest uosobieniem zdroworozsądkowości, wyrazicielką pojęć doznających porażki w starciu z dynamizmem nowych czasów: kultem genialnego, „szalonego" wynalazcy zamkniętego w swoim laboratorium, tracącego fortunę na zdobycie sławy i złudnego poklasku tłumów. Tę opozycję chyba najdoskonalej przedstawi Bolesław Prus w paryskich sekwencjach *„Lalki"* (1887–1889). Pracownia profesora Geista nie jest dla Wokulskiego dopełnieniem, lecz alternatywą jego planów życiowych: służba nauce daje ostatnią szansę zapomnienia, zabliźnienia ran po tragicznym, nieodwołalnym rozstaniu z Izabelą Łęcką. Owa alternatywa ma jednak w sobie coś niepokojąco tożsamego: decyzja bohatera nie oznacza bowiem zerwania z postawą idealistyczną. Praca naukowa staje się sublimacją niespełnionej miłości. Ujęta w kategorię „niepokoju romantycznego" nie ma nic wspólnego z pedantycznym, systemowym odkrywaniem praw Natury. Jest zajęciem ryzykownym, niebezpiecznym, dobrowolną, niemal „klasztorną" rezygnacją z uczestnictwa w życiu publicznym, przeczuciem wyobcowania, kultem potęgi, charyzmatem „widzenia profetycznego".

Modernizm nadaje niepokojom i rozterkom pozytywistycznym nową, nie mniej złożoną, formę interpretacji świata. W przekonaniu wielu autorów „zło" jest podstawowym składnikiem bytu, a człowiek istotą zdeterminowaną, niezdolną wykroczyć poza granice swej natury. „Ku katastrofie" – twierdzi J. Strindberg, zwolennik teorii mizoginizmu – „prowadzi popęd płciowy, któremu nie może się przeciwstawić ani wolna wola ani poczucie moralne". W fantastyczno-naukowej trylogii Jerzego Żuławskiego (*„Na srebrnym globie"*, 1903; *„Zwycięzca"*, 1910; *„Stara Ziemia"*, 1911) – miłość jest powodem tragicznych uniesień, nieporozumień i konfliktów etycznych narastających w kręgu zdobywców Księżyca (Marta – Jan – Tomasz), bezpośrednią przyczyną klęski samotnego reformatora, który zaprzepaszcza swe posłannictwo, traci wiarę w możliwość naprawy świata (Ihezal – Marek). Miłość kobiety może być także formą kuszenia naukowca, środkiem prowadzącym do celu, próbą zdobycia tajemnicy „cudownego wynalazku" i obróceniem jego destruktywnej potęgi na zgubę drugiego człowieka (Aza – Jacek)

Niewiasta kierująca losami „niezwykłego odkrycia", kobieta demoniczna, zaborcza, a później – wyemancypowana, pojawia się również w literaturze dwudziestolecia międzywojennego, m. in. u Antoniego Ossendowskiego (*„Zbuntowane i zwyciężone"*, 1925) i Antoniego Marczyńskiego (*„Bezgłośny piorun"*, 1937) – w tym ostatnim przypadku sprowadzona do roli podmiotu w rozgrywce kryminalnej. Proza dwudziestolecia ustala jednak całkiem odmienny schemat konfrontacyjny, który polega na łagodzeniu wspomnianych konfliktów i sprzeczności. Ogniwem pośrednim staje się powieść Michała Rusinka *„Bunt w krainie maszyn"* (1928). Niewiasta krzyżuje tu, co prawda, plany genialnego naukowca zapobiegając użyciu broni masowej zagłady, ale działa w swoiście pojętym interesie społecznym, który szaleńczym poczynaniom jednostki przeciwstawia wiarę w stopniową, pokojową przebudowę naszego świata.

W większości międzywojennych romansów naukowych postać kobiety jest już po prostu dopełnieniem charakterystyki głównego bohatera, sylwetką motywującą i ugruntowującą słuszność jego poszukiwań twórczych. Ileż niezwykłych odkryć i szaleńczych inicjatyw podróżniczych nie ujrzałoby światła dziennego, gdyby u ich narodzin nie legło pragnienie rywalizacji o rękę kobiety, chęć zdobycia sławy, popularności, uznania w oczach jedynej wybranki serca (na tej prostej zasadzie osnute są nawet programowo „antyerotyczne" powieści Władysława Umińskiego). Niewiasta jest również wierną, czułą, troskliwą opiekunką uczonego, nierzadko jedyną spowiedniczką i wyrozumiałą towarzyszką „zwariowanego wynalazcy", który czuje się czasem bezradny, niepotrzebny, zagubiony w środowisku nie związanym z kręgiem jego zainteresowań zawodowych (powieści Stefana Barszczewskiego, Edmunda Jezierskiego, Jana Karczewskiego i in.). Rola partnerki, przewodniczki i pocieszycielki genialnego naukowca nie stanowi zresztą jakiegoś zaskoczenia, spotykamy ją już w modernistycznym micie popularnym traktującym o kobiecie, która u boku kochanego męża – astronoma walczy o inną, lepszą przyszłość dla zrebarbaryzowanego, staczającego się ku dekadencji świata (Tadeusz Konczyński – *„Ostatnia godzina"*, 1913). Nowa Ewa – emigrantka i założycielka nowej cywilizacji – pojawia się w mesjanicznej powieści Jerzego Brauna *„Kiedy Księżyc umiera"* (1925) oraz w głośnej antyutopii Mieczysława Smolarskiego *„Podróż poślubna pana Hamiltona"* (1928). Kreacja „opiekunki" tłumaczy się jednak, w dużej mierze, specyfiką założeń dydaktycznych literatury dwudziestolecia. Z odzyskaniem niepodległości II Rzeczpospolita staje u progu bankructwa gospodarczego. Powieść (a zwłaszcza ta adresowana do młodzieży – utopijna, przygodowa i scjentyficzna), ówczesna „budzicielka dusz", przejmuje obowiązek wychowania „ku pożytkowi ogółu", propagując ideał utalentowanego, przedsiębiorczego inżyniera służącego państwu swą wiedzą, pomagającego w odbudowie i rozbudowie własnej ojczyzny. Ponieważ „bohatera pozytywnego", zmagającego się z trudną, skomplikowaną rzeczywistością zewnętrzną, nie można obarczać dodatkowymi rozterkami natury moralnej – rola wiernej, oddanej żony, rozbrajającej swą dziewczęcą naiwnością, szczerością, otwartością uczuć, dającą zapowiedź stałości, ciepła domowego ogniska jest nadrzędnym wymogiem i postulatem chwili. Sylwetka kobiety – domatorki przenika zresztą i do powojennej prozy fantastyczno-naukowej, być może dlatego, że literaturze realizmu socjalistycznego, startującej w równie trudnych warunkach ekonomicznych, zależy bardziej na udowodnieniu wspólnoty uczuć i celów, niż na drążeniu ludzkiej podświadomości.



Ryszard Wojtyński

Współczesna, polska science fiction jest niekiedy nad wyraz pruderyjna, a do tego programowo antyfeministyczna, ale zarzut, że kobieta nie odgrywa w niej żadnej roli mija się z prawdą, podobnie jak stwierdzenie, że w powieściach niekoronowanego mistrza gatunku – Stanisława Lema ...„nie ma miłości". „Neutrinowa Harey, bohaterka „Solaris" – twierdzi Nelly Pośpieszalska – jest nie tyle kochanką, ile figurą moralnego dylematu, neutrinowym ucieleśnieniem paradoksalności modusu materii: ontologicznego skandalu polegającego na tym, że się jest zarazem podmiotem moralnym oraz materialnym układem o określonych owemu podmiotowi moralnemu w sposób fatalny, z góry zadanych właściwościach". Tak, to prawda, że Stanisław Lem kreśli sylwetkę kobiety w barwach nieco uniwersalnych, ale nie zapominajmy, że bohaterowie jego historii to zarazem pełnoprawne osoby „z krwi i kości", a *„Solaris"* nie przypadkiem opuściła hermetyczne getto gatunku, będąc po prostu interesującą powieścią psychologiczną, dramatem dwojga ludzi, którzy przeżywają swą miłość „na serio", z jej naprawdę tragicznymi powikłaniami i konsekwencjami. W *„Obłoku Magellana"* (1955) i w *„Powrocie z gwiazd"* (1961) nieco idealistyczny portret kobiety przyszłości wypełnia jakże współczesna, sugestywna gra uczuć, sprawiająca, że w zwierciadle przeżyć drugiego człowieka poszukujemy odpowiedzi na pytanie o granice własnej tożsamości, wolności, recepty na absurdalność otaczającego świata.

Sylwetka przekornej, ufającej swej kobiecej intuicji, towarzyszki kosmonauty pojawia się również na kartach opowiadań Czesława Chruszczewskiego. Jest to symbolem pewnych wartości, z którymi wyruszamy i będziemy wyruszać ku gwiazdom.

Miłość szalona, buntownicza, zawieszona pomiędzy nienawiścią, bluźnierstwem i świętością decyduje o wartościach najmłodszej, neomodernistycznej prozy fantastycznej, która w naturalizacji uczuć upatruje jedyne lekarstwo na egoizm, zakłamanie, coraz wyraźniejszą manipulację społeczną i kulturową (Andrzej Krzepkowski, Michał Markowski, Andrzej Lipka, Andrzej Ziemiański i in.).

W swym interesującym studium, przedrukowywanym na łamach bieżącego numeru „Fantastyki", Susan Wood – amerykańska teoretyczka gatunku – ustala schemat ról kobiety w anglosaskiej literaturze science fiction. Taki sam zabieg zastosowany wobec naszej fantastyki, byłby zbyt dużym uproszczeniem. Polska science fiction rodziła się nie tylko na marginesie wielkiej literatury: powstawała pod piórem najwybitniejszych prozaików i poetów swoich czasów (A. Mickiewicz, B. Prus, J. Żuławski, J. Braun, St. Lem – o wielu innych nawet nie wspomniałem, ze względu na ograniczoną objętość tego szkicu). Postać kobiety, dzięki której do zracjonalizowanej, logicznej fantastyki naukowej wdzierał się strumień emocji, uczuć, pożądań i oczekiwań; kobiety walczącej i troskliwej, opiekunki i przewodniczki – była nie tylko rolą, pustym schematem do wypełnienia, ale swoistym symbolem Polki: matki, siostry, żony żyjącej w ojczyźnie, którą tak wcześnie przyszło nam utracić i którą kobieta musiała nam zastąpić – odbudować w swym sercu, czynach i marzeniach. Można dowodzić, że był to ideał zbyt jednostronny, nieprawdziwy, taki, jakim chcieli go widzieć mężczyźni, niemal jedyni autorzy science fiction. Tak, to prawda. Panie pisywały (i pisują) dla nas niezmiernie rzadko (M. Buyno-Arctowa, J. Budrecka, M. Kann, H. Malewska, G. Górska, J. Nidecka...). Ideał „polskiej Ewy" niewiele ma wspólnego z emancypantką zasiadającą za sterami statku kosmicznego. Lecz czy porównanie z anglosaską konwencją gatunku wypada rzeczywiście na naszą niekorzyść?

Andrzej Niewiadowski

walczyć zaciekle i bez pardonu. Owszem, jesteśmy brutalni. Musimy tacy być, nie rozumiecie? Czy naprawdę nie możecie tego zrozumieć?

Znów chwila ciszy.

– Staramy się – wzdycha Lady Blue. – Staramy się, doktorze Lorimer. Doceniamy naturalnie waszą rolę w całym rozwoju ludzkości i z przyjemnością korzystamy z waszych wynalazków, ale musi pan zrozumieć, że istnieje pewien problem. O ile rozumiemy, broniliście ludzi głównie przed innymi osobnikami płci męskiej, prawda? Mieliśmy tu właśnie zadziwiającą demonstrację. Ożywiliście dla nas historię. – Jej otoczone zmarszczkami brązowe oczy uśmiechają się do niego – drobna, ciemna kobieta trzymająca w ręku broń sprzed trzystu lat. – Ale okres walki mamy już dawno za sobą. Skończył się wraz z wami. Nie wyobrażam sobie, żebyśmy mogły puścić was wolno na Ziemi, no i po prostu nie mamy odpowiednich warunków dla ludzi z waszymi problemami emocjonalnymi.

– A poza tym sądzimy, że nie bylibyście szczęśliwi – dodaje Judy z przekonaniem.

– Mogłybyśmy zacząć ich klonować – mówi Connie. – Na pewno znajdą się osoby, które dobrowolnie wezmą na siebie rolę matek. Może to nowe pokolenie będzie inne, mogłybyśmy spróbować.

– Och, świat już raz przez to wszystko przechodził. – Judy Paris pije wodę ze zbiornika. Płucze usta i pluje na grządkę, z zatroskanym wyrazem twarzy patrząc na Lorimera. – Powinniśmy teraz zająć się tym przeciekiem, porozmawiać możemy jutro. I pojutrze i po pojutrze. – Uśmiecha się do niego, drapiąc się w kroku bez cienia zażenowania. – Jestem pewna, że mnóstwo ludzi zechce was poznać.

– Zawieźcie nas na wyspę – mówi Lorimer znużonym głosem. – Na trzy wyspy.

Jak one na niego patrzą... Zna to spojrzenie pełne troski i współczucia, jego matka i siostra patrzyły dokładnie tak samo na chorego kotka, który się do nich przybłąkał. Popieściły go, nakarmiły i zaniosły do weterynarza, żeby go uśpił.

Lorimera przenika dziwne, bolesne uczucie tęsknoty za kobietami, które znał. Ginny... mój Boże. Jego siostra Amy. Biedna Amy, zawsze była dla niego dobra w dzieciństwie. Ściąga usta.

– Wasz problem polega na tym – mówi – że jeśli nawet zaryzykujecie i dacie nam równe prawa, to cóż my możemy dać wam w zamian.

– Właśnie – mówi Lady Blue. – Wszystkie uśmiechają się do niego z ulgą, nie rozumiejąc, że on tej ulgi nie czuje.

– Chyba wezmę teraz to antidotum – mówi.

Podpływa do niego Connie – postawna, serdeczna, zupełnie obca kobieta.

– Sądziłam, że będzie pan wolał wypić to z czarki. – Uśmiecha się ciepło.

– Dziękuję. – Bierze z jej rąk małą, różową czarkę. – Niech mi pani jeszcze tylko odpowie na jedno pytanie – zwraca się do Lady Blue, która ogląda ślady zostawione przez kule – jak wy o sobie teraz mówicie, jakim mianem się określacie? Świat Kobiet? Kraina Wolności? Amazonia?

– Ależ nie, skądże. Mówimy o sobie po prostu: ludzie. – Patrzy na niego niewidzącymi oczyma, a potem znów kieruje wzrok na ślady po kulach. – Rodzaj ludzki. Rasa ludzka. – Wzrusza ramionami. – Ludzkość.

Napój jest chłodny, kojący. Coś jak wolność i pokój, myśli Lorimer. Albo śmierć.

KONIEC



Przełożyła Blanka Kuczborska

ilustrował **Ryszard Wojtyński**

HOUSTON, HOUSTON, Do You Read?..

Uwaga! Utwór ten jest przeznaczony w zasadzie dla Czytelników dorosłych. Redakcja (mając na względzie dość masowy zasięg pisma) stara się na ogół o taki dobór tekstów, żeby mogły one docierać – bez żadnych dodatkowych ograniczeń – do wszystkich grup czytelniczych, niezależnie od wieku. W tym jednak przypadku postanowiliśmy zrobić wyjątek. Zdecydowały o tym niewątpliwie walory literackie i psychologiczne utworu Jamesa Triptree. Dość drastyczne sceny w końcowej partii powieści stanowią tak organiczną jej część i są tak umotywowane – właśnie psychologicznie – że ich usunięcie w niedopuszczalny sposób rujnowałoby całość pod względem literackim. Tym niemniej postanowiliśmy zamieścić to zastrzeżenie na wstępie, pozostawiając oczywiście Czytelnikom ostateczną decyzję czy sięgać po lekturę, czy też nie.

Gdy w 1968 roku na łamach 3 numeru „Astouding Science Fiction" ukazało się opowiądanie *„Birth of a Salesman"* znawcy science fiction od razu zapamiętali nazwisko nie znanego nikomu autora JAMESA TIPTREE jr., widząc w nim nowy, niezwykłej klasy talent. W przeciągu dziesięciu kolejnych lat przeczucie to potwierdziło się. Na łamach najbardziej znaczących światowych magazynów i antologii SF ukazało się bowiem drukiem ponad czterdzieści utworów, z których niemal każdy uznawany był za perłę gatunku, a aż dziesięć: *„The Last Flight of Dr Ain"* (1969), *„Beam Us Home"* (1969), *„The Snows Are Melted, The Snows Are Gone"* (1969), *„Painwise" (1972)*, *„And I Awoke and Found Me Here on Cold Hils Side"* (1972), *„Love Is the Plan, the Plan Is Death"* (1973), *„The Girl Who Was Plugged"* (1974), *„A Momentary Taste of Being"* (1975), *„Houston, Houston, Do You Read?"* (1976), *„The Scrawfly Solution"* (1977) uzyskało nominacje do nagród Hugo i Nebuli.

Nominacje były szczęśliwe i na młodego autora spadł deszcz nagród: w 1973 roku opowiadanie *„Love Is the Plan, the Plan Is Death"* uzyskało Nebula Award, w 1974 roku nagrodą Hugo wyróżniono nowelę *„The Girl Who Was Plugged"*, w 1976 roku nowela *„Houston, Houston, Do You Read?"* zdobyła Nebula Award, zaś w rok później 25 światowa konwencja SF przyznała jej Hugo Award. W tymże 1977 roku Nebula Award wyróżniono opowiadanie *„The Scrawfly Solution"*.

Ale nie tylko wysoki poziom utworów zwracał powszechną uwagę na autora. Ich zdumiewająca aktualność, umiejętność trafienia do czytelnika, przenikający je duch młodzieżowej współczesności: stylu rock and rolla, narkotycznej wizji, wyzwolonego seksu, mody Blue Jeans, sprawił, że James Tiptree jr. kreowany został na proroka i duchowego przywódcę młodego pokolenia. Tyle, że proroka nikt osobiście nie znał. Nie pojawiał się na konwentach, nie udzielał wywiadów, nie występował w telewizji, nie odbierał osobiście przyznawanych mu nagród, o których marzą tysiące twórców SF na całym świecie. Nikt nie wiedział nawet gdzie mieszka. Adresem kontaktowym była anonimowa pocztowa skrytka.

W 1977 roku owiany mitem autor postanowił wreszcie ujawnić się. Zdumionym oczom zgromadzonych, prorok młodzieżowej kontestacji ukazał się w osobie... 62-letniej, statecznej, znanej dość szeroko pani psycholog z Chicago ALICE RACOONY SHELDON.

Jak twierdzą naoczni świadkowie tego faktu, zdumienie było powszechne, ale aplauz nie mniejszy. Takiego kawału nikt jeszcze czytelnikom, krytykom i wydawcom SF nie zrobił. Jeden Theodore Sturgeon miał prawo uśmiechnąć się z zadowoleniem. Tylko on bowiem recenzując kilka miesięcy wcześniej nominowane do Nebuli opowiadania stwierdził, iż „James Tiptree jr. jest jedynym autorem młodego pokolenia, który stylem i subtelnością przewyższyć może nawet kobiety".

– Nie rób tego, Dave! Posłuchaj mnie, zabijesz nas wszystkich! – Lorimer, którego wewnętrzny system alarmowy odzywa się teraz z całą mocą, uświadamia sobie, czym to się może skończyć i boi się śmiertelnie. – Dave, posłuchaj mnie!

– Zamknij się! – lufa zwraca się w jego kierunku.

Drzwi zaczynają się przesuwać. Lorimer znajduje oparcie dla nóg.

– Kryj się! To bomba! Z całej siły ciska ciężkim pojemnikiem w głowę Davisa i odbijając się od podłogi sam rzuca się w ślad za nim.

– Uważaj!

Płynąc wolno, zbyt wolno, w powietrzu słyszy ponowny strzał i krzyki. Dave musiał spudłować, strzały znad głowy nie są łatwe – w tej chwili Lorimer opuszcza się niżej i chwyta Dave'a za włosy. Dostaje mocny cios w żołądek, to kopniak Dave'a, który wyrywa się i szamoce niczym rozjuszony byk, ale Lorimer zdążył już wsunąć mu ramię pod brodę i trzyma mocno.

– Rewolwer, łapcie rewolwer!

Wszyscy tłoczą się wokół nich pod gradem ciosów Davisa. W chwili, gdy uścisk Lorimera słabnie, czyjaś ręka dociera do ramienia Dave'a i wszyscy razem, splątani, zderzają się z drzwiami. Dave nagle zaprzestaje walki.

Lorimer uwalnia się, wreszcie widzi, jak wykrzywiona twarz Dave'a odwraca się i patrzy na niego:

– Judaszu...

Lorimer rozgląda się dookoła. Lady Blue trzyma rewolwer, zaglądając do lufy.

– Proszę to odłożyć – mówi Lorimer, chwytając z trudem oddech. Jednakże Lady Blue nie zaprzestaje oględzin.

– Hej, dziękujemy! – Andy/Kay uśmiecha się do niego spod sufitu, pocierając szczękę.

Wszyscy się uśmiechają, przemawiają do niego serdecznie, dotykają się nawzajem i oglądają swoje podarte ubrania. Pod okiem Judy Dakar zaczyna się tworzyć ciemny siniak, Connie trzyma za ogon nieżywą iguanę.

Lorimer widzi bezwładne ciało Dave'a dryfujące tuż obok, patrzy na jego nieruchomą, wystawioną do słońca twarz, słyszy ciężki, chrapliwy oddech, Judasz... Coś się w nim załamuje, ogarnia go wielki smutek. „Na pokładzie leży mój kapitan..."

Andy, który nie jest mężczyzną, zbliża się i beznamiętnie zapina Davisowi kurtkę, a następnie chwyta go i zaczyna popychać w kierunku wyjścia. Judy Dakar zatrzymuje ich na chwilę, żeby owinąć łańcuszek krucyfiksu wokół ręki Dave'a. Kiedy przesuwają się obok, ktoś się śmieje, ale bez złośliwości.

Na mgnienie oka Lorimer jest znów w toalecie w Evanston. Ale nie ma tam nikogo, chichoczące dziewczęta znikły. Odeszły na zawsze z pewnymi siebie, muskularnymi chłopcami, którzy czekali na zewnątrz, żeby z niego zadrwić. Bud ma rację, myśli. Nic już nie ma znaczenia. Wzbiera w nim żal i gniew. Wie już czego się obawiał: nie ich słabości, lecz swojej.

– To dobrzy ludzie – mówi z goryczą. – Nie są wcale źli. Nie wiecie nawet, co to jest zło. Same doprowadziłyście do tego, co się stało, wyście ich zniszczyły. To wasza wina, że zachowywali się jak wariaci. Czy widowisko było ciekawe? Wiecie już, coście chciały wiedzieć? – Głos mu się omal nie załamuje. – Każdy miewa różne marzenia, czasem agresywne. Oni nigdy nie wprowadzali tych marzeń w czyn – dopóki nie dałyście im tej trucizny. Kobiety patrzą na niego w milczeniu.

– Ależ nikt o niczym takim nie marzy – mówi w końcu Connie. – To znaczy, mam na myśli te marzenia, o których pan mówił.

– To byli porządni ludzie – powtarza z uporem i smutkiem Lorimer. Wie, że bierze teraz w obronę wszystko: wiarę Dave'a, męskość Buda, siebie samego, Neandertalczyków, a może nawet dinozaury. – Ja też jestem mężczyzną. Na Boga, tak, jestem na was zły. Mam prawo. Myśmy wam dali to wszystko, myśmy to stworzyli. Myśmy zbudowali całą tę waszą wspaniałą cywilizację, ofiarowaliśmy wam wiedzę, wygodę, lekarstwa i marzenia. Wszystko. Broniliśmy was, chronili i zapracowywaliśmy się na śmierć, żeby utrzymać was i wasze dzieci. Nie było to łatwe. Przez cały czas musieliśmy walczyć,

ojcem surowym lecz miłosiernym. Pomóż mi wpoić Twoje święte prawa i obudzić w nich lęk przed Twym słusznym gniewem. „Niewiasta niech uczy się w milczeniu, z wszelkim poddaństwem" – List pierwszy Świętego Pawła do Tymoteusza, rozdział drugi, werset jedenasty. I będą mieć synów, żeby nimi rządzili i chwalili imię Twoje.

On mógłby tego dokonać, myśli Lorimer, mężczyzna taki jak Dave naprawdę mógłby jeszcze wszystko zmienić. Może rzeczywiście tkwi w tym jakaś zagadka, jakiś tajemniczy plan. A ja gotów się już byłem poddać. Brak mi odwagi... Nagle dociera do niego szept kobiet.

– Ta płyta dobiega już chyba końca. – To Judy Dakar. Czy to nie dosyć? On się już tylko powtarza.

– Poczekaj jeszcze – szepce Lady Blue.

– „I porodziła syna mężczyznę, który miał rządzić wszystkie pogany laską żelazną" – Objawienie Świętego Jana Apostoła, rozdział dwunasty, werset piąty – mówił głośno Dave. Oczy ma teraz szeroko otwarte, wpatruje się z namaszczeniem w krucyfiks. – „Albowiem Bóg tak ukochał świat, że zesłał nań swego jedynego syna".

Lady Blue kiwa głową, Judy zaczyna zmierzać w kierunku Dave'a. Lorimer już rozumie, wzbiera w nim gwałtowny protest. Nie wolno im tego robić, nie wolno im traktować Dave'a jak zwierzę, na miłość boską, przecież to mężczyzna...

– Dave! Uważaj, nie pozwól jej się zbliżyć! – krzyczy.

– Mogę popatrzeć, majorze? To piękne, co to jest? – Judy jest już blisko, wyciąga rękę po krucyfiks.

– Ona ma strzykawkę, uważaj!

Ale Dave już się odwrócił.

– Nie bluźnij, kobieto!

Posługując się krucyfiksem niczym bronią, dźga ją tak groźnie, że Judy koziołkuje w powietrzu, odsłaniając trzymaną w ręku błyszczącą igłę.

– Wąż! – Kopie ją w ramię, sam unosząc się przez to do góry. – Poganka. No tak – mówi swoim zwykłym tonem. – Od tej chwili będzie tu porządek. Wszyscy pod tamtą ścianę, szybko.

Zdumiony Lorimer widzi, że Dave rzeczywiście ma w drugiej ręce broń, mały, szary rewolwer. Musiał mieć go przez cały czas, od startu w Houston. Nadzieja i ataraksja znikają, wstrząśnięty Lorimer staje wobec przerażającej rzeczywistości.

– Majorze Davis – mówi Lady Blue płynąc ku niemu wraz z innymi. O Boże, czy one wiedzą, co to jest?

– Zatrzymajcie się! – krzyczy. – Na miłość boską, róbcie, co wam każe. To jest broń palna, może was zabić. Wystrzeliwuje metalowe kule. – Zaczyna się posuwać wzdłuż winorośli w stronę Dave'a.

– Cofnijcie się. – Dave robi jednoznaczny gest rewolwerem. – Obejmuję dowództwo tego statku w imieniu Stanów Zjednoczonych Ameryki i Boga.

– Dave, schowaj rewolwer. Nie będziesz przecież strzelał do ludzi.

Dave dostrzega go i w niego kieruje teraz lufę rewolweru:

– Lorimer, ostrzegam cię, masz znaleźć się pod tamtą ścianą razem z innymi. Geirr to prawdziwy mężczyzna, niech tylko wytrzeźwieje. – Patrzy na kobiety, które nadal zaintrygowane zmierzają w jego kierunku i nagle rozumie. – Dobrze, lekcja numer jeden. Patrzcie uważnie.

Bierze na cel klatkę z iguanami i naciska spust. Rozlega się trzask. Jedna z jaszczurek krwawo eksploduje, słychać krzyki. Lecz zaraz wszystko zagłusza metaliczny brzęczyk.

– Przeciek!

Dwie postaci natychmiast rzucają się w głąb modułu, wszyscy są w ruchu. Lorimer widzi, jak Dave, z bronią cały czas gotową do strzału korzystając z ogólnego zamieszania, spokojnie kieruje się do włazu. Chcąc go jakoś powstrzymać, zaczyna gorączkowo przeszukiwać półkę z narzędziami. Wyrywa z uchwytu pojemnik ze sprzężonym gazem i traci przy tym równowagę. Brzęczyk alarmowy zamiera.

– Zostaniecie tu, dopóki po was nie przyślę – oznajmia Dave. Dotarł już do włazu i przesuwa teraz masywne drzwi grodzi. Odetnie nam moduł, uświadamia sobie Lorimer.

Lorimer rozgląda się po pełnej ludzi kabinie, usiłując słuchać brzęczących wokół głosów i stłumić wewnętrzny skurcz, który wróży, że zaraz najdzie go jakieś przykre wspomnienie. Jednakże nic nie pomaga, przeżywa wszystko jeszcze raz, cały ów dawno miniony incydent. Wpada nieprzytomnie – czy może zostaje wepchnięty? – do nieznanej toalety w college'u Evanston. Znów ma przed oczami swój rozpięty rozporek, rękę trzymającą penis i szare ząbki zamka błyskawicznego wokół obnażonego członka. Nagła cisza. Przerażająca świadomość obcości kształtów, zwracające się ku niemu twarze. Pierwszy głośny chichot. Dziewczęta! Był w damskiej ubikacji!

Jeszcze teraz, po tylu latach, wzdryga się niechętnie, nie patrząc na twarze kobiet. Ich dziwne, obce przedmioty otaczają go w wielkiej kabinie ze wszystkich stron, zwieszają się nad głową: siatka z paciorków, warsztat tkacki bliźniaczek, wyroby skórzane Andiego, cholerne pnącza winorośli wciskające się w każdy kąt, kurczaki. Tak tu przytulnie... Jest w pułapce bez wyjścia, zamknięty na całe życie z tym wszystkim, czego nie lubi. Nieuporządkowanie. Błahostki personalne, nic nie znacząca zażyłość. Wymagania, którym zawsze trudno było sprostać. Ginny: „Nigdy ze mną nie rozmawiasz..." Ginny, kochanie, myśli mimo woli. Ból nie nadchodzi.

Dobiega go głośny śmiech Buda Geirra. Bud przekomarza się z którąś z nich, niewidoczny zza przepierzenia. Natomiast Dave'a widzi doskonale. Major Norman Davis stoi w przeciwległym końcu kabiny, pochylając swój brodaty profil nad niską, ciemną kobietą, na której rysach Lorimer nie może się jakoś skupić. Ale głowa Dave'a wydaje mu się dziwnie mała i wyraźna, właściwie cała kabina wygląda nierealnie. Z „sufitu" rozlega się gdakanie – to kura odzywa się ze swojego koszyka.

W tej chwili Lorimer ma pewność, że dano mu jakiś narkotyk.

Dziwne, ale nie czuje z tego powodu złości. Odchyla się, a raczej wywraca do tyłu, usadawiając się po turecku w stanie nieważkości i spogląda na twarz kobiety, z którą rozmawiał. Connie. Constantia Morelos. Wysoka kobieta o okrągłej twarzy ubrana w obszerną zieloną piżamę. Rozmowy z kobietami nigdy go naprawdę nie interesowały. Co za ironia!

– Istnieje chyba taka możliwość – mówi głośno – że w pewnym sensie wcale nas tu nie ma.

Nie brzmi to zbyt jasno, ale kobieta kiwa z zaciekawieniem głową. Obserwuje moje reakcje, mówi sobie Lorimer. Kobiety to urodzone trucicielki. Czy to również powiedział na głos? Wyraz jej twarzy nie ulega zmianie. Otoczenie nabiera z wolna przyjemnej swojskiej wyrazistości. Nagle zauważa, że Connie ma całkiem ładną, zdrową cerę. Oliwkowa opalenizna utrzymuje się na niej nawet po dwóch latach w kosmosie. Przypomniał sobie, że pracowała przedtem na farmie. Rozszerzone pory, ale nic z tego wypacykowanego wyglądu, jaki zawsze kojarzył mu się z kobietami w jej wieku.

– Chyba nigdy nie używała pani makijażu – mówi. Kobieta patrzy na niego ze zdziwieniem. – No, pudru, szminki, kredek do oczu. Żadna z was tego nie używa.

– Och! – jej uśmiech ukazuje wyszczerbiony przedni ząb. – Owszem, Andy to stosuje.

– Andy?

– Podczas przedstawień sztuk historycznych. Andy bardzo dobrze gra.

– Oczywiście, sztuki historyczne.

Lorimer ma wrażenie, że jego mózg gwałtownie się rozrasta, wchłaniając przy tym światło. Rozumuje teraz jasno, tysiące fragmentów i wycinków układają się w logiczny wzór. Wzór śmiertelnie niebezpieczny, zdaje sobie z tego sprawę, lecz narkotyk w pewien sposób go chroni. Daje mu lekkość i beztroskę jak amfetamina, ale bez uczucia napięcia. Może jest to coś, czego używają jedynie w celach towarzysko-rozrywkowych? Ale nie – wszystkie uważnie ich obserwują.

– Cizie w kosmosie, ciągle nie mogę tego pojąć – Bud Geirr śmieje się zaraźliwie. Ma przyjazny, pogodny głos, który podoba się ludziom – Lorimer lubi go słuchać nawet po dwóch latach przebywania razem.

– No, dziewczęta, przecież zostawiłyście dzieci w domu, co wasza rodzina na to, że tak sobie tu latacie ze starym Andym?

Bud pojawia się na horyzoncie, obejmuje ramieniem jedną z bliźniaczek. To ta, która nazywa się Judy Paris, rozstrzyga Lorimer – bliźniaczki trudno jest rozróżnić. Idzie biernie przy potężnym boku Buda, lekko przechylona jego ramieniem: niezbyt ładna dziewczyna z wydatnym biustem i rozwianymi czarnymi włosami, ubrana w luźną, żółtą piżamę. Nagle tuż przy nich ukazuje się ruda głowa Andiego. Wygląda na jakieś szesnaście lat, trzyma w ręce dużą, zieloną piłkę.

– Staruszek Andy. – Bud potrząsa głową, pod ciemnym, gęstym wąsem błyska uśmiech. – Kiedy ja byłem w twoim wieku, nie pozwalano kobietom zbytnio się ze mną zadawać.

Usta Connie drgają nieznacznie. W głowie Lorimera poszczególne kawałki zaczynają się układać w jeden wzór. Wiem, myśli. Czy wy wiecie, że ja już wiem? Głowę ma ogromną, krystalicznie przejrzystą, to bardzo przyjemne uczucie. Myślenie przychodzi mu z łatwością. Kobiety... W jego umyśle nie formułuje się żadne spoiste uogólnienie, tylko kilka mówiących coś twarzy odbitych w matrycy rosnącej nieadekwatności. Istoty ludzkie, naturalnie. Biologiczna konieczność. Tylko takie... takie... rozkojarzone? Płytkie?... Jego siostra Amy, soprano con tremolo: „Ależ oczywiście, że kobiety mogłyby wnieść taki sam wkład w rozwój cywilizacji jak mężczyźni, gdyby tylko miały równe szanse. Zobaczysz jeszcze!" A potem po raz drugi wyszła za tego idiotę. No, ale teraz widział.

– Winorośl – mówi głośno. Connie uśmiecha się. Jak one się wszystkie uśmiechają.

– No i co powiesz? – mówi Bud radośnie. – Myślałeś kiedy, że w stanie nieważkości spotkasz kociaki, co Dave? Artis-tiko. O la la!

Po drugiej stronie kabiny zwraca się w jego stronę brodata twarz Dave'a, na której nie widać uśmiechu.

– I nasz staruszek Andy ma to wszystko dla siebie. Pilnuj się chłopie. – Klepie Andiego żartobliwie po ramieniu i ten ląduje na ściance przepierzenia.

Bud nie może przecież być pijany, myśli Lorimer, nie mógł się upić jabłecznikiem. Ale też na ogół nie zachowuje się jak teatralne wcielenie Teksańczyka. To narkotyk.

– No, nie gniewaj się – mówi Bud wylewnie do chłopca – poważnie. Musisz wybaczyć swojemu gorszemu, upośledzonemu bratu. Te cizie to dobre dziewczyny. Wiesz co? – zwraca się do Judy. – Mogłabyś wyglądać naprawdę zna-ko-mi-cie, gdybyś trochę o siebie zadbała. Chcesz, to cię nauczę, stary Buddy zna się na tych rzeczach. Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe, co mówię. Jeśli chodzi o ścisłość, dla mnie i w tej chwili wyglądasz znakomicie.

Obejmuje mocniej jej ramiona, drugą ręką przyciągając do siebie Andiego. Jego uścisk unosi ich oboje nieco nad podłogę, Judy śmieje się wesoło, wygląda niemal ładnie.

– Weźmiemy sobie jeszcze trochę tych przysmaków. – Bud kieruje ich w stronę zastawionej żywnością półki, udekorowanej na dzisiejszą okazję gałązkami zieleni i żywymi stokrotkami.

– Szczęśliwego Nowego Roku! Hej, wy, Szczęśliwego Nowego Roku!

Twarze odwracają się, znów uśmiechy. Szczere uśmiechy, myśli Lorimer, może oni naprawdę z radością witają każdy nadchodzący rok. Czuje, że ma nieskończoną ilość czasu, żeby zastanowić się nad każdym wydarzeniem, żeby poczekać aż wszystkie odcienie znaczeń ułożą się między ściankami kryształu. Jestem powierzchnią, od której odbija się echo. Miło jest być obserwatorem. Ale inni również obserwują. Coś się tu zaczęło. Czy oni o tym wiedzą? Jesteśmy tacy bezbronni, nas trzech i piątka

I po co to, dlaczego, przyjaciele? – Marszczy czoło. – Staruszek Dave też jest mężczyzną, pozwolę mu trochę poużywać. Małe idiotki... Biedny, stary doktorku, nie jesteś wiele wart, ale lepsze to niż nic możesz wybrać sobie kilka... Będziemy mieć masę miejsca, ogromne przestrzenie. Słuchajcie, możemy urządzić wyścigi samochodowe, tam na dole muszą być tysiące dobrych, starych wozów. Będziemy polować. I znajdziemy w końcu dziko żyjących mężczyzn.

Andy, czy też Kay, podpływa do niego, ścierając krew z twarzy.

– O nie, co to to nie – warczy Bud i rzuca się w jej kierunku. Kiedy wyciąga rękę, Judy wymierza mu cios w mięsień trójgłowy.

Bud wrzeszczy przeraźliwie, ręce i nogi drgają mu konwulsyjnie, a potem bezwładnie płynie w powietrzu z twarzą nagle całkiem rozpogodzoną. Ale jednak oddycha – stwierdza z ulgą Lorimer, który dotąd sam wstrzymywał oddech, patrząc jak kobiety ostrożnie prostują ogromne ciało Buda i zaczynają ciągnąć go do wyjścia. Judy zdejmuje z winorośli swoje spodnie od piżamy, ma ze sobą kamerę i torebkę z pobranym nasieniem.

– Włożę to do lodówki, dinko? – mówi do Connie, kiedy zbliżają się do tyczek z fasolą. Lorimer musi odwrócić twarz.

Connie kiwa głową.

– Kay, jak twoja twarz?

– Poznałam to uczucie! – mówi z radością Andy/Kay przez spuchnięte wargi. – Czułam prawdziwy gniew, chciałam go uderzyć. Hurra!

– Połóżcie go u mnie – nakazuje Dave, kiedy go mijają. Przesunął się w miejsce oświetlone słońcem, nad rzędami sałaty. Lady Blue i Judy Dakar obserwują wszystko spod ściany. Lorimer przypomina sobie, o co chciał zapytać.

– Dave, czy naprawdę wiedziałeś? Domyśliłeś się, że to same kobiety?

Dave mierzy go zamyślonym wzrokiem, unosi się wyprostowany w powietrzu, a słońce oświetla jego kasztanowatą brodę i włosy. Tak właśnie powinien wyglądać prawdziwy mężczyzna. Lorimer myśli o swoim ojcu, małym, niepozornym mężczyźnie, takim jak on sam. Podnosi go to trochę na duchu.

– Od początku wiedziałem, że nas oszukują, Lorimer. Teraz, kiedy ta kobieta przyznała się do pewnych faktów, zrozumiałem w pełni ich tragedię. – Mówi to swoim głębokim, łagodnym głosem, którym przemawia zwykle w niedzielę. Kobiety patrzą na niego z zaciekawieniem.

– To zagubione dzieci. Zapomniały o tym, który je stworzył. Przez całe pokolenia żyły w ciemnościach.

– Zdaje się, że całkiem nieźle dawały sobie radę – odzywa się mimo woli Lorimer. Brzmi to dość głupio.

– Kobiety nie mają żadnych zdolności organizacyjnych. Chyba sam o tym wiesz, Lorimer. Spójrz, co zrobiły, choćby tutaj, to żałosne. Drepczą w miejscu i tyle. Biedaczki. – Dave wzdycha ciężko. – To nie ich wina, wiem o tym. Przez trzysta lat nikt nimi nie kierował. Kręcą się w kółko jak kura bez głowy.

Lorimer poznaje swoje własne myśli: brak ustalonego porządku, ciągłe rozmowy, błahostki, dwa miliony brył wypełnionych protoplazmą.

– „Głową niewiasty jest mąż" – mówi dobitnie Dave. – List pierwszy Świętego Pawła do Koryntian, rozdział jedenasty, werset trzeci. Absolutnie żadnej dyscypliny. – Wyciąga przed siebie rękę, w której trzyma krucyfiks i powoli zbliża się do ściany z rozpiętą winoroślą. – Szyderstwo. Ohyda. – Dotyka drabinki, obraca się i staje w zielonym obramowaniu.

– Zostaliśmy tu przysłani, Lorimer. Bóg tak chciał. Ja zostałem tu przysłany, nie ty, ty jesteś nie lepszy od nich. Na drugie imię mam Paweł – dodaje innym, powszednim tonem. Słońce pada na jego wzniesioną ku górze twarz i na wyciągnięty krzyż – nieodparcie nasuwa się skojarzenie z wizerunkiem apostoła. Mimo pewnych oporów natury intelektualnej, Lorimer czuje, że ożywa w nim dawny podziw dla Davisa.

– Boże, ześlij mi siłę – modli się po cichu Dave, przymykając oczy. – Ocaliłeś nas od zguby, żebyśmy przynieśli światło wiary na tę cierpiącą Ziemię. Wywiodę twoje zbłąkane córki z ciemności. Będę im

Lekarskie doświadczenie Lorimera podpowiada mu, że to z pewnością narkotyk opóźnia wytrysk. Mówi sobie, że właściwie powinien być zadowolony z tego, że Bud tak jest sobą zajęty, a mimo to czuje dziwny lęk.

– Kurcze, zrobią mnie swoim bogiem – mamrocze Bud – będą stawiać mi wszędzie posągi. Chłopaki usrają się, jak się dowiedzą, niech mnie!

Marszczy brwi.

– Niemożliwe, żeby wszyscy wyginęli. – Jego wzrok błądzi w koło, wreszcie oczy zatrzymują się na Lorimerze. – Hej, doktorze, powiedz, przecież jacyś mężczyźni zostali, prawda? Choćby kilku?

– Nie. – Lorimer z wysiłkiem potrząsa głową. – Wszyscy wymarli, co do jednego.

– Bzdury. – Bud obraca się, patrząc na nich. – Jacyś na pewno muszą gdzieś żyć. Powiedz, że tak jest. – Unosi twarz Judy do góry. – Powiedz to!

– Nie, naprawdę nie ma mężczyzn – odpowiada Judy.

– Ani jednego – wtóruje jej Andy/Kay.

– Łżecie. – Bud posępnieje. – Muszą być jacyś mężczyźni, na pewno gdzieś są... Ukrywają się na wzgórzach, ot co. Polują, żyją jak dzicy... Starzy, zdziczali mężczyźni, jestem pewien.

– Dlaczego pan uważa, że muszą być jacyś mężczyźni? – pyta Judy, którą Bud cały czas szarpie tam i z powrotem.

– Dlaczego, ty głupia pindo? – Nie patrzy na nią, porusza się gwałtownie. – Bo w przeciwnym wypadku nic nie ma znaczenia, dlatego. Na pewno są jacyś mężczyźni, jakieś dzielne, równe chłopy... Buddy też jest równy chłop...

– Czy teraz nastąpi wytrysk nasienia? – pyta szeptem Connie.

– Prawdopodobnie – odpowiada, lub też zamierza odpowiedzieć Lorimer. Patrzą na całe to widowisko z czysto klinicznego punktu widzenia, mówi sobie, nie ma się czego obawiać. Judy ściska coś w jednej ręce – to mała plastykowa torebka. Drugą trzyma się za włosy, za które ciągnie ją Bud. Musi to być bolesne.

– Ooooch, aaach... – dyszy rozpaczliwie Bud. – Zrób coś, popracuj trochę... Zabierz się do roboty!... Weź go, do jasnej cholery, weź go! Och, ooch... – Tryska słaby strumyk mlecznobiałych kropelek. Judy usiłuje złapać je w torebkę, podczas gdy oboje szamocą się w powietrzu.

– Geirr!

Lorimer, zdumiony tym wrzaskiem, ogląda się i widzi w otworze włazu Dave'a – to znaczy majora Normana Davisa, który rozpościera szeroko ramiona odsuwając nimi do tyłu Lady Blue i drugą Judy.

– Geirr! Zapowiedziałem, że nie dopuszczę na tym statku do żadnych ekscesów i tak będzie. W tej chwili puść tę kobietę!

Bud nie reaguje, porusza jedynie lekko nogami – wygląda na to, że nic nie słyszał. Judy przepływa pod nim zbierając do torebki ostatnie krople.

– A pani? Co pani właściwie robi?

W ciszy Lorimer słyszy swój głos:

– Zapewne pobiera próbkę nasienia.

– Lorimer, czy już zupełnie postradałeś zmysły? Zaprowadź Buda do jego kajuty.

Bud obraca się wolno, przybierając pozycję pionową.

– A, wielebny Leroy – mówi półgłosem.

– Geirr, jesteś pijany. Idź do swojej kajuty.

– Mam dla ciebie nowinę, Dave – ciągnie Bud tym samym apatycznym tonem. – Na pewno nie wiesz, że jesteśmy ostatnimi mężczyznami na Ziemi. Tam na dole są dwa miliony bab.

– Wiem o tym – mówi Dave z wściekłością. – Jesteś pijany i zachowujesz się haniebnie. Lorimer, wyprowadź go stąd.

Ale Lorimer nie ma ochoty się ruszyć. Gniewny głos Dave'a wyparł z niego uczucie strachu i napełnił go dziwną pokrzepiającą otuchą.

– Mogę się już niczym nie przejmować... – Głowa Buda kiwa się z boku na bok, milcząco mówiąc „nie, nie", gdy jej właściciel sunie w stronę Lorimera. – Nic już nie ma znaczenia. Wszystko przepadło.

tamtych w tym kruchym statku kosmicznym. Nie zdają sobie z tego sprawy. Gdzieś w głębi świadomości czai się strach nie związany z tym, co teraz dzieje się na pokładzie.

– Mój Boże, no i udało się nam – śmieje się Bud. – To wasza zasługa, kosmiczne babki, muszę wam to przyznać, na Boga, rzeczywiście muszę. Nie bylibyśmy tutaj, gdziekolwiek to jest. Wiecie co, może jednak zdecyduję się pozostać na służbie. Myślisz, że znajdzie się miejsce dla starego Buda w waszym programie badań, co skarbie?

– Skończ z tym, Bud – od przeciwległej ściany dochodzi spokojny głos Dave'a. – Nie życzę sobie, żeby używano imienia naszego Stwórcy nadaremnie. – Obfita kasztanowa broda dodaje mu patriarchalnej powagi. Dave ma czterdzieści sześć lat, jest o dziesięć lat starszy od Buda i Lorimera. Weteran sześciu udanych misji kosmicznych.

– Och, najmocniej przepraszam, majorze Dave, stary druhu. – Bud śmieje się poufale do dziewczyny. – Nasz wspaniały dowódca. Znakomity facet. Hej tam, doktorze! – krzyczy. – Jak się pan ma? Wszystko dinko?

– Zdrowie! – Lorimer słyszy swój głos, jednocześnie niczym złowroga hydra zaczynają ożywać w nim różne złożone uczucia, jakie żywi wobec Buda. Stłumione, skryte myśli o nich wszystkich, wszystkich Budach i Dave'ach, wielkich, nieposkromionych, radosnych, zdolnych, zdyscyplinowanych, tępych mezomorfach, z jakimi związał swoje życie. Mezo-ektomorfach, poprawia się, astronauci to nie kretyni. Lubią go, zadbał o to. Lubili go dostatecznie, aby umieścić go na pokładzie statku „Sunbird" i zrobić z niego oficjalnego naukowca pierwszej misji wokółsłonecznej. Ten mały, spokojny doktor Lorimer został członkiem załogi. Z jego strony można się nie obawiać żadnych idiotyzmów, nie tak jak to bywa z innymi cholernymi naukowcami. Doktor Lorimer robi co do niego należy, wątły, niepozorny, rzucający od czasu do czasu jakąś sarkastyczną uwagę. I te lata poświęcone grze w kręgle, w siatkówkę, w tenisa, strzelaniu do rzutków, nartom, przez które złamał nogę w kostce, piłce nożnej, przez którą zwichnął obojczyk. Uwaga na doktora, to cicha woda! Wielcy faceci poklepują go po plecach, przyjmują do swojego grona. Ich pokazowy naukowiec... Kłopot w tym, że on nie jest już żadnym naukowcem. Jego cała reputacja wciąż opiera się na pracy habilitacyjnej o plaźmie, pracy którą wtedy szczęśliwie trafił w dziesiątkę. Matematyką nie zajmował się już od lat i nie będzie teraz zaczynał od nowa. Miał zbyt wiele innych zainteresowań, zbyt dużo czasu stracił na wyjaśnienie podstawowych rzeczy. Ni pies, ni wydra – myśli o sobie. Gdybym był o głowę wyższy i ważył o pięćdziesiąt kilo więcej, mógłbym się z nimi równać. Byłbym jednym z nich. Typ alfa. Oni na pewno podświadomie wyczuwają tę jego drażliwość, drażliwość osobnika typu beta. Czyżby przez rok spędzony na pokładzie „Sunbirda" ich żarty rzeczywiście dały mu się we znaki? Rok, w którym Bud i Dave bez przerwy grali w remika. I ten cholerny cykl ćwiczeń, coraz cięższy, w końcu o wiele za ciężki dla niego. Ale to nie ich wina, nie robili tego umyślnie, tworzyliśmy przecież jedną załogę.

Wraca do niego wspomnienie rozpiętych dżinsów, końcowe, bolesne chwile – twarze wykrzywione złośliwym uśmiechem, czekające na niego, kiedy potykając się wyszedł z łazienki. Ryki śmiechu, krople spływające po nodze. Jego pozorny spokój, wymuszona wesołość. Wy gówniary, ja wam pokażę. Nie jestem dziewczyną.

Rozlega się głos Buda, który śpiewa:

– Dosiego Roku, wy tam na dole! – Parodia przymilnego tonu facetów z NASA. – Hej, a może byśmy przesłali im sygnał? Najlepsze życzenia dla wszystkich Ziemian. To znaczy, miałem na myśli dla wszystkich Lunian. Szczęśliwego Nowego Roku, którykolwiek by to był. – Zaczyna komicznie sapać: – Houston, tu Święty Mikołaj. Szkoda, że was tu nie ma. Houston, gdziekolwiek jesteś – śpiewa – hej, Houston, czy mnie słyszysz?

W ciszy Lorimer widzi, jak Dave przybiera wyraz twarzy komendanta, majora Normana Davisa.

Inagle, bez ostrzeżenia, Lorimer cofa się o rok i jest znów w ciasnej, uszkodzonej kabinie sterowniczej „Sunbirda", wracającego z drugiej strony Słońca. To narkotyk, myśli, kiedy wspomnienia opadają go ze wszystkich stron, to przez narkotyk wszystko wydaje się takie realne. Dość. Usiłuje wrócić do rzeczywistości, do wracającego przeczucia niechybnych kłopotów.

Nie udaje mu się to jednak, jest znów tam, obija się za plecami Dave'a i Buda o trzypoziomową koję, unikając jak zwykle swojego regulaminowego środkowego fotela i patrzy na odbicia kolegów w czerni nieużytecznego bocznego iluminatora. Zewnętrzna warstwa zmatowiała, może jedynie dostrzec świecącą plamę – to na pewno Spika, na jej tle bandaż na głowie Dave'a wygląda jak dziecinna korona.

– Houston, Houston, tu „Sunbird" – powtarza Dave, – „Sunbird" wzywa Houston, Houston, czy mnie słyszysz? Odezwij się, Houston.

Zaczynają liczyć minuty. Siedem minut tam i siedem z powrotem, wystarczający margines czasu na siedemdziesiąt osiem milionów mil.

– Daleki zasięg nawalił, ot co – mówi Bud pogodnie. Mówi to prawie codziennie.

– Nic podobnego – głos Dave'a jest cierpliwy jak zwykle. – Wszystko w porządku. Tylko ciągle za dużo tego słonecznego paskudztwa, prawda doktorze?

– Pozostałości promieniowania z wybuchu są dokładnie na naszym kursie – mówi Lorimer. – Mogą mieć duże kłopoty ze znalezieniem nas. – Po raz tysięczny łapie się na tym, że odczuwa coś w rodzaju śmiesznej wdzięczności za chęć skonsultowania się z nim.

– Cholera, nie minęliśmy jeszcze Merkurego – Bud potrząsa głową. – Jak się dowiemy kto wygrał Ligę?

To również często powtarza. Część rytuału tutejszej wiecznej nocy. Lorimer obserwuje ognik Spiki przesuwający się po odbiciu gęstej, kędzierzawej brody Buda. Jego własne bokobrody są rzadkie i postrzępione, jak u jasnowłosego Chińczyka. W dolnym rogu okna widać smugę światła – to na pewno pozostałości bocznych baterii spalonych podczas wybuchu słonecznego, który dosięgnął ich miesiąc temu i stopił zewnętrzne warstwy okien. Właśnie wtedy Dave rozciął sobie głowę o krawędź komputera, a Lorimera rzuciło między przyrządy do pomiarów fal grawitacyjnych – do dziś nie ufa uzyskanym później wynikom. Na szczęście strumień cząstek ominął fragment przedniego iluminatora i pozostało im około dwudziestu stopni niezakłóconej widoczności na wprost. Widzą przed sobą błyszczącą pajęczynę Plejad przechodzącą w zamazaną smugę światła.

Dwanaście minut... trzynaście. Nadający wzdycha i na próżno pstryka wyłącznikiem. Czternaście. Nic.

– „Sunbird" wzywa Houston, „Sunbird" wzywa Houston. Houston odezwij się. Skończyłem. – Dave odkłada mikrofon. Poczekajmy do jutra.

Czekanie stało się rytuałem. Jutro Packard odpowie. Może.

– Miło będzie znów zobaczyć staruszkę Ziemię – odzywa się Bud.

– Nie używamy już paliwa na korekty trajektorii – przypomina mu Dave. – Wierzę obliczeniom doktora.

To nie moje obliczenia, tylko podstawowe fakty mechaniki ciał niebieskich, myśli Lorimer. W październiku Ziemia może znajdować się tylko w jednym miejscu. Nigdy tego nie mówi. A już na pewno nie powie tego człowiekowi, który jest w stanie intuicyjnie rozwiązać problem przyciągania dwóch ciał znając jedynie ich aktualne położenie. Bud jest dobrym pilotem i jeszcze lepszym mechanikiem, Dave jest najlepszym z możliwych. Nie pyszni się tym. „Bóg pomaga nam, doktorze, jeżeli mu się tylko na to pozwoli".

– Będziemy mieć piekło przy lądowaniu, jeżeli radar się spieprzył – mówi Bud niedbale. Wszyscy trzej myślą o tym już setny raz. Będzie piekło. Ale Dave sobie poradzi. Właśnie dlatego muszą mieć zapas paliwa.

Upływają minuty.

– No, to koniec na dziś – mówi Dave... i nagle kabinę wypełnia obcy głos, wprawiając ich w osłupienie.

– Judy? – Głos jest wysoki i dźwięczny. Dziewczyna! – Judy, tak się cieszę, żeśmy cię znaleźli. Co robisz w tym paśmie?

Bud głośno wydycha powietrze, następuje chwila martwej ciszy zanim Dave chwyta mikrofon.

– Tu „Sunbird", słyszymy cię. Wyprawa „Sunbird" wzywa Houston, „Sunbird Jeden" wzywa kontrolę naziemną w Houston. Powiedz, kim jesteś? Czy możesz przekazać nam sygnał? Odbiór.

– Jakieś wariactwo – mówi Bud. – Jakiś niewiarygodny krótkofalowiec.

Lorimer chce ostrzec Buda, powiedzieć o grożącym niebezpieczeństwie, ale go obezwładnia gorące uczucie rozkoszy, rozlewające się po całym ciele, topiące jego krystaliczną skorupę. Dalej, jeszcze...patrzy chciwie, jak Bud znów zaczyna całować piersi dziewczyny, a potem nagle obraca ją tyłem do siebie, mocnym uściskiem dłoni przytrzymuje jej ręce na plecach i unieruchamia ciało nogami. Jej nagie pośladki, dwa wielkie księżyce, sterczą żałośnie, wydane mu na pastwę.

– Ale dupa – jęczy Bud. – Unieś się trochę, ty suko, aaach... – przyciąga ją do siebie.

Judy wydaje okrzyk i zaczyna się bezskutecznie wyrywać. Podniecenie Lorimera osiąga punkt wrzenia i w końcu następuje wyładowanie. W tej chwili Lorimer czuje, że coś mu nie daje spokoju, że prześladuje go jakiś upiór. I rzeczywiście, coś naprawdę się koło niego porusza, prawdziwe widmo – ku swemu przerażeniu widzi, że to znowu Andy, który sunie w stronę złączonych ciał z czymś furkoczącym w ręku. Och, to kamera! Boże, co za głupota.

– Odejdź! – stara się ostrzec chłopca.

Ale Bud już się odwrócił i zdążył zobaczyć.

– Ty cholerny gówniarzu. – Wyciąga długie ramię i nie puszczając nogami Judy, chwyta Andiego za koszulę. – Dość już tego. – Wali go pięścią w usta, wytrącona kamera wiruje w powietrzu. Ale tym razem Bud nie puszcza chłopca, bije go nadal, cała trójka szamocze się splątana ze sobą.

– Przestań! – Lorimer słyszy swój głos, wychyla się w ich kierunku poprzez tyczki fasoli. – Bud, przestań! Bijesz kobietę.

Zagniewana twarz Buda odwraca się ku niemu:

– Spływaj stąd doktorku, ty łachmyto. Sam znajdź sobie babę.

– Andy jest kobietą, Bud. Bijesz dziewczynę. To nie jest mężczyzna.

– Co? – Bud patrzy na zakrwawioną twarz swojego przeciwnika, rozchyla mu koszulę na piersiach. – A gdzie cyce?

– Nie ma piersi, ale to jest kobieta. Naprawdę ma na imię Kay. Tu są same kobiety. Puść ją, Bud.

Bud wpatruje się w Andiego, jego nogi nadal obejmują Judy. Andy ustawia ręce w pozycji obronnej.

– Lesbijka? – mówi wolno Bud. – Cholerna mała lesbija udająca mężczyznę? Muszę to sprawdzić. Schyla się nagle i pakuje rękę Andiemu w krocze.

– Nie ma jaj! – ryczy. – Ani śladu jaj! – Pęka ze śmiechu, tarzając się w powietrzu, puszcza Andiego, a jednocześnie Judy wyślizguje się z uścisku jego nóg. – No, chwileczkę – chwyta ją za włosy i znów wybucha śmiechem. – Lesbija! Hej, mała! Żal ci serce ściska, co? – Później chwyta za głowę Judy, która przez cały czas obserwuje go, nie stawiając oporu.

– Przyjrzyj się dobrze, dziewczyno. Widzisz, co Budy ma tu dla ciebie? Tego ci właśnie potrzeba, przyznaj się. Powiedz, kiedy ostatni raz widziałaś prawdziwego mężczyznę, co małpko?

Lorimerem wstrząsa niepowstrzymany śmiech, ta groteska jest silniejsza od strachu.

– One nigdy w życiu nie widziały mężczyzny, żadna z nich nigdy nie widziała. Ty durniu, czy ciągle nic nie rozumiesz? Nie ma już mężczyzn, wszyscy poumierali trzysta lat temu.

Bud z wolna przestaje rechotać, odwraca się i patrzy na Lorimera.

– Coś ty powiedział?

– Nie ma już mężczyzn. Wymarli podczas epidemii. Na Ziemi żyją same kobiety.

– Chcesz powiedzieć, że tam na dole są dwa miliony kobiet i żadnych mężczyzn? – Szczęka mu opada. – Tylko takie udające mężczyzn lesbije jak Andy?... Ale zaraz... to skąd się biorą dzieci?

– Hodują je sztucznie. Same dziewczynki.

– Raju... Dwa miliony gorących małych dziewczynek, które czekają tam na Buda. Boże wielki! Ostatni mężczyzna na Ziemi... Ty się nie liczysz, doktorku, a staruszek Dave ma głowę nabitą swoimi bzdurami.

Bud i Judy przesuwają się wolno do tyłu. Lorimer widzi, że Andy/Kay puścił puściła w ruch kamerę. Na chłopięcej twarzy ma dużą smugę krwi, prawdopodobnie z rozciętej wargi. Lorimer, zawieszony w gestym powietrzu, czuje wewnętrzną niemoc i pustkę, jego umysł stracił już swoją klarowność.

– Co? – mówi Andy. – Ja nic nie słyszę.
– Wołają cię, chłopcze. Tam, stamtąd.
– Kto? – pyta Andy, nasłuchując.
– Oni, na miłość boską! – Bud puszcza Judy i przysuwa się do Andiego. – Słuchaj no, z ciebie jeszcze wielki dzieciak. Nie widzisz, że ja i Judy mamy sobie coś do powiedzenia na osobności? – Obraca Andiego i popycha go delikatnie w kierunku tyczek z fasolą. – Przecież dziś jest Sylwester, głupku.
Andy przelatuje biernie między pnączami winorośli, pozdrawiając po drodze ruchem ręki Lorimera i Connie. Bud wrócił do Judy.
– Szczęśliwego Nowego Roku, kotku – uśmiecha się do niej.
– Szczęśliwego Nowego Roku. Czy robiliście może w ten wieczór coś specjalnego? – pyta Judy z ciekawością.
– Czy robiliśmy coś specjalnego... – Bud parska śmiechem, biorąc ją za ramiona. – Owszem, a jakże. Może pokazać ci, jak wyglądały niektóre nasze dawne, prymitywne obyczaje?
Judy potakuje z szeroko otwartymi oczami.
– No więc, najpierw życzyliśmy sobie wszystkiego najlepszego, o tak. – Przyciąga ją do siebie i lekko całuje w policzek. – Boże, co za klępa – mówi zupełnie innym tonem. – Widać, że cię nie było przy tym, kiedy Bozia dawała urodę. No, gdzie te cyce – manipuluje ręką przy jej bluzce.
Lorimer widzi, że Bud nie zdaje sobie sprawy z tego, co się z nim dzieje. Nie wie, że jest pod wpływem narkotyku i że na głos wypowiada swoje myśli. Ze mną musiało być to samo, o Boże... Ucieka do swojej roli obserwatora, bezpieczny w dobrotliwym świetle wieczności.
– Potem przytulamy się do siebie... – Ton jest znów przyjazny, Bud przyciska dziewczynę i głaszcze ją po plecach. – Tłuste dupsko. – Usiłuje pocałować ją w usta, Judy nie stawia oporu.
Lorimer widzi, że ramiona Buda zaciskają się mocniej, a ręce głaszczą pośladki dziewczyny i starają się dostać pod ubranie. Bezpieczny w swoim ukryciu Lorimer czuje, jak na ten widok budzi się jego męskość. Judy bezładnie wymachuje ramionami.
Bud puszcza ją na chwilę, stoi, dysząc ciężko, z ręką na zamku spodni.
– Co się tak gapisz? – mówi chrapliwie. – Jak piśniesz jeszcze słowo, pokażę ci do czego służy ta twoja jadaczka. O rany, istny maszt. Twardy jak stal... To twój szczęśliwy dzień, ty dziwko. – Odsłania teraz jej duże piersi. – Całe dwa lata w tym kosmicznym zadupiu – mamrocze. Całuje ją pospiesznie i uśmiecha się do niej.
– Przyjemnie? – pyta czule.
Judy podskakuje i mówi coś zdławionym szeptem. Arterie Lorimera pulsują rozkoszą i strachem.
– Wydaje mi się... sądzę, że należałoby z tym skończyć – zmusza się do wygłoszenia tego nieszczęsnego życzenia, mając nadzieję, że nie mówi na głos nic więcej. Poprzez pulsujące napięcie słyszy, że Connie szepce coś w odpowiedzi, brzmi to jak: „Niech się pan nie martwi, Judy jest bardzo silna". Ogarnia go przerażenie, one przecież o niczym nie mają pojęcia. Ale już nic na to nie może poradzić.
Na chwilę w powodzi rozrzuconych włosów ukazuje się twarz Judy, Lorimer mimo woli dostrzega, że maluje się na niej wyraz rozbawienia, a zarazem niepokoju. Ale jego uwagę przykuwa Bud, który ze znawstwem manewruje w powietrzu ciałem Judy, ściągając z niej spodnie. O Boże... ciemny trójkąt włosów, grube, białe uda – zupełnie normalna kobieta, żadnego odchylenia. O Boże... Nagle przepływa jakiś cień – to Andy zmierza wprost ku nim, trzymając coś w ręku.
– Jak tam Judy, dinko? – pyta.
Ukazuje się czerwona, wściekła twarz Buda:
– Zjeżdżaj stąd, ale już!
– Och, nie przejmujcie się mną.
Bud rzuca się do przodu i nogami wciąż ściskając Judy, chwyta Andiego za ramię. – To męska sprawa, chłopcze, mam ci powiedzieć jeszcze wyraźniej? – Podnosi go do góry. – Już cię tu nie ma!
Jednym szarpnięciem przyciąga Andiego do siebie i wierzchem drugiej dłoni uderza go mocno w twarz. Andy leci między winorośle.
Bud rechocze, po czym znów pochyla się nad Judy. Z rozporka wystaje członek w pełnej erekcji.

– Judy, czy masz kłopoty? – pyta dziewczęcy głos. – Źle cię słyszę, okropne trzaski. Poczekaj chwilę.
– Tu wyprawa kosmiczna Stanów Zjednoczonych „Sunbird Jeden" – powtarza Dave. Wyprawa „Sunbird" wzywa Centrum Kosmiczne Houston. Zajęliście nasz kanał. Kim jesteście, powtarzam, kim jesteście. Powiedzcie, czy możecie przekazywać do Houston. Odbiór.
– Dinko, Judy, spróbuj jeszcze raz – mówi dziewczyna.
Lorimer przysuwa się nagle do DWSC – Dalekosiężnego Wykrywacza Strumieni Cząsteczek – i uruchamia mechanizm wysuwający antenę. Antena jęczy i skrzypi, na szczęście podczas wybuchu była schowana i żar jej nie stopił. Nastawia częstotliwość sygnału sondującego na maksimum i zabiera się do ręcznego przeszukiwania sektorów.
– Włączyliście się w oficjalną transmisję wyprawy kosmicznej Stanów Zjednoczonych do Kontroli w Houston – mówi Dave z naciskiem. – Jeżeli nie możecie przekazywać do Houston, wyłączcie się, gdyż naruszacie prawo federalne. Powtarzam, czy możecie przekazać nasz sygnał do Centrum Kosmicznego w Houston. Odbiór.
– Wciąż fatalnie cię słyszę – odpowiada dziewczyna. – Co to jest Houston? I w ogóle kto mówi? Nie mamy zbyt dużo czasu. – Ma miły głos, ale bardzo nosowy.
– Jezu, a to dobre, to naprawdę znakomite – jęczy Bud.
– Poczekaj. – Dave odwraca się do prowizorycznego ekranu radarowego Lorimera.
– Tutaj – Lorimer wskazuje na widoczne w roju wyładowań słonecznych niewielkie, stabilne wychylenie oscylogramu tuż przy krawędzi monitora. Bud też nachyla się z zainteresowaniem.
– Statek!
– Ktoś tu z nami jest!
– Halo, halo? Złapaliśmy was – mówi dziewczyna. – Dlaczego jesteście tak daleko? Czy wszystko dinko? Dosięgnął was wybuch?
– Nie zgub ich – ostrzega Dave. – Jaka jest ich pozycja, doktorze?
– Są ponad trzysta tysięcy kilometrów od nas, pi razy oko. Prawdopodobnie oddalają się po orbicie okołosłonecznej. Może to kosmonauci z wyprawy radzieckiej?
– Chcieli być pierwsi. Ale im nie wyszło.
– Z dziewczyną? – protestuje Bud.
– Już to robili. Nagrywasz, Bud?
– Jasne – uśmiecha się. – Ale to mi nie wygląda na ruską dziewczynę. Kto to jest Judy, do cholery?
Dave myśli przez chwilę, po czym włącza mikrofon:
– Mówi major Norman Davis, dowodzący statkiem kosmicznym Stanów Zjednoczonych „Sunbird Jeden". Mamy was na ekranie. Prosimy o wasze dane. Powtarzam, kim jesteście? Odbiór.
– Judy, przestań się wygłupiać – poskarżył się głos. – Za chwilę stracimy kontakt, czy nie rozumiesz, że się o ciebie martwimy?
– „Sunbird" do niezidentyfikowanego statku. To nie Judy. Powtarzam, to nie Judy. Kim jesteście? Odbiór.
– Co... – zaczyna dziewczyna, ale przerywa jej czyjś głos. „Poczekaj chwilę, Ann". W głośniku słychać trzaski, po czym odzywa się inny kobiecy głos: – Tu Lorna Bethune z „Escondity". Co się tam dzieje?
– Mówi major Norman Davis, dowódca wyprawy Stanów Zjednoczonych „Sunbird" powracającej na Ziemię. Nie znamy żadnego statku kosmicznego o nazwie „Escondita". Powiedzcie, kim jesteście. Odbiór.
– Właśnie to zrobiłam. – Ma starszy głos, z tym samym nosowym akcentem. – Nie istnieje żaden statek kosmiczny „Sunbird", a wy wcale nie lecicie na Ziemię. Jeżeli to Andy robi sobie kawały, to już przestało być śmieszne.
– To nie żaden kawał, łaskawa pani – wybucha Dave. – Tu amerykańska wyprawa wokółsłoneczna, a my jesteśmy amerykańskimi astronautami. I nie podoba nam się wasza ingerencja w naszą transmisję. Skończyłem.

Kobieta zaczyna coś mówić, lecz jej słowa giną w gwizdach zakłóceń. Przez krótką chwilę słychać dwa głosy, Lorimerowi wydaje się, że słyszy słowa: „program Sunbird" i coś jeszcze. Bud siedzi przy pokrętle strojenia, zakłócenia przechodzą w jednostajny szum.

– Major Davis? – głos jest słabszy. – Czy dobrze słyszałam, że zmierzacie na Ziemię?

Dave krzywi się z irytacją i odpowiada krótko:

– Zgadza się.

– Wobec tego nie rozumiemy waszej trajektorii. Musicie mieć bardzo nietypową charakterystykę lotu, według naszych obliczeń wasz obecny kurs prowadzi donikąd. Za chwilę stracimy kontakt. Aha, powiedzcie, gdzie widzicie Ziemię? Współrzędne nieważne, podajcie gwiazdozbiór.

Dave waha się przez chwilę, po czym wyciąga mikrofon:

– Doktorze.

– Ziemia jest w gwiazdozbiorze Ryb – mówi Lorimer do głosu. Mniej więcej trzy stopnie od Gamma Pisces.

– Nic podobnego – mówi kobieta. – Czy nie widzicie, że jest w Pannie? Czy w ogóle coś widzicie?

Oczy Lorimera zwracają się w kierunku jasnej plamy w bocznym iluminatorze.

– Wybuch słoneczny uszkodził nam...

– Przestań – warczy Dave.

– ...jeden z iluminatorów, kiedy znajdowaliśmy się w peryhelium. Ale oczywiście mamy względne położenie Ziemi w dniu dzisiejszym, czyli dziewiętnastego października.

– Października? Mamy marzec, piętnasty marca. Musieliście... – jej głos ginie w trzaskach.

– Burza magnetyczna – mówi Bud strojąc odbiornik.

Wszyscy trzej, każdy pod innym kątem, nachylają się nad głośnikiem. Lorimer wisi do góry nogami. Odgłosy z kosmosu szumią i huczą jak fale przybrzeżne, obcy statek jest zbyt blisko Słońca.

– ...za wami – słyszą. Znów trzaski – ... pasmo, spróbuj... statku... jeżeli możesz... wasze sygnały... – Nic więcej nie dochodzi.

Lorimer odchyla się do tyłu patrząc na smugę w iluminatorze. To musi być Spika. Ale taka wydłużona? Jakby miała za sobą drugie punktowe źródło światła. Niemożliwe. Czuje rosnące podniecenie, w głowie dźwięczą mu głosy kobiet.

– Puść taśmę – mówi Dave. – Houston na pewno chętnie tego posłucha.

Znów słyszą dźwięczny głos wzywający Judy i kobietę, która mówi, że nazywa się Lorna Bethune. Bud ostrzegawczo podnosi palec.

– Słuchajcie, męski głos.

Lorimer wytęża uwagę, żeby uchwycić słowa, które jak mu się zdawało, uprzednio słyszał. Koniec taśmy.

– Niech no tylko Packard to dostanie – Dave zaciera ręce. – Pamiętacie, co wmawiali Howardowi? Twierdzili, że to oni go uratowali.

– Chyba chcą, żebyśmy się przestroili na ich częstotliwość – Bud się śmieje. – Pewnie myślą, że jesteśmy daleko. Hej, zdaje się, że ten ich pojazd się zbliża. Zaraz będzie tu ciasno.

– Jeżeli rzeczywiście się zjawi – mówi Dave. – Zostań na nasłuchu, Bud. Baterie wytrzymają.

Lorimer obserwuje światełko Spiki lub Spiki i czegoś tam jeszcze, zastanawiając się, czy kiedykolwiek potrafi to zrozumieć. Takie przejście do porządku nad czymś, co uznali za żart lub fortel płatany im w niezmierzonej samotności kosmosu. No, chociaż – jeżeli tamci ulepieni są z tej samej gliny, to całkiem możliwe. Głośno mówi:

– „Escondita" to dziwna nazwa dla wyprawy radzieckiej. O ile pamiętam, to znaczy „ukryta" po hiszpańsku.

– Taaak... – mówi Bud. – Poznaję ten akcent. Australijski. Mieliśmy w Hickam kilku Australijczyków. Au-stra-lia, no, no. Czyżby wystrzelili w kosmos koedukacyjny bumerang?

Dave potrząsa głową:

– Nie mają żadnych możliwości technicznych.

– Natknęliśmy się przed chwilą na bardzo dziwne zjawisko – zamyślił się Lorimer. – Zaczynam żałować, że nie możemy nic stwierdzić na własne oczy.

robimy znacznie wolniej od was. Chcemy w pełni przeżyć każde doświadczenie. Mamy czas. – Znów przeciąga się z uśmiechem. – Mamy mnóstwo czasu.

– Ale nie macie nowych genotypów. To już koniec.

– Nic podobnego. W zeszłym wieku opracowano metodę łączenia jąder haploidalnych. Potrafimy już doprowadzić do tego, że pozbawione otoczki jajo spełnia rolę pyłka – mówi z dumą. – To znaczy, chciałam powiedzieć plemnika. Bardzo skomplikowane, nie zawsze się udaje. Ale teraz, kiedy otrzymałyśmy funkcjonującą parę X-ów można było wyhodować ponad sto nowych typów. Oczywiście, jest im ciężko bez sióstr, dawczynie starają się ze wszystkich sił pomóc.

Ponad sto, myśli Lorimer. No cóż, może... Ale co znaczy „funkcjonująca par X-ów?" To musi się odnosić do epidemii. Jednakże wydawało mu się, że ucierpieli wtedy głównie mężczyźni? Lorimer ochoczo zagłębia się w tę nową zagadkę, ignorując dochodzący go skądś dźwięk, który najwyraźniej usiłuje zburzyć jego spokój.

– Widocznie uszkodzony został gen lub geny chromosomu X, nie Y – zastanawia się na głos. – A śmiertelne zagrożenie powoli ustępowało, tak? Z początku przez jakiś czas nie notowano żadnych urodzin, ale potem niektórzy mężczyźni wyzdrowieli lub też tak długo pozostawali w odosobnieniu, że byli w stanie wyprodukować nieuszkodzone gamety z chromosomu X. Ale komórki jajowe kobiet, te same przez całe życie, nie miały jak się zregenerować, toteż ze związku kobiety ze zdrowym już mężczyzną mogły rodzić się wyłącznie dziewczynki – jak wiadomo zarodek żeński zawiera dwa X-y i uszkodzony gen matki był kompensowany zdrowym X-em ojca. Natomiast zarodek męski -XY – otrzymał jedynie uszkodzony X matki. W ten sposób postępowało dzieło zniszczenia i wszystkie męskie zarodki zostały unicestwione... Planeta dziewcząt i umierających mężczyzn. Nieliczni zdolni do reprodukcji powymierali.

– Pan naprawdę to wszystko rozumie – mówi Connie z podziwem.

Dochodzący go dźwięk staje się coraz bardziej dokuczliwy, ale Lorimer stara się nie zwracać uwagi na niego, ma tu przecież do omówienia kilka ważnych spraw.

– To znaczy, że nic nam w tej chwili na Ziemi nie grozi. Nie ma żadnego problemu. Teoretycznie rzecz biorąc moglibyśmy się ponownie ożenić i mieć dzieci, w każdym razie córki.

– Tak. Teoretycznie rzecz biorąc.

Natarczywy dźwięk przebija jego mur obronny i Lorimer poznaje, że to Bud Geirr głośno śpiewa jakąś piosenkę. Bud jest chyba zupełnie pijany. Jego głos dobiega z pomieszczenia, w którym znajduje się główny ogród, ten warzywniczy, nie sanitarny. Lorimer czuje, jak na nowo budzi się w nim strach i podchodzi do gardła. Dave powinien uważać na Buda. Ale Dave sam gdzieś zniknął, Lorimer przypomina sobie, że widział go, jak szedł z Lady Blue do kabiny sterowniczej.

– Już wieczór nad prerią zapada... – wyśpiewuje Bud.

Coś trzeba z tym zrobić, postanawia Lorimer z wysiłkiem. Chce się ruszyć, ale sprawia mu to dużą trudność.

– Niech się pan nie martwi – mówi Connie. – Andy jest z nimi.

– Nie wiecie, nie zdajecie sobie sprawy z tego, coście rozpętały. – Lorimer posuwa się w stronę luku wiodącego do ogrodu.

– Gdy spała w sianie, kowboj w panamie... – śpiewa Bud. Towarzyszy mu wybuch śmiechu. Lorimer wkracza w tę zieloną oazę. Poprzez tyczki z fasolą widzi, jak Bud, przesadnie podkreślając każdy ruch, wielkimi krokami goni Judy Paris. Andy obserwuje ich ze śmiechem wisząc na klatce z iguanami. Bud chwyta wreszcie Judy za kostkę u nogi i oboje zatrzymują się w półobrocie, luźna, żółta piżama dziewczyny okręca się wokół jej ciała. Judy śmieje się do Buda, wisząc do góry nogami, i nie czyni najmniejszego wysiłku, żeby się uwolnić.

– Nie podoba mi się to – mówi szeptem Lorimer.

– Proszę, niech się pan nie wtrąca. – Connie chwyta go mocno za ramię i zatrzymuje przy sobie obok półki z narzędziami. Lorimer czuje, że jego trwoga jakby znikła, postanawia zostać tu jedynie jako obserwaor, niech znów wróci błogi spokój. Tamci ich nie zauważyli.

– Żyła raz Indianka – śpiewa Bud trochę ciszej – słodka jak melasa, która się nie bała żadnego... yhm, yhm – chrząka ostentacyjnie, śmiejąc się. – Hej tam, Andy, zdaje się, że cię wołają.

go się fizyka – dodaje z ironią. Wszyscy jesteście klonami, prawda? Każdy z was. A czym charakteryzują się Connie?

– Pan wie naprawdę. – Patrzy na niego jak matka na dziecko, którego czyn wprawił ją w zakłopotanie, ale i podziw. – A więc to tak... No cóż, Connie uwielbiają pracę na roli, uprawiamy też warzywa i kwiaty. Nasze imiona pochodzą przeważnie od roślin. A propos, ja jestem Azalia. No i oczywiście żłobki, to nasza słabość. Mamy silny instynkt opiekuńczy. Wszystko co małe i słabe budzi w nas tkliwość i chęć pomocy.

Patrzy z tkliwością na Lorimera, który mimo woli odsuwa się nieco do tyłu.

– Oczywiście, staramy się to kontrolować. – Śmieje się Connie serdecznie. – Nie wszystkie jesteśmy takie. Były już Connie-inżynierowie, a teraz mamy dwie młodsze siostry, które interesują się metalurgią. To naprawdę fascynujące, co można zrobić z genotypem. Pierwsza Connie, czyli Constantia Morelos była chemiczką, ważyła czterdzieści pięć kilo i nigdy w życiu nie widziała roli. – Connie spogląda na swoje muskularne ramiona. – Została zabita przez bandę szaleńców, walczyła z bronią w ręku. Tak trudno te rzeczy zrozumieć... Miała siostrę o imieniu Timothy, która robiła dynamit i wykopała dwa przejścia podziemne, a nie była nawet Andym.

– Nie była Andym?

– O, mój Boże.

– Tego się także domyślałem. Wczesna kuracja androgenowa.

Connie niepewnie kiwa głową:

– Tak. Do niektórych prac potrzebna jest siła fizyczna. Kay są z natury i tak silne. Oooch... – Prostuje nagle i wypręża całe ciało, jakby dotąd była skurczona. – Cieszę się, że pan już wie. To było strasznie męczące. Nie mogłyśmy nawet śpiewać.

– Dlaczego?

– Myda była pewna, że się pomylimy, musiałybyśmy przecież pozmieniać mnóstwo słów. Zwykle bardzo dużo śpiewamy.

– Jakie macie piosenki?

– Och, rozmaite. Wesołe, smutne, nastrojowe, kołysanki, ballady, piosenki o pracy – różne.

– A piosenki miłosne? – odważa się spytać Lorimer. – Czy macie jeszcze coś takiego jak miłość?

– Ależ oczywiście, jakby się ludzie mogli nie kochać? – Ale patrzy na niego z pewnym powątpiewaniem. – Historie miłosne z waszych czasów są takie – jakby to powiedzieć – takie dziwne. Ponure i przykre. Wcale nie wygląda to na miłość... O tak, mamy słynne pieśni miłosne. Niektóre są takie trochę smutne na przykład ta o Tamile i Alcmenie, które są na siebie skazane. Wszystkie Connie też są trochę skazane – uśmiecha się wstydliwie. – Bardzo lubimy przebywać z Ingridami Anders. Ale to raczej miłość jednostronna. Mam nadzieję, że w następnej wyprawie weźmie udział jakaś Ingrid. One są takie fascynujące, każda z nich to prawdziwy klejnot.

Znaczenie tego, co usłyszał ciśnie mu na usta tysiące pytań, ale Lorimer chce najpierw wyjaśnić do końca tę drugą, mroczną stronę zagadnienia.

Jedenaście tysięcy genotypów i dwa miliony ludzi, to znaczy, że żyje was około dwustu kobiet każdego typu. – Connie potakuje. – Ale pewnie są jakieś odchylenia? Niektóre typy muszą przeważać?

– Owszem, niektóre geny są bardziej żywotne. Ale od początku nie straciliśmy ani jednego, starano się zachować wszystkie, jakie się udało. Mamy ludność pochodzącą ze wszystkich głównych ras i reprezentantów wielu pomniejszych grup etnicznych. Ja na przykład mam w sobie domieszkę krwi indiańskiej. Oczywiście nigdy się nie dowiemy, co zginęło na zawsze. Ale jedenaście tysięcy to naprawdę całkiem sporo. Staramy się wszystkie nawzajem poznać, to nasze życiowe hobby.

Mimo ataraksji Lorimera przenika chłód. Jedenaście tysięcy w okresie, oto jak przedstawia się teraz prawdziwe zaludnienie Ziemi. Myśli o dwustu wysokich, smagłych kobietach, których imiona pochodzą od roślin i które podziwiają dwieście błyskotliwych, drobnych Ingrid, myśli o dwustu rozmownych Judy, dwustu opanowanych Lady Blue, dwustu Margo, dwustu Mydach i o całej reszcie. Wzdryga się. Spadkobierczynie i szczęśliwe uczestniczki pogrzebu rasy ludzkiej.

– To znaczy, że ewolucja się skończyła – mówi ponuro.

– Nie, dlaczego? Po prostu jej proces przebiega teraz wolniej. Wydaje mi się, że w ogóle wszystko



– Czy to możliwe, że się rąbnąłeś, Lorimer?
– Nie. Jeżeli to październik, Ziemia jest tam gdzie powiedziałem. W gwiazdozbiorze Panny pojawiłaby się właśnie w marcu.
– No, to nie ma o czym mówić – Dave uśmiecha się wstając z fotela. – Czyżbyś przespał pięć miesięcy, niczym Śpiąca Królewna? Czas na partyjkę, zanim weźmiemy się do ćwiczeń.
– Chciałbym wiedzieć, jak te cizie wyglądają – wzdycha Bud zamykając nadajnik. – Może pomóc pani włożyć skafander? Hej, panienko, proszę to wciągnąć. Ciiicho, sza... Słuchasz, doktorku?
– Oczywiście. – Lorimer wyjmuje tablice nawigacyjne. Tamci dwaj wycofują się tunelem do małej kabiny wypoczynkowej, nie mówiąc już ani słowa o obecności obcego statku lub statków w sąsiedztwie. Lorimer jest poruszony bardziej niżby sobie tego życzył – to przez te przeklęte słowa, które, jak mu się zdawało, usłyszał.
Męcząca pora ćwiczeń gimnastycznych nadchodzi i mija. Obiad. Podgrzewają pojemniki tylko ledwo, ledwo, żeby oszczędzać baterie. Znowu kurczę po królewsku. Bud polewa swoje ketchupem i przerywa zwykłą ciszę zabawną anegdotą o pewnej Australijce, którą opowiada, skrupulatnie przestrzegając niepisanego kodeksu wysławiania się, jaki panuje na pokładzie „Sunbirda". Po obiedzie Dave przechodzi do kabiny sterowniczej. Bud i Lorimer kontynuują swoje obecne zadanie, polegające na sprawdzaniu skafandrów i wyposażenia niezbędnego przy naprawie zewnętrznych uszkodzeń statku, do której mają się zabrać, gdy tylko zmaleje natężenie promieniowania.
Właśnie kończą pakować sprzęt, kiedy Dave ich woła. Wychodząc z tunelu Lorimer słyszy dziewczęcy głos:
– ...rejs dinko. Co powiedziała Lorna? Tu „Gloria", odbiór.
Lorimer włącza DWSC i zaczyna przeszukiwać kolejne sektory.
– Albo są dokładnie za nami, albo w sektorze przysłonecznym – melduje po chwili. – Nie mogę ich wyłowić.
Naraz z głośnika wydobywa się jakiś słaby głos.
– To może być ich kontrola naziemna – mówi Dave.– Jaka jest strefa słyszalności, doktorze?
– Sto pięćdziesiąt stopni; + Północno-zachodnia Syberia, Japonia, Australia.
– Mówiłem, że szlag trafił daleki zasięg. – Bud ostrożnie uruchamia mechanizm anteny. – Zaraz, chwileczkę. Szkielet jest pogięty, ot co.
– Nie połam go – ostrzega Dave wiedząc, że Bud go nie połamie.
Trzaski giną i znów wracają.
– Słuchajcie, to się przydaje – konstatuje Bud. – Możemy się do nich dostroić.
Wysoki sopran mówi nagle:
– ...chyba poza waszą orbitą. Spróbuj koło beta Aries.
– Jeszcze jedna cizia. Mamy je – stwierdza Bud radośnie. – Teraz je mamy. No, już po kłopocie. Ta małpa była przekręcona o sto czterdzieści stopni, niech ją.
Słychać głos pierwszej dziewczyny:
– Margo, widzimy ich! Ale ten statek jest maleńki, jak oni mogą tam żyć? A może to jakieś miniaturowe obce istoty? Odbiór.
– To Judy – śmieje się Bud. Dave, ale heca, cały czas mówią po angielsku. To na pewno jakaś ONZetowska sprawka.
Dave masuje sobie łokcie, gnie dłonie, zastanawia się. Czekają. Lorimer odmierza w myśli sto czterdzieści dziewięć stopni od gamma Pisces.
Po trzynastu minutach głos z Ziemi mówi:
– Judy, zawołaj całą załogę, dobrze? Chcemy wam wszystkim puścić nagraną rozmowę. Za dwie minuty. A tymczasem Zebra chce przekazać Connie, że dziecko czuje się doskonale. I mamy nową krowę.
– Szyfr – odzywa się Dave.
Ziemia odtwarza nagranie. Trzech mężczyzn ponownie słucha jak Dave wśród trzasków wyładowań słonecznych wzywa Houston. Dźwięk staje się nagle bardzo wyraźny, a potem kobiecy głos mówi, że inny statek, „Gloria", jest za nimi, ale bliżej Słońca i na tym transmisja się urywa.

sami jesteście? Albo kim jest ktokolwiek inny? Całkiem samotni, bez sióstr. Nie wiecie, czego możecie dokonać, albo czego należałoby spróbować. Biedne, pojedyncze istoty – musicie iść po omacku przez życie i w końcu umrzeć – wszystko na próżno!
Głos jej drży. Zdumiony Lorimer widzi, że obie mają łzy w oczach.
– Wracamy do ćwiczeń – mówi druga Judy.
Znów zaczynają rytmicznie maszerować i kawałek po kawałku Lorimer wyciąga z nich, jak to naprawdę wygląda. Żadne dzieci z próbówki, zaprzeczają oburzone, mamy normalne matki, młode, w najlepszym wieku. Jądro komórki somatycznej wszczepia się do pozbawionego jądra jaja kobiety, które umieszcza się ponownie w macicy. Każda z nich jeszcze przed ukończeniem dwudziestego roku życia urodziła dwie „siostrzyczki" i przez jakiś czas się nimi opiekowała. W żłobkach jest zawsze pod dostatkiem matek.
Jego przypuszczenia na temat długowieczności zostają wyśmiane, nic nowego poza racjonalnym trybem życia dotychczas w tej mierze nie wynaleziono.
– Możemy w niezłym stanie dożyć dziewięćdziesiątki – zapewniają go. – Co prawda Judy Eagle, nasza rekordzistka, dożyła stu ośmiu lat, ale pod koniec już mocno opadła z sił.
Prace nad klonowaniem mają długą historię, rozpoczęto je jeszcze w okresie epidemii. Stanowiły jeden ze sposobów ratowania ludzkości, kiedy przestały się rodzić dzieci i odtąd technikę tę wciąż ulepszano.
– To doskonały system – mówią mu. – Każdy ma swoją książkę, to prawdziwa biblioteka. Są tam zapisane wszystkie przekazy i zlecenia. Do nas należy Książka Judy Shapiro. Dakar i Paris to nasze imiona osobiste; wzięłyśmy się teraz za miasta. – Śmieją się, usiłując nie mówić obie na raz o tym, jak każda Judy dodaje do wspólnego genotypu własne przeżycia, odkrycia i wspomnienia.
– Błąd każdej z nas staje się przestrogą dla innych. Oczywiście staramy się nie robić błędów, albo jeżeli już robić – to inne.
– Niektóre z tych starych zapisów nie są zbyt realistyczne – wtrąca jej druga połowa. – Pewno dlatego, że wszystko wyglądało wtedy inaczej. Robimy wypisy z najciekawszych fragmentów, zwracamy też uwagę na rady praktyczne, na przykład Judy powinny się strzec raka skóry.
– Co dziesięć lat musimy czytać wszystko od nowa – mówi Judy zwana Dakar. – To pobudza do myślenia. W miarę upływu czasu rozumie się o wiele więcej niż przedtem.

Oszołomiony Lorimer usiłuje wyobrazić sobie jakby to było, gdyby słyszał głosy Orrenów Lorimerów aż do trzystu lat wstecz. Lorimerów matematyków lub hydraulików, artystów, próżniaków, a może nawet przestępców. Ciągłe badanie i uzupełnianie własnej osobowości. I tuzin żyjących sobowtórów, Lorimerowie starcy i Lorimerowie dzieci, a poza tym kobiety i dzieci tych sobowtórów... Ciekawe, czy by go to cieszyło czy oburzało? Nie umie sobie odpowiedzieć na to pytanie.

– Czy spisałyście już swoje doświadczenia?
– Nie, jesteśmy na to jeszcze za młode. Zrobiłyśmy tylko notatki w razie jakiegoś wypadku.
– Czy wspominacie w nich o nas?
– No pewno! Śmieją się wesoło lecz zaraz poważnieją. – Naprawdę nic pan nie powie? – upewnia się Judy Paris. – O Boże, musimy przyznać się do wszystkiego Lady Blue. Ale pan naprawdę nie powie nic przyjaciołom?

Nie zdradził ich, myśli teraz Lorimer wracając do rzeczywistości. Connie nadal jest przy nim, popija jabłecznik. On sam również trzyma w ręce czarkę. Jednak ich nie zdradził.
– Judy zawsze będą za dużo mówić – Connie potrząsa głową, śmiejąc się. Lorimer zdaje sobie sprawę, że musiał się przed nią wygadać.

– To nie miało znaczenia – mówi. – I tak bym się tego wkrótce domyślił. Wszystko samo na to wskazywało... Każde imię miało przypisane do siebie pewne cechy: Woolagong wynalazki, Myda zatroskanie, Jan wybitną inteligencję, Billy Dee sumienność i obowiązkowość. Słyszałem sześć opowiadań o różnych elektrowniach wodnych, które budowała, ulepszała lub obsługiwała niejaka Lala Singh. Cały wasz sposób życia. To wszystko o wiele bardziej mnie interesuje niż powinno interesować szanujące-

dałoby inne spojrzenie na rzeczywistość. Może opóźnione dojrzewanie? Kiedy startowaliśmy, trwały prace nad działalnością gruczołów w procesie dojrzewania. Ile lat mają na przykład te dziewczęta? Formułuje właśnie pytanie, gdy nagle Judy Dakar mówi:

– Byłam w żłobku kiedy się skończyła. Ale jest dobra, później ją pokochałam.

– Czy to ta sama Dagmar? – pyta Lorimer. – Musi być bardzo stara.

– O nie, to jej siostra.

– Siostra? Młodsza o sto lat?

– To znaczy jej córka. A właściwie wnuczka. – Pochyla się i zaczyna szybko pedałować.

– Judy – mówi za plecami jej bliźniaczka.

Znów siostra. Lorimer uświadamia sobie, że wszyscy, o kim mowa, mają niezliczoną ilość sióstr. Słyszy, jak Judy Paris mówi do tej drugiej.

– Wydaje mi się, że pamiętam Dagmar ze żłobka. Wprowadziła mundurki dla wszystkich. Z kodem kolorystycznym i cyfrowym.

– Nie możesz tego pamiętać, nie było cię jeszcze na świecie – odpowiada Judy Dakar.

W sali gimnastycznej zapada cisza.

Lorimer odwraca się, żeby na nie spojrzeć. Dwie zaczerwienione twarze patrzą na niego ostrożnie, obie dziewczyny jednakowym ruchem głowy odrzucają ciemne włosy z czoła. Są identyczne... ale Judy Dakar jest jakby troszeczkę starsza, jej twarz bardziej zniszczona.

– Myślałem, że jesteście bliźniaczkami.

– Och, zawsze za dużo mówimy – odpowiadają obie na raz i uśmiechają się zmieszane.

– Nie jesteście siostrami – stwierdza Lorimer. – Jesteście tym, co określamy mianem klonów.

Znów chwila ciszy.

– No cóż, owszem – przyznaje wreszcie Judy Dakar. – Ale my nazywamy to siostrami. O mój Boże! Miałyśmy wam tego nie mówić, Myda twierdzi, że bylibyście strasznie wzburzeni. W waszych czasach było to nielegalne, prawda?

– Tak. Uważaliśmy, że eksperymenty z życiem ludzkim są niemoralne i nieetyczne. Ale mnie osobiście to nie oburza.

– Ach, to świetnie, to wspaniale – mówią chórem.

– Uważamy, że pan jest inny – wyrywa się Judy Paris – że jest pan bardziej ludz... bardziej podobny do nas. Proszę nie mówić nic kolegom, dobrze? Bardzo proszę.

– Tylko przez przypadek znalazłyśmy się tu obie jednocześnie – wtrąca Judy Dakar. – Myda nas ostrzegała. Może pan zatrzymać to przez jakiś czas dla siebie? – Dwie identyczne pary brązowych oczu patrzą na niego błagalnie.

– Dobrze – mówi wolno Lorimer. – Na razie nic nie powiem. Nie zdradzę waszej tajemnicy, ale musicie odpowiedzieć mi na kilka pytań. Na przykład, ilu ludzi tworzycie w ten sposób?

Zaczyna sobie uświadamiać, że jednak jest tym nieco wzburzony. Do licha, Dave ma rację, nie mówią nam całej prawdy. Czyżby ten nowy wspaniały świat był zamieszkały przez niewolników-podludzi i rządzących nimi super-mózgowców? Okaleczone dziwadła, roboty pozbawione żołądków i płci, mózgi podłączone do maszyn – przez myśl przelatują mu rozmaite przerażające eksperymenty. Znowu okazał się naiwny. Za tymi normalnie wyglądającymi kobietami może kryć się groźna rzeczywistość.

– No więc ile?

– Jest nas tylko około jedenastu tysięcy – Judy porozumiewają się wzrokiem. Nie mają wprawy w oszukiwaniu, myśli Lorimer, czy to dobrze? Rozmyślania przerywa mu okrzyk Judy Paris: – Nie możemy zrozumieć, dlaczego uważaliście, że to coś złego?

Lorimer usiłuje wyjaśnić im niebezpieczeństwa płynące z manipulowania ludzkim życiem, z tworzenia sztucznych płodów. Mówi o zagrożeniu osobowości, o strasznej broni, jaką stanowiłoby to w rękach dyktatora.

– Dyktatora? – powtarza jedna z nich, najwyraźniej nie rozumiejąc. Lorimer patrzy na ich twarze i dodaje: Mówię o tym, jak się robi coś z człowiekiem bez jego wiedzy. Myślę, że to smutne.

– Ależ my właśnie to samo myślimy o waszym życiu! – wybucha młodsza Judy. – Skąd wiecie, kim

– Sprawdziliśmy w archiwum – podejmuje głos z Ziemi. – W pierwszym locie programu „Sunbird" brał udział niejaki major Norman Davis. Major to był stopień wojskowy. Słyszeliście, jak mówią „doktorze"? Na pokładzie znajdował się też doktor nauk ścisłych, Orren Lorimer. Trzecim członkiem załogi był kapitan – to inny stopień – Bernhard Geirr. Było ich tylko trzech, oczywiście sami mężczyźni. Mieli prymitywny silnik odrzutowy i niezbyt duże zapasy paliwa. Chodzi o to, że pierwsza misja „Sunbird" zaginęła w kosmosie. W ogóle nie wrócili z drugiej strony Słońca. To było mniej więcej wtedy, kiedy nastąpiły pierwsze silne wybuchy. Jan uważa, że musieli się znaleźć w pobliżu jednego z nich. Słyszeliście zresztą, jak mówią, że zostali uszkodzeni.

Dave chrząka. Lorimer walczy z ogarniającym podnieceniem, które objawia się gwałtownym ściskaniem w dołku.

– Albo są tym, kim mówią, albo to duchy lub obce istoty udające ludzi. Jan przypuszcza, że energia wyzwolona w superwybuchu mogła spowodować lokalne zakłócenie wymiaru czasu. A czy wy zauważyliście coś istotnego, chodzi mi o konkrety?

Czwarty wymiar... nigdy nie wrócili... Lorimer koncentruje się na realnym widoku dwóch brodatych, nieruchomych twarzy przed nim, nie chce przyjąć do wiadomości słów, które, jak mu się zdawało, słyszał: „Przed rokiem dwutysięcznym". Język, myśli. Język musiałby się zmienić. Samopoczucie nieco mu się poprawia.

Głęboki baryton pyta: „Margo?" – W „Sunbirdzie" oczy stają się czujne.

– ... jak ten olbrzymi pięćdziesiąt lat temu. – Mężczyzna mówi z tym samym akcentem. – Naprawdę mieliśmy szczęście, że byliśmy tam właśnie wtedy, kiedy nastąpił. Najciekawsze jest to, że udało nam się potwierdzić istnienie zaburzeń grawitacyjnych o charakterze okresowym, nie falowym. Bardzo gwałtowne, trochę nas wytrzęsło. W takich miejscach wytwarza się wtedy monstrualne ciśnienie. Wydaje się nam, że teoria France o przechodzeniu naszego systemu przez rój małych czarnych dziur jest słuszna – obyśmy tylko w żadną z nich nie wpadli.

– France? – mruczy Bud. Dave spogląda na niego zamyślonym wzrokiem.

– Trudno jest sobie wyobrazić, że coś zostało przesunięte w czasie. Ale oni są tutaj, kimkolwiek by byli, są tu, oddaleni od nas o ponad osiemset tysięcy ki i pędzą w stronę Aldebarana. Jak mówiła Lorna, będzie im ciężko dotrzeć na Ziemię, chyba że mają ogromne zapasy mocy. Czy mamy się z nimi porozumieć? Odbiór. Aha, cudownie z tą krową. Znów odbiór.

– Czarne dziury. – Bud wydaje cichy gwizd. – To coś dla ciebie, doktorku. Wpadliśmy w czarną dziurę?

– Nie wpadliśmy, bo już by nas tu nie było. – Jeżeli w ogóle tu jesteśmy, dodaje w myśli Lorimer. Rój małych, czarnych dziur... Co się dzieje, gdy fragmenty całkowicie zagęszczonej materii zbliżają się do siebie lub zderzają, na przykład w fotosferze gwiazdy? Zaburzenia w czasie? Dajmy temu spokój. Głośno mówi.:

– Dave, może rzeczywiście coś w tym jest.

Dave nie odpowiada. Mijają minuty.

W końcu głos z Ziemi powraca i oznajmia, że spróbuje połączyć się z nieznajomymi na ich własnej częstotliwości. Bud zerka na Dave'a i dostraja odbiornik.

– Wzywam „Sunbird Jeden" – dziewczyna mówi wolno, przez nos. – Centrala Luna wzywa majora Normana Davisa na „Sunbird Jeden". Złapaliśmy waszą rozmowę z naszym statkiem „Escondita". Intryguje nas bardzo kim jesteście i skąd się tu wzięliście. Jeżeli rzeczywiście znajdujecie się na pokładzie statku „Sunbird Jeden" to wydaje nam się, że w trakcie przechodzenia przez wybuch słoneczny musieliście zostać przerzuceni w czasie. – Niektóre słowa wymawia z wyraźnym gwarowym akcentem.

– Nasz statek „Gloria" znajduje się niedaleko was, widzą was na radarze. Sądzimy, że macie poważne kłopoty z kursem, ponieważ powiedzieliście Lornie, że lecicie na Ziemię i że waszym zdaniem mamy teraz październik z Ziemią w Rybach. Jest marzec, a nie październik, powtarzam, jest piętnasty marca, czas ziemski godzina dwudziesta zero, zero... Powinniście widzieć Ziemię tuż obok Spiki w Pannie. Powiedzieliście, że wasz iluminator jest uszkodzony. Czy nie możecie wyjść na zewnątrz i rozejrzeć się? Uważamy, że musicie dokonać poważnej korektury lotu. Czy starczy wam paliwa? Czy

możemy wam jakoś pomóc? Słuchamy na tej częstotliwości. Luna wzywa „Sunbird Jeden", „Sunbird Jeden" odezwij się.

Na pokładzie „Sunbirda" nikt nie robi najmniejszego ruchu. Lorimer walczy z nudnościami. Nigdy nie wrócili... Przerzuceni w czasie... Fala wspomnień, które nauczył się tłumić, nachodzi go teraz w tej przedłużającej się ciszy.

– Nie odpowiesz im?

– Nie bądź głupi – odpowiada Dave.

– Dave, sto czterdzieści dziewięć stopni to różnica między Gamma Pisces a Spiką. Ta transmisja płynie z kierunku, w którym według nich znajduje się Ziemia.

– Rąbnąłeś się.

– Nie rąbnąłem się. Widocznie musi być marzec.

Dave mruga, jakby przed oczami latała mu mucha.

Po piętnastu minutach głos z Luny powtarza wszystko jeszcze raz, kończąc: „Proszę, odezwijcie się".

– To nie taśma – Bud odwija gumę do żucia dodając opakowanie do zgrabnego stosiku za żyroskopami. Lorimerowi cierpnie skóra, gdy wpatruje się w zagadkowe światełko Spiki. Spika plus Ziemia? Ogarnia go zwątpienie, przez głowę przelatuje mu bolesny konglomerat głosów i twarzy, słyszy skwierczenie smażonego bekonu, zgrzyt ojcowskiego fotela na kółkach, widzi kredę na zalanej słońcem tablicy, gołe nogi Ginny na kwiecistej kanapie, Jenny i Penny biegnące zbyt blisko kosiarki. Dziewczęta na pewno przez ten czas jeszcze podrosły, Jenny już jest prawie tak wysoka jak matka. Jego ojciec mieszka z Amy, zdecydowany żyć dopóki syn nie wróci do domu. Kiedy wrócę do domu. Obłęd, Dave ma rację, to musi być jakiś dowcip, jakiś idiotyczny dowcip. Język.

Po upływie następnych piętnastu minut wyraźny, przejęty głos kobiecy powtarza wszystko jeszcze raz, z większym naciskiem. Dave ma na twarzy lekki grymas, jak człowiek słuchający nędznej audycji sportowej. Lorimer ma wrażenie, że Dave zaraz przekręci wyłącznik i zaproponuje szklaneczkę ginu. Chciałby, żeby tak się stało. Głos mówi, że przejdzie na inną częstotliwość.

Bud ponownie dostraja, spokojnie żując gumę. Tym razem kobieta zacina się przy niektórych słowach. Jest znużona.

Znów czekają, mija godzina. Lorimer koncentruje się na jasnej plamie Spiki na wprost niego. Bud nuci kilka taktów piosenki „Żółte wstążeczki" i na nowo pogrąża się w ciszy.

– Dave – mówi w końcu Lorimer – nasza antena wycelowana jest w Spikę. Nie obchodzi mnie, czy sądzisz, że strzeliłem byka, ale jeżeli Ziemia jest tam, musimy zmienić kurs. Spójrz, to może być podwójne źródło światła. Musimy to sprawdzić.

Dave nie odpowiada. Bud również nic nie mówi, ale jego oczy wędrują od bocznego iluminatora do pulpitu sterowniczego i z powrotem. W rogu pulpitu przyczepione jest kolorowe zdjęcie jego żony, Patty: wysoka, rozchichotana, rudowłosa kokietka. Od czasu do czasu Lorimer ma związane z nią fantazje erotyczne. Ale ten głos małej dziewczynki... I taka wysoka... Bywa, że mężczyźni niscy uganiają się za wysokimi kobietami, ale zdaniem Lorimera świadczy to o braku godności. Ginny jest o cal niższa od niego. Jednakże ich córki będą wyższe. Ginny uparła się, żeby zajść w ciążę przed jego odlotem, chociaż wiedziała, że zostanie sama. Może... może chłopiec, syn – dość. Trzeba myśleć o czymś innym. Bud... Czy Bud kocha Patty? Kto wie? On, Lorimer kocha Ginny. Z odległości siedemdziesięciu milionów mil...

– Judy? – odzywa się Centrala Luna, czy ktokolwiek to jest. – Nie odpowiadają. Chcesz spróbować? Ale posłuchaj, mamy pewną koncepcję. Jeżeli ci ludzie naprawdę pochodzą z przeszłości, to musi być dla nich bardzo ciężkie przeżycie. Może właśnie uświadamiają sobie, że już nigdy nie zobaczą swojego świata. Myda mówi, że oni mieli żony i dzieci, będą za nimi z pewnością okropnie tęsknić. Dla nas to jest podniecające, ale dla nich to może być straszne. Mogą być zbyt wstrząśnięci, żeby odpowiedzieć, mogą być przerażeni albo myśleć, że jesteśmy obcymi istotami z kosmosu lub nawet jakąś halucynacją. Rozumiesz?

Pięć sekund później dziewczyna z pobliskiego statku odpowiada:

– Da, Margo, bierzemy to pod uwagę. Dinko. Halo, „Sunbird"? Majorze Davis czy pan mnie słyszy?

Absolutnie żadnego. To rozkaz.

– Może w ogóle nie mają rodzin. Słyszeliście, żeby kiedykolwiek mówiły o małżeństwie? A przecież wszystkie cizie tylko to mają w głowie. Zapamiętajcie, co wam powiem: tam zaszły spore zmiany.

– Obyczaje społeczne zawsze z biegiem czasu się zmieniają – mówi Lorimer. – Przede wszystkim teraz z pewnością więcej kobiet pracuje. Niemniej związki rodzinne istnieją: na przykład Lady Blue ma jedną siostrę w kopalni aluminium, a drugą w służbie zdrowia. Matka Andiego jest na Marsie, a siostra pracuje w Archiwum. Connie ma brata, czy braci na statku rybackim łowiącym w pobliżu Biloxi i siostrę, która zajmie jej miejsce w następnej podróży kosmicznej, a teraz jest zatrudniona przy produkcji drożdży.

– To tylko nieistotne szczegóły.

– Wątpię, żeby reszta była bardzo groźna, Dave.

Ale z czasem Lorimer również zaczyna odczuwać niepokój. Jest tyle spraw, o których w ogóle się nie mówi. Małżeństwo, miłość, kłopoty z dziećmi, zazdrość, pozycja społeczna, majątek osobisty, problemy finansowe, choroby czy choćby pogrzeby – wszystkie te codzienne sprawy, które okupowały Ginny i jej przyjaciółki, są zupełnie wyłączone z rozmów tych kobiet. Wyłączone... Czyżby Dave miał rację? Czy to możliwe, że ukrywają przed nimi jakiś istotny aspekt?

– Wciąż się dziwię, że wasz język prawie nic się nie zmienił – mówi raz do Connie podczas ćwiczeń w hali gimnastycznej.

– O, wszyscy bardzo się o to staramy – wspina się pionowo obok niego bez pomocy rąk. – Byłaby to dla nas ogromna strata, gdybyśmy nie mogli czytać książek. Dzieci uczą się ze starych oryginalnych taśm. Używamy czasem różnych neologizmów, ale nasi lektorzy muszą się uczyć na pamięć starych tekstów. To wszystko pomaga nam utrzymać kontakt z przeszłością.

Judy Paris krzywi się do niego z wysokości swojego roweru treningowego.

– Wy, moje drogie dzieci, nigdy nie zrozumiecie ile przecierpieliśmy – deklamuje z patosem.

– Te Judy zawsze mówią za dużo – stwierdza Connie.

– To prawda. – Obie się śmieją.

– Czy nadal czytacie naszą, tak zwaną, wielką literaturę, naszą prozę i poezję? – pyta Lorimer. – Kogo czytacie, H. G. Wellsa? Szekspira? Dickensa? Hm... Balzaka, Kiplinga, Briana? – wymienia na chybił trafił. Brian był ulubionym pisarzem Ginny. A kiedy on sam miał po raz ostatni w ręku dzieła Szekspira albo któregoś z tych pozostałych?

– Ach, książki historyczne – mówi Judy – są dość interesujące. Ale ponure. I niezbyt realistyczne. Chociaż dla was pewno sprawa miała się inaczej – dodaje wspaniałomyślnie.

I zaczynają rozmawiać o tym, czy kury wysiadujące jajka nie mają zbyt dużo światła, zostawiając Lorimera swoim myślom. Jak to możliwe, że odwieczne, jak sądził, prawdy o naturze ludzkiej straciły nagle na aktualności? Miłość, konflikt, bohaterstwo, tragedia – wszystko to „nierealistyczne"? No cóż, członkowie załóg lotów kosmicznych nigdy nie należeli do najgorliwszych czytelników literatury pięknej, ale z drugiej strony kobiety czytają więcej od mężczyzn... Coś się musiało zmienić, czuje to. Coś tak istotnego, że miało to wpływ na naturę ludzką. Może rozwój fizyczny, mutacja? Co się naprawdę kryje pod tymi powiewnymi strojami?

To bliźniaczki odsłaniają przed nim rąbek tajemnicy.

Ćwiczy z nimi słuchając, jak plotkują o legendarnej postaci zwanej Dagmar.

– Czy to ta Dagmar od gambitu hetmańskiego? – pyta.

– Tak. Zajmuje się wszystkim, w swoich dobrych chwilach jest wielka.

– A czy miewa też złe chwile?

Jedna z nich się śmieje:

– To cały problem z Dagmar. Ma silne skłonności organizacyjne. Wszystko dobrze dopóki to zdaje egzamin, ale często posuwa się za daleko, wyobraża sobie, że jest Bóg wie kim. I potem trzeba się z tego wyplątywać.

Wszystko w czasie teraźniejszym – a Lady Blue mówiła, że gambit Dagmar ma ponad sto lat.

Długowieczność, myśli, mój Boże, oto co ukrywają. Powiedzmy, że udało im się przedłużyć życie ludzkie dwukrotnie, a nawet trzykrotnie – to z pewnością wpłynęłoby na zmianę psychiki ludzkiej i

Jedzenie jest smakowite. Lorimer chętnie spędza czas w kuchni. Pomaga przy gotowaniu i przysłuchuje się rozmowom, pogryzając rozmaite jadalne nasiona i korzenie. Smakuje mu nawet iguana. Zaczyna przybierać na wadze, pozostali dwaj również. Dave zarządza podwójną dawkę ćwiczeń.

– Chcesz, żebyśmy doszli na Ziemię piechotą? – narzeka Bud.

Ale Lorimerowi sprawia to przyjemność; pedałuje lub biega lekko po łopatkach koła, a kobiety, z którymi ćwiczy, rozmawiają albo słuchają taśm. Znajoma muzyka: poznaje dziwny zestaw od Haendla, Brahmsa, Sibeliusa poprzez Straussa do melodii balladowych i nowoczesnego jazzu. Same melodie, bez słów, ale za to duża ilość tekstów informacyjnych, z pewnością wybranych specjalnie z myślą o nim.

Z obiecanego zarysu historii dowiaduje się nieco więcej o epidemii. Jej przyczyną był prawdopodobnie quasiwirus pochodzący z francusko-arabskich laboratoriów wojskowych, przenoszony drogą powietrzną i uaktywniony przez zanieczyszczenia atmosfery.

– Wygląda na to, że atakował wyłącznie komórki rozrodcze – odpowiada Dave'owi i Budowi. – Właściwie nie był śmiertelny, natomiast spowodował powszechną bezpłodność. Prawdopodobnie poprzez zmianę w łańcuchu cząsteczek w kodzie genetycznym gamet. Ucierpieli głównie mężczyźni. Jest wzmianka o zmniejszonej liczbie urodzin noworodków płci męskiej, co wskazywałoby na uszkodzenie chromosomu Y i w konsekwencji następowała śmierć zarodków męskich.

– Czy to jest nadal niebezpieczne, doktorze? – pyta Dave. – Co nam grozi, kiedy wrócimy na Ziemię?

– Nie wiadomo. Przyrost naturalny jest w tej chwili w granicach normy, około dwóch procent z tendencją zwyżkową. Ale obecna generacja ludzkości może być uodporniona. Szczepionki na to nigdy nie wynaleziono.

– Jest tylko jeden sposób, żeby sprawdzić. Zgłaszam się na ochotnika – deklaruje z powagą Bud.

Dave ledwo rzuca na niego okiem. To zadziwiające, jak nadal nami dowodzi, myśli Lorimer. Nie poddaje się okolicznościom. Załoga jest załogą.

Historia wspomina również o zamieszkach i walkach, jakie rozgorzały na całym świecie, kiedy ludzkość odkryła, że jest bezpłodna. Zbombardowane i spalone miasta, wybuchy paniki, masowe gwałty i porwania kobiet, grasujące armie biologiczne zdesperowanych mężczyzn, rzezie, kulty krwi, bandy szaleńców. Wszystko opowiedziane jest w dużym skrócie, ostatecznie to było tak dawno temu. Lista zasłużonych. „Powinniśmy zawsze z wdzięcznością wspominać ludzi, którzy założyli Laboratorium Medyczne w Denver..." i tak dalej, aż do dramatycznej historii produkcji wolnego helu dla potrzeb sterowców.

Po trzech wiekach wszystko to pokrył już pył zapomnienia, myśli Lorimer. Co ja sam wiem, na przykład, o okropnościach Wojny Trzydziestoletniej? Przez dwa pokolenia walki pustoszyły Europę. I tyle, nawet bez nazwisk.

Opis ich struktury gospodarczo-politycznej jest jeszcze zwięźlejszy. Wygląda na to, że tak jak powiedziała Myda, obywają się niemal bez rządu.

– To forma luźnej kontroli społecznej opartej na wzajemnym zaufaniu i zgodzie ogółu – mówi do Dave'a. – Coś jak wieczny okres pionierski. Oczywiście, niepotrzebna jest im armia ani siły powietrzne. Nie jestem nawet pewien, czy posługują się pieniędzmi i czy ziemia jest własnością prywatną. Była jedna ciepła wzmianka o wczesnym okresie wspólnoty w Chinach – dodaje, a Dave ściąga usta, – ale oni nie żyją w komunach. Dużo podróżują. Kiedy zapytałem Lady Blue o ich policję i system prawny, poradziła mi, żebym zaczekał i porozmawiał z historykami. To ich Archiwum jest chyba tylko tym, na co wskazuje nazwa i nie ma nic wspólnego z organami władzy.

– Wpakowaliśmy się w jakąś dziwną historię – mówi ponuro Dave. – Lepiej trzymajmy się od tego z daleka. Nie mówią ci całej prawdy.

– Zauważyliście, że nigdy nie mówią o swoich mężach? – śmieje się Bud. – Zapytałem dwie z nich, co robią ich mężowie i przysięgam, że musiały się nad tym zastanowić. A wszystkie mają dzieci. Wierzcie mi lub nie, ale tam na dole odchodzą niezłe numery, nawet jeśli poczciwy Andy udaje, że nie wie jeszcze o co chodzi.

– Geirr, dopóki jesteśmy na statku nie życzę sobie żadnego wtykania nosa w ich życie prywatne.

Mówi Judy Paris ze statku „Gloria", jesteśmy zaledwie około miliona ki od was, widzimy was na ekranie. – Ma młody i podniecony głos. – Centrala Luna usiłuje się z wami porozumieć, wydaje nam się, że macie kłopoty i chcemy wam pomóc. Nie bójcie się, proszę, jesteśmy ludźmi, tak jak i wy. Sądzimy, że jeżeli waszym celem jest Ziemia, to bardzo zeszliście z kursu. Czy macie kłopoty? Możemy wam jakoś pomóc. Jeżeli wasze radio nie działa, spróbujcie dać nam jakiś sygnał. Znacie starego Morse'a? Wkrótce stracimy was z ekranu, naprawdę się o was martwimy. Odpowiedzcie coś proszę, jeżeli tylko możecie. „Sunbird" odezwij się!

Dave siedzi nieruchomo. Bud patrzy na niego, na boczny iluminator, przenosi pusty wzrok na głośnik – twarz ma bez wyrazu. Lorimer wyczerpał już swoje zapasy zdziwienia, teraz chce tylko odpowiedzieć głosem. Mógłby spróbować prymitywnej sygnalizacji impulsowej, ale co potem, jeżeli tamci dwaj są przeciwni?

Dziewczęcy głos z uporem próbuje raz jeszcze. W końcu mówi:

– Margo, milczą jak zaklęci. Może nie żyją? Moim zdaniem to jakieś obce istoty.

Czyż nie ma racji, myśli Lorimer. Centrala Luna odzywa się teraz innym, starszym głosem:

– Judy, tu Myda. Coś jeszcze przyszło mi do głowy. Ci ludzie mieli bardzo sztywną hierarchię służbową. Pamiętasz lekcje historii, każdy miał swoje wyznaczone miejsce, którego musiał się trzymać. Zauważyłaś, że major Davis powtarzał, że jest dowódcą. To się nazywa autorytarna struktura społeczna, jeden rozkazywał, a inni robili, co im kazano, nie bardzo wiemy dlaczego. Może ze strachu. W każdym razie, jeżeli teraz ten rozkazodawca jest w szoku albo wpadł w panikę, inni mogą nie móc odpowiedzieć, dopóki ten Davis im nie pozwoli.

Jezu Chryste, myśli Lorimer. Panie Jezu Chryste w kolorze. To wyrażenie jego ojca na rzeczy, których się nie da wyrazić. Dave i Bud siedzą bez ruchu.

– To bardzo dziwne – mówi głos Judy. – Ale czy nie orientują się, że lecą złym kursem? To znaczy, czy ten rozkazodawca może ich zmusić, żeby wylecieli poza układ słoneczny?

Tak się dzieje, myśli Lorimer, tak się właśnie dzieje. Muszę z tym skończyć. Muszę coś zrobić zanim nas zgubi. Majaczy mu się rozpaczliwa scena buntu przeciw Dave'owi i Budowi. Najpierw trzeba spróbować perswazji.

Właśnie kiedy otwiera usta widzi, jak Bud porusza się lekko i z bezgraniczną wdzięcznością słyszy jego słowa:

– Dave, a co byś na to powiedział, żebyśmy się przekonali na własne oczy? Jedno małe pierdnięcie silnika nie zrobi nam wielkiej różnicy.

Dave odwraca głowę o jeden lub dwa stopnie.

– A może mam wyjść na zewnątrz i rozejrzeć się, jak radziła ta cizia? – głos Buda jest łagodny.

Po dłuższej chwili Dave mówi beznamiętnie:

– W porządku... Zmiana położenia.

Podnosi wolno rękę, jakby mu ciążyła i zaczyna metodycznie nastawiać wartości współrzędnych do przeprowadzenia manewru obrócenia statku nieuszkodzonym iluminatorem na wprost Spiki.

Dlaczego ja nie mogłem tego zrobić, zapytuje się w duchu po raz tysięczny Lorimer, obserwując znajome czynności proceduralne. I po raz tysięczny jest dziwnie poruszony sprawnością kolegów. Oni naprawdę należą do tych autentycznych, tych typu alfa. Zawsze działają zgodnie. Przypomina sobie respekt, jaki z początku odczuwał przed głupawymi osiłkami ze szkolnej drużyny piłki nożnej.

– Gotowe Dave, jeżeli tylko aparatura jest w porządku.

Dave włącza zapłon, nastawia komputer na właściwy czas. Kadłub dygocze. Kabina obraca się i jasny punkt Spiki sunie w przeciwnym kierunku do poprzedniego iluminatora, gdzie ukazuje się na tle odbitych w szybie reflektorów z tyłu. Kiedy gwiazda pojawia się w przezroczystym iluminatorze, Lorimer może dokładnie przyjrzeć się jej towarzyszce. Podwójne światło nieruchomieje – dobra robota. Podaje Budowi teleskop.

– Ta na lewo.

Bud patrzy.

– Tak, to ona. Hej, Dave, popatrz na to!

Wkłada mu teleskop do ręki. Dave wolno podnosi go do oczu i patrzy. Lorimer słyszy jego oddech.

Nagle Dave chwyta mikrofon:
– Houston! – mówi zachrypniętym głosem. – „Sunbird" wzywa Houston, „Sunbird" do Houston, Houston, odezwij się!
W ciszę wdziera się trzask głośnika i słowa:
– Włączyli silniki – czekaj, mówią coś! – Głośnik milknie.
W kabinie „Sunbirda" nikt nic nie mówi. Lorimer wpatruje się w bliźniacze gwiazdy przed nimi, wokół w miarę upływu czasu przemieszcza się niepojęta rzeczywistość. Odbita w szybie twarz Buda spogląda w dół, nie ma już w niej uśmiechu. Broda Dave'a wolno się porusza, Lorimer uświadamia sobie, że Dave się modli. Z całej załogi jedynie Dave jest głęboko religijny, przed niedzielnymi posiłkami odprawia krótką, uroczystą modlitwę. Lorimer czuje, jak wzbiera w nim olbrzymie współczucie. Dave jest tak szczerze oddany rodzinie i swoim czterem synom, zawsze bardzo przejmował się ich nauką, zabierał ich na polowanie, na ryby, na wycieczki. A jego żona Doris, taka pełna energii i słodyczy, jeździła razem z nimi, gotowała i dbała o wszystkich. Kiedy Ginny była chora, odwoziła do szkoły Jenny i Penny. Dobrzy ludzie, do szpiku kości... To nie może być prawda, myśli, za chwilę usłyszy głos Packarda, teraz mamy już dobrze nastawioną antenę. Sześć minut. To wszystko minie. Przed rokiem dwutysięcznym – dość, język by się zmienił. Myśli o Doris... Promieniuje ciepłem żywiąc swoich pięciu mężczyzn – kobiety, które mają synów są inne. Ale Ginny, jego ukochana kobieta, jego żona, jego córki – może są już babkami? Albo dawno nie żyją i obróciły się w proch? Stop, nie wolno o tym myśleć. Dave nadal się modli... Kto wie, co Bud i Dave czują naprawdę? Dave jęknął... Dwanaście minut, musi się udać. Automat dostrajający zatrzymał się, nie, rusza. Trzynaście. To jakiś obłęd, sen. Trzynaście i pół... Czternaście. Głośnik szumi i trzeszczy pustką. Piętnaście. Sen... A może te kobiety wyczekują, żebyśmy sami się mogli przekonać? Szesnaście...
Przy dwudziestej minucie Dave robi ruch ręką, ale wstrzymuje się. Płyną sekundy, z pustki kosmicznej dolatują trzaski. Zbliża się pół godziny.
– Wzywam majora Davisa na statku „Sunbird". – To mówi starsza z kobiet, ma łagodny, spokojny głos. – Tu Centrala Luna. Naszym zadaniem jest organizacja i obsługa lotów kosmicznych. Z przykrością musimy was poinformować, że nie ma już centrum kosmicznego w Houston. Houston przestało istnieć odkąd bazę wahadłowców przeniesiono do White Sands, ponad dwieście lat temu.
Mózg Lorimera pogrąża się w chłodne, przyćmione światło, które izoluje go od rzeczywistości. Stan ten utrzyma się jeszcze przez dłuższy czas.
Kobieta wyjaśnia wszystko jeszcze raz, ofiarowuje pomoc, pyta, czy nie są ranni. Mówi mile i rzeczowo. Dave nadal siedzi nieruchomo patrząc na Ziemię. Bud wkłada mu do ręki mikrofon.
– Odpowiedz im, Dave.
Dave patrzy na mikrofon, bierze głęboki oddech, przyciska guzik nadajnika.
– „Sunbird" do Kontroli Luna – mówi całkiem normalnym głosem. (Centrali, myśli Lorimer). – Potwierdzamy odbiór. Naszemu życiu nic nie grozi. Przyjmujemy waszą propozycję zmiany kursu i zaczynamy dokonywać przeliczeń. Chętnie skorzystamy z pomocy waszego komputera. Prosimy o podanie parametrów naszej obecnej pozycji, pomoże nam to zorientować się w sytuacji. Aha, ograniczamy czas naszych transmisji dopóki nie sprawdzimy stanu naszych baterii. Tu „Sunbird", skończyłem.
I tak się to zaczęło.

Lorimer odrywa się od chwil, które miały miejsce rok, a właściwie trzysta lat temu i znów wraca na pokład „Glorii", gdzie sam obserwuje i jest obserwowany. Wciąż czuje się lekko i radośnie, poczucie zagrożenia czające się gdzieś pod skórą nie wzrasta. Ale jest tak cicho. Wydaje mu się, że już od dawna nie słyszał żadnych głosów. Czy jednak rzeczywiście od dawna? Może narkotyk paraliżuje jego poczucie czasu, może trwa to tylko kilka minut.
– Oddawałem się wspomnieniom – mówi do kobiety o imieniu Connie, chcąc, żeby się odezwała.
Kobieta kiwa głową:
– Z pewnością ma pan co wspominać – och, przepraszam, nie powinnam była tego mówić – jej oczy wyrażają szczere współczucie.

jak dotykały Andiego, jak co chwila wybuchały śmiechem, a w końcu znikały we wspólnych kabinach sypialnych. Co się tu dzieje? Czy mogę...? Moje pragnienie, moje pragnienie...
Ich siła, ich zdecydowany opór... Bud, mimo ostrzeżeń Dave'a jęczał i mruczał znacząco. Dotąd dręczył Andiego aż Dave zabronił wszelkich pytań. Sam Dave najwyraźniej trwał w napięciu i dużo czasu spędzał nad Biblią. Lorimer spostrzegł, że i on wyrywa się do nich całym ciałem jak zgłodniały pies gończy i miał tylko nadzieję, że w kabinach rzeczywiście nie ma żadnych ukrytych kamer.
Mogli się jedynie domyślać, że instrukcje Mydy musiały być bardzo rygorystyczne. Atmosfera na statku jest w pełni antyseptyczna i wszyscy zachowują absolutną dyskrecję. Andy uprzejmie ignoruje każdą próbę indagacji. Ani jednym gestem, ani jednym słowem nie zdradzają, co się właściwie dzieje. Lorimerowi nieodparcie przypomina się weekend, jaki spędził na obozie skautowym u Jenny. Doświadczenia tego typu przychodzą im teraz z pomocą, kiedy muszą z rezygnacją poddać się konieczności dokończenia wyprawy na tym super-„Sunbirdzie" wypełnionym osobliwym zastępem skautów.
Pod każdym innym względem trudno o serdeczniejsze przyjęcie. Zostali oprowadzeni po całym statku i przydzielono im własne pomieszczenie wypoczynkowe w uprzątniętym module służącym poprzednio do przechowywania żwiru. W każdej chwili mają dostęp do kabiny sterowniczej. Lady Blue i Andy udostępniają im całą dokumentację i pełną instrukcję obsługi statku, pokazują im również wszystkie obwody i urządzenia wewnątrz „Glorii" i na zewnątrz. Luna zalała ich potokiem tekstów naukowych oraz danych na temat wszystkich satelitów, wahadłowców i stałych baz na Marsie i na Księżycu.
Dave i Bud z zapałem oddają się badaniom szczegółów technicznych. Tak jak się spodziewali, „Gloria" jest napędzana przez urządzenia rozszczepiające, które wykorzystuje minerały księżycowe. Jej silnik jonowy jest tylko nieco doskonalszy od eksperymentalnych modeli z ich czasów. Na razie wygląda na to, że cuda przyszłości składają się głównie z pomysłowych modyfikacji.
Zupełnie prymitywne – mówi Bud. – Poświęcili wszystko dla prostoty i łatwości obsługi. Nie uwierzysz, mogą ręcznie wprowadzać paliwo. A części zamienne, bracie! Mają zapasowe komplety zapasowych kompletów.
Ale Lorimer traci wkrótce zainteresowanie dla spraw technicznych. Marzy jedynie o chwili samotności. Uczynił kilka chaotycznych prób zbadania tych paru nowych odkryć, jakich dokonano w jego dziedzinie, ale stwierdził, że nie może się skupić. Co, do diabła, mówi sobie, przestałem być fizykiem trzysta lat temu. Jaka to ulga znaleźć się poza ciasną celą „Sunbirda" – Lorimer zaczął snuć się samotnie po gęsto zaludnionym statku, obserwować gwiazdy używając ich doskonałego 400 mm teleskopu, oraz rejestrować szczegóły dziwnego życia załogi.
Kiedy dowiaduje się, że Lady Blue lubi szachy, ustanawiają zwyczaj grywania ze sobą dwa razy w tygodniu. Ta kobieta go zaciekawia – jest pełna rezerwy i najwyraźniej ma autorytet. Ale gdy Bud zaczyna zwracać się do niej per „kapitanie", natychmiast to ucina:
– Nie ma tu żadnych dowódców w waszym znaczeniu tego słowa. Ja jestem po prostu najstarsza. – Bud wraca do „proszę pani".
W szachach jest zwolenniczką solidnej gry pozycyjnej, gra może mniej równo niż mężczyzna, ale za to od czasu do czasu zastawia eleganckie pułapki. Lorimera zdumiewa fakt, że przez cały ten czas wymyślono tylko jedno nowe otwarcie, interesujący gambit hetmański, zwany gambitem Dagmar. Jedno otwarcie w ciągu trzech wieków! Napomyka o tym przyjaciołom, kiedy wracają skończywszy pomagać Andiemu i Judy w przeglądzie zapasowego reaktora.
– W żadnej dziedzinie nie dokonali zbyt wielu odkryć – stwierdza Dave. – Mam nadzieję Andy, że nie weźmiesz mi za złe tych słów, ale większość waszych wynalazków pochodzi jeszcze z okresu epidemii. Wasz program jakby stał w miejscu. Wyprawę na Tytana szykujecie już od osiemdziesięciu lat.
– W końcu tam dotrzemy – uśmiecha się Andy.
– Chodźmy, Dave – wtrąca Bud. – Judy i ja zabieramy was na kolejny obiad z drobiu. Mniam, mniam, już czuję w ustach smak tego kurczaka. Powinniśmy zorganizować tu stolik brydżowy. Przegrywający dostawaliby iguanę.

Boże, jak one paplają, myśli teraz wracając do rzeczywistości. Nasuwa mu się irytująca migawka z przeszłości, głosy Ginny, Jenny i Penny rozmawiające przez kuchenny telefon, a jeszcze wcześniej głos jego matki i siostry Amy. Gadają bez końca. O czym też tak one mogą mówić, mówić, mówić?

– Ależ o wszystkim – odpowiada mu głos Connie tuż koło ucha – to całkiem naturalne dzielić się myślami.

„Naturalne..." Zupełnie jak mrówki, myśli. Pocierają się czółkami przy każdym spotkaniu. Gdzie byłaś, co robiłaś? Och, czuję to, czuję tamto, bla, bla, bla, szur, szur. szur. Pełna koordynacja działania, jak w ulu. Kobiety nie mają poczucia godności. Mówią, co im ślina na język przyniesie, nie mają pojęcia o strategii słów, o niebezpieczeństwie nazywania wszystkiego po imieniu. Nie umieją nic zachować dla siebie.

– Mrówki, ule pszczele – śmieje się Connie odsłaniając wyszczerbiony ząb. – Rzeczywiście uważa nas pan za coś w rodzaju tych owadów, prawda? Dlatego, że one są też rodzaju żeńskiego?

– Czy mówiłem na głos? Przepraszam. – Odsuwa od siebie wspomnienia.

– Och, proszę nie przepraszać. To takie smutne, kiedy się słyszy o pana siostrze, dzieciach i o... o żonie. Na pewno byli wspaniałymi ludźmi. Uważamy, że jesteście wszyscy bardzo dzielni.

A przecież on myślał o Ginny i reszcie tylko przez krótką chwilę – z czym jeszcze zdążył się wygadać? Jakie jest właściwie działanie tego narkotyku?

– Co wy z nami wyprawiacie? – pyta, zdjęty nagłym strachem, niemal zły.

– Wszystko jest w porządku, naprawdę. Ciepłą dłonią lekko i jakby nieśmiało dotyka jego ręki. – Zawsze tego używamy, kiedy chcemy się czegoś dowiedzieć. Zwykle działanie jest całkiem przyjemne. To pochodna lewonoraminy. Uwalnia od zahamowań psychicznych, a jednocześnie nie otępia, jak na przykład alkohol. Widzi pan, już wkrótce będziemy na Ziemi, mamy obowiązek dobrze was poznać, a wy jesteście tacy skryci. – Patrzy na niego z serdecznością. – Nie czuje się pan chyba niedobrze? Mamy antidotum.

– Nie... – Usunął już rękę spod jej dłoni. Wytłumaczenie jakie usłyszał, wydaje mu się całkiem logiczne. – Wcale nie jesteśmy skryci – wyjaśnia lub usiłuje wyjaśnić. – Po prostu mówimy... – Szuka słowa na określenie rozsądku, dojrzałej powściągliwości. Może obiektywizmu? – Mówimy, kiedy mamy coś do powiedzenia. – Ni stąd ni zowąd przychodzi mu na myśl Forrest, koordynator programu, słynący ze swych pieprznych dowcipów. – W przeciwnym razie wszystko by się rozpadło. Wylecielibyśmy poza nasz układ. – Nie to chciał powiedzieć, ale niech tam.

Z drugiego końca kabiny dolatują nagle głosy Dave'a i Buda, budząc w nim na nowo zapowiedź nieszczęścia. One nas nie znają, myśli. Powinny uważać, powstrzymać to, ale sam czuje błogi spokój, chce zastanowić się nad tym, co właśnie zrozumiał, co zaczyna mu się układać w logiczną całość.

– Czuję, że mam jasny umysł – udaje mu się powiedzieć. – Chcę spokojnie pomyśleć.

Kobieta robi zadowoloną minę:

– Nazywamy ten stan ataraksją. Bardzo przyjemny efekt tego narkotyku.

Ataraksja, filozoficzny spokój. Tak. Ale w głębi czają się potwory. Ciemna strona. Ciemna strona Orrena Lorimera, gorąca. powikłana, przyczajona na smyczy. Są takie bezbronne. Nie wiedzą, że możemy wziąć je siłą. Oczyma wyobraźni widzi Judy odartą z różowej piżamy, rozciągniętą na łopatkach koła gimnastycznego, gotową na jego przyjęcie. Jak w kalejdoskopie zaczynają przesuwać się przed nim obrazy: oni trzej przejmują statek, gwałcą i wykorzystują krzyczące kobiety, związane i całkowicie zdane na ich łaskę. Załoga... Wezwijcie stację orbitalną, zażądajcie wahadłowca na Ziemię. Zakładniczki. Można je zmusić do wszystkiego, nie mają żadnej możliwości obrony... Czy to Bud tak orzekł? Przecież Bud o niczym nie wie, przypomina sobie Lorimer. Dave domyśla się, że coś ukrywają, ale sądzi, że to socjalizm albo grzech. Kiedy odkryją prawdę...

A on sam już ją odkrył? Po prostu słuchając, przez wszystkie te miesiące naprawdę słuchając. Przysłuchiwał się ich rozmowom o wiele uważniej niż tamci dwaj, Dave nazywał to „brataniem się z kobietami"... Na początku oczywiście wszyscy trzej się im przysłuchiwali. Przysłuchiwali i przyglądali bezwiednie reagując na bliskość kobiecego ciała. Kuszące okrągłości pod cienkimi, zwiewnymi strojami, magnetyczne usta i oczy, ich zapach, ich elektryzujący dotyk. Patrzyli na to, jak ciągle się dotykały,

– Nic nie szkodzi. Wszystko wydaje się teraz snem, jego utracony świat i ten inny świat tutaj, który dopiero teraz wyraźnie widzi. – Musimy sprawiać na was wrażenie bardzo dziwnych stworów.

– Staramy się was zrozumieć – odpowiada kobieta. – Tak to jest z historią. Uczymy się o wydarzeniach, ale tak naprawdę nie wiemy, jacy ludzie wtedy byli i co czuli. Mamy nadzieję, że nam powiecie.

Narkotyk, myśli Lorimer, oto czego próbują. Powiedzieć im... jak to możliwe? Czy dinozaur mógłby opowiedzieć, jak to było? Przed oczami przesuwa mu się film złożony głównie z przypadkowych ujęć parkingu przed Centrum Kontroli Lotów i zdjęć żółtego telefonu Ginny stojącego w kuchni przy mizernych liściach winorośli... Kobiety i winorośl...

Z rozmyślań wyrywa go wybuch śmiechu. Dochodzi z kabiny, którą nazywają salą gimnastyczną. Bud i inni muszą najwidoczniej grać tam w piłkę. Doskonały pomysł, naprawdę, zadumał się: wykorzystać siłę mięśni podczas długich, niezbyt męczących ćwiczeń. Dlatego są w tak dobrej formie. Sala gimnastyczna to olbrzymi bęben, który podczas biegania lub pedałowania po ścianach obraca się uruchamiając system przekładni, a ten z kolei między innymi wprawia w ruch obrotowy bębny sypialniane. Prawdziwy Woolagong... Bud i Dave zwykle ćwiczą razem drapiąc się po obracających ścianach niczym wielkie, jasnowłose małpy. Lorimer woli spokojny rytm kobiet, a jazda na ich rowerze bardzo mu odpowiada. Najczęściej ćwiczy z Connie, która jest małomówna, i z jedną lub drugą Judy, które są gadatliwe.

Ale teraz nikt się nie odzywa. Lorimer rozgląda się niespokojnie po dużym cylindrze kabiny, widzi Dave'a i Lady Blue przy przednim oknie. Za nimi stoi Judy Dakar i choć raz nic nie mówi. Na pewno patrzą na Ziemię, która od kilku tygodni stanowi piękną, powiększającą się tarczę. Broda Dave'a porusza się, co znaczy, że Dave znów odmawia modlitwę. Robi to ostatnio często, nie ostentacyjnie lecz bezsprzecznie tak szczerze, że Lorimer, który jest ateistą, może mu tylko współczuć.

Obie Judy zapytały naturalnie Dave'a, co tak szepce. Kiedy Dave zrozumiał, że nie mają pojęcia, co to jest modlitwa i że nigdy w życiu nie widziały Biblii, zapadła przygnębiająca cisza.

– A więc straciliście wiarę – powiedział w końcu.

– Nic podobnego, mamy wiarę – zaprotestowała Judy.

– Można spytać w co wierzycie?

– W siebie, oczywiście – odparła.

– Młoda damo, gdybyś była moją córką, sprawiłbym ci tęgie lanie – rzekł Dave bynajmniej nie żartując. Więcej tego tematu nie poruszano.

Jak on znakomicie przyszedł do siebie po otrząśnięciu się z pierwszego szoku. Niezłomna wiara, typ partiarchy, człowiekowi jest to potrzebne. Dave czerpie z tego siłę, a my na nim polegamy. Może przywódcy muszą opierać się na wierze. Dave był wspaniały: pogodny, spokojny, nieugięty; cierpliwie rozwiązywał wszelkie możliwe warianty, podejmował decyzje w przypadku nieuniknionych rozbieżności w określeniu pozycji tak pewnie i gładko, jak by on, Lorimer, nigdy nie potrafił.

Powracają wspomnienia: znów jest na pokładzie „Sunbirda", z piekącymi ze zmęczenia oczami słucha paplaniny kobiet i zwięzłych odpowiedzi Dave'a. Boże, ależ one paplają. Ale wyniki ich obliczeń są w porządku. Lorimer zżyma się również na wykręty Dave'a, na jego niechęć do podania dokładnej siły ciągu i zapasów paliwa. Dave cały czas ukrywa część rezerw zmuszając Lorimera do kolejnych obliczeń.

Lecz nawet te rezerwy niewiele im pomogą, wkrótce staje się jasne, że ich sytuacja jest niewesoła. Przy swoim następnym okrążeniu Ziemia przejdzie zbyt daleko od nich, a brakuje im przyspieszenia, żeby ją dogonić zanim przetną jej orbitę. Mogliby przeprowadzić manewr hamowania, mogliby zmniejszyć szybkość do tego stopnia, żeby przy następnym okrążeniu Ziemia dogoniła ich, ale trwałoby to o rok dłużej i rezerwy środków niezbędnych do życia dawno by się wyczerpały. Lorimerowi ciśnie się do głowy gorzkie pytanie, czy starczyłoby ich dla jednego człowieka, ale odsuwa je od siebie – to sprawa Dave'a.

Jest jeszcze jedna, ostateczna możliwość: za trzy miesiące do ich trajektorii zbliży się Wenus, zakre-

cając wokół niej mogą uzyskać dodatkowe przyspieszenie. Zabierają się do opracowania tego projektu.

Tymczasem Ziemia ciągle się od nich oddala, podobnie jak „Gloria", która zbliża się do Słońca. Wyławiają ją i gubią wśród akompaniamentu trzasku zakłóceń słonecznych. Poznali już jej załogę: mężczyzna to Andy Kay, najważniejsza kobieta nazywa się Lady Blue Parks - tych dwoje zajmuje się nawigacją. Dalej Idą Connie Morelos i bliźniaczki, Judy Paris i Judy Dakar, do których należy łączność. Dwa główne głosy Luny także należą do kobiet, są to Margo i Anzella. Mężczyźni słyszą ich rozmowę z „Escondita", która zbliża się teraz do przeciwległej strony Słońca. Dave nalega, żeby śledzić i nagrywać każdą uchwyconą transmisję. Przeważnie są to nagrania ich własnych rozmów z Luną i „Glorią" połączone z mieszaniną bardzo osobistych informacji. W miarę jak wzmianki o kurach i krowach oraz innym żywym inwentarzu powtarzają się coraz częściej, Dave z niechęcią porzuca swoją koncepcję, że to jest szyfr. Bud doliczył się pięciu głosów męskich.

– Nieźle – mówi. – Jak startowaliśmy, większość kierowców to były babki. Pewno podróże kosmiczne są już całkiem bezpieczne i kobietki przejęły pałeczkę. Niech sobie poużywają – chichocze. – Kiedy ściągniemy to pudło na Ziemię, gwiazdy nie zobaczą już z bliska starego Buda, co to, to nie, proszę państwa. Od razu zafunduję sobie ciepłą plażę, miliard steków, piwko i te inne przyjemności. Kurcze, przecież będziemy żywą historią, możemy wprowadzić bilety wstępu.

Twarz Dave'a przybiera wyraz, który znaczy, że poruszono drażliwy temat. Ku zniecierpliwieniu Lorimera, Dave nie dopuszcza do żadnych rozważań na temat tego, co ich czeka na tej Ziemi z przyszłości. Ogranicza transmisje do ściśle bieżących spraw, a kiedy Lorimer usiłuje namówić go, żeby wspomniał coś chociażby o zagadce, jaką stanowi niezmieniony język, Dave odpowiada stanowczo: „Później". Lorimer irytuje się w duchu: do Dave'a nie dociera fakt, że przeskoczył trzy wieki do przodu, nie jest w stanie niczego się nauczyć.

Jednakże z kobiecych rozmów udaje się im wyłuskiwać pewne wiadomości. Po nich było jeszcze dziewięć udanych misji „Sunbird" i jedna zakończona fiaskiem. A „Gloria" i jej siostrzany statek odbywają z dawna zaplanowany rejs wokół planet wewnętrznych.

– Zawsze latamy parami – mówi Judy – ale te planety są do niczego. Mimo to, warto je zobaczyć.

– Na miłość boską, Dave, zapytaj je do ilu planet dotarto? – błaga Lorimer.

– Później.

Ale mniej więcej w trakcie piątej przerwy na posiłek Luna sama zaczyna mówić:

– „Sunbird", Ziemia przygotowała dla was krótki rys historyczny – mówi głos Margo. – Wiemy, że nie chcecie tracić energii na pytania, więc postanowiliśmy przekazać wam na razie kilka głównych faktów. – Śmieje się. – To jest o wiele trudniejsze niż można się było spodziewać, nikt się tutaj nie zajmuje historią.

Lorimer potakuje jej w myśli, sam się zastanawiał, co powiedziałby człowiekowi z roku 1690, który chciałby wiedzieć, jaki los spotkał Cromwella – czy to wtedy żył Cromwell? – i który nigdy nie słyszałby o elektryczności, atomach i Stanach Zjednoczonych.

– No więc tak, prawdopodobnie najważniejsze jest to, że na Ziemi żyje teraz o wiele mniej ludzi niż w waszych czasach, jest nas trochę ponad dwa miliony. Wkrótce po okresie, w którym żyło wasze pokolenie, wybuchła wielka światowa epidemia. Nie niosła z sobą śmierci, ale zmniejszyła liczbę ludności. Po prostu w przeważającej części świata przestały się rodzić dzieci. Aha, to się nazywa bezpłodność. Kraj, zwany Australią, ucierpiał najwięcej.

Bud podnosi w górę palec.

– W północnej Kanadzie było nie najgorzej. W końcu ci, co ocaleli zebrali się razem w południowej części Ameryki, gdzie mogli uprawiać ziemię i gdzie były najlepsze fabryki i łączność. Na pozostałym obszarze świata nie ma ludzi, ale czasami tam podróżujemy. Mamy pięć głównych dziedzin, którymi się zajmujemy – u was to zdaje się nazywano „gałęzie przemysłu"? Żywność, czyli rolnictwo i rybołówstwo, łączność, transport i podróże kosmiczne – to my. Mamy też fabryki, które produkują to, co jest nam potrzebne. Wydaje mi się, że żyjemy o wiele prościej niż wy. Czerpiemy naukę z waszych doświadczeń, jesteśmy wam bardzo wdzięczni. Aha, na pewno zainteresuje was wiadomość, że tak jak wy korzystamy ze sterowców, mamy ich sześć. A naszą piątą dziedziną są dzieci. Niemowlęta. Czy

mi tasiemkami, myśląc: Chłopiec! Chłopiec i cztery kobiety, takie załogi latają teraz wokół Słońca, prowadzą swoje wielkie, zagracone statki na Marsa. Czy powinien czuć się upokorzony? Na razie czuje jedynie wdzięczność przyjmując z czyichś rąk – chyba Connie? – krótką tunikę i kubek herbaty.

Druga Judy – ta w skafandrze – wchodzi niosąc ich siatki ładunkowe. Mężczyźni idą za Andym wzdłuż korytarza, Bud i Dave trzymają kurczowo podane im kuse stroje. Andy zatrzymuje się przy klapie włazu.

– Ta oranżeria będzie dla was, to wasza ubikacja. Trochę mała na trzech, ale za to słoneczna.

Wewnątrz pleni się wspaniała dżungla, wokół mnóstwo zieleni, krople wody, szeleszczące liście. Coś skacze im spod nóg – konik polny.

– Trzeba przekręcić ten kurek – Andy wskazuje na oparcie siedzenia umieszczonego na krzyżujących się rurach. – Tłok ubija odchody ze żwirem, tworząc z nich nawóz, który użyźnia glebę. Ten gatunek wyki zużywa mnóstwo azotu i wydziela olbrzymie ilości tlenu. Dostarczamy CO_2, a otrzymujemy tlen. Prawdziwy Woolagong.

Obserwuje krytycznie, jak Bud wypróbowuje urządzenie.

– Co to jest Woolagong? – pyta oszołomiony Lorimer.

To nazwisko jednej z naszych wynalazczyń. Niektóre z jej pomysłów są dość niecodzienne. Różne osobliwe wynalazki, które mimo wszystko działają, nazywamy Woolagong. – Śmieje się. – Kury jedzą ziarenka i koniki polne, rozumiecie, a koniki polne i iguany jedzą liście. Kiedy oranżeria znajduje się w strefie cienia, robimy żniwa. Z taką ilością światła moglibyśmy hodować nawet kozę, nie uważacie? Wy, zdaje się, nie mieliście żadnych żywych stworzeń na statku?

– Nie – odpowiada Lorimer – nie mieliśmy nawet jednej małej iguany.

– Obiecali nam kucyka na Gwiazdkę – mówi Bud chrzęszcząc żwirem. Andy z zakłopotaniem przyłącza się do wybuchu śmiechu.

Lorimerowi kręci się w głowie, to nie tylko zmęczenie, rok spędzony na pokładzie „Sunbirda" znacznie ograniczył jego zdolność przyswajania nowości. Półprzytomnie korzysta z Woolagongu, wychodzą i idą do kabiny sterowniczej, gdzie Dave krótko i zwięźle zdaje sprawozdanie Lunie, która serdecznie mu odpowiada.

– Musimy zakończyć teraz manewr korektury lotu – mówi Lady Blue. Lorimer nie mylił się, Lady Blue jest niewysoką, jasną Mulatką w średnim wieku. Connie też ma w sobie coś egzotycznego, reszta to typy europejskie.

– Przyniosę wam coś do jedzenia – uśmiecha się ciepło Connie. – Potem pewno będziecie chcieli odpocząć. Przygotowaliśmy już dla was koje.

Kiedy wychodzą z kabiny sterowniczej, Lorimer dostrzega nieobecny wyraz twarzy Dave'a i wie, że ten musi czuć się teraz jak pasażer na obcym statku. Nie jest już dowódcą, nie decyduje o kursie, nie słyszy komunikatów.

To jego ostatnie świadome odczucie, to i smak dobrej, nieznanej potrawy. Później poprowadzono go w kierunku rufy przez coś, co jak teraz wie, było salą gimnastyczną, do cylindra, w którym znajduje się bęben sypialny. Ma on sześć okrągłych otworów, każdy niczym wejście do psiej budy, Lorimer przeciska się przez ten, który mu wskazano i widzi przed sobą szeroki materac. Półki i blat wbudowane są w ścianę.

To na wypadek nagłej potrzeby. – Przez otwór wsuwa się ramię Connie, podając mu plastykowe torebki. – Jeżeli będzie pan czegoś chciał, proszę wysunąć głowę i zawołać. Tu jest woda.

Lorimer podciąga się do łóżka, zbyt wyczerpany, żeby odpowiedzieć. W końcu, dziwnie ciężko ląduje na materacu i wtedy spotyka go jeszcze jedno zaskoczenie: bęben zaczyna się gładko i bezszelestnie obracać. Z ulgą pada na posłanie, czując, że z każdą minutą staje się „cięższy". Około 0,1 G, może więcej, myśli, a kręcimy się coraz szybciej. I zapada w najbardziej pokrzepiający sen, jaki zdarzyło mu się zaznać w ciągu całego długiego, męczącego roku.

Dopiero nazajutrz dowiaduje się, że to Connie i dwie inne kobiety godzina po godzinie, bez przerwy i bez wysiłku biegały po kole w hali gimnastycznej wprawiając wszystko w ruch i paplając bez opamiętania.

– Cześć, jestem Connie. Będziemy chyba musieli wchodzić dwójkami. Wejdzie pan ze mną, majorze Davis?

Zupełnie jak alarm na pokładzie samolotu, myśli Lorimer, kiedy Dave podąża za kobietą. Ślepe wykonywanie rozkazów niezwykle uprzejmych dziewcząt.

– Latający burdel – trąca go łokciem Bud. – Co ty na to?

Twarz ocieka mu potem. Lorimer mówi, żeby szedł jako następny, jego plecak jest cięższy.

Bud wchodzi z Andym. Kobieta zwana Lady Blue Parks czeka na Lorimera, podczas gdy Judy wspina się na kadłub zabezpieczając ich siatki ładunkowe. Wygląda na to, że jej skafander nie ma podeszew magnetycznych, może nie stosuje się już w przestrzeni kosmicznej stopów żelaza. Kiedy Judy zaczyna za pomocą ręcznej wciągarki zwijać główną cumę, Lady Blue przygląda się jej uważnie.

– Sama to kiedyś robiłam – mówi do Lorimera.

Lorimerowi udaje się dostrzec, że ma pociągłą twarz i ciemne, błyszczące oczy. Wydaje mu się też, że musi mieć w sobie domieszkę krwi murzyńskiej.

– Powinnam jeszcze oczyścić tylną antenę – podpływa do nich Judy.

– Później – mówi Lady Blue.

Uśmiechają się obie do Lorimera. W tej chwili otwiera się właz i Lorimer wraz z Lady Blue wchodzą do środka. Po zatrzaśnięciu zamków słychać coraz głośniejszy syk powietrza i skafander Lorimera flaczeje.

– Czy panu pomóc?

Otworzyła już swój hełm, jej głos jest głęboki i dźwięczny. Lorimer skwapliwie przytrzymuje klamry niezgrabnymi rękawicami i pozwala jej zdjąć hełm. Pierwszy oddech jest zaskoczeniem, po chwili orientuje się, że gaz, który wdycha to po prostu świeże powietrze. Teraz otwiera się właz wewnętrzny wpuszczając zielonkawe światło. Kobieta podprowadza go bliżej. Przedostają się przez krótki tunel. Zza pobliskiego rogu dochodzą go głosy. Szuka ręką jakiegoś uchwytu i przystaje, czując, jak serce wali mu w piersi.

Kiedy wyjdzie zza tego rogu, świat, jego świat, należeć już będzie do przeszłości. Martwy, daleki, pogrzebany na zawsze razem z „Sunbirdem". On sam natomiast będzie już nieodwołalnie w przyszłości. Człowiek z innej epoki, podróżnik w czasie. Przyszłość...

Podciąga się do przodu i pokonuje zakręt.

Przyszłość to duży, jasny cylinder, którego całą wewnętrzną powierzchnię pokrywają jakieś przedmioty niewiadomego pochodzenia i gąszcz zielonych liści. Lorimer ma przed sobą dziwaczny żywy obraz: Bud i Dave, już bez hełmów, ogromni w swoich niezgrabnych ubiorach i z ciężkimi plecakami, a kilka metrów za nimi dwie postacie ubrane w błyszczące skafandry i ciemnowłosa dziewczyna w różowej piżamie.

Wszyscy obserwują obu mężczyzn z ustami rozchylonymi w identycznym wyrazie radosnego zdumienia. Twarz, z pewnością należąca do Andiego, śmieje się szeroko, jak dziecko w zoo. Lorimer widzi, że mimo głębokiego, męskiego głosu, Andy to jeszcze bardzo młody chłopiec – muskularny blondyn, z meszkiem na policzkach. Na kobietę w różowej piżamie Lorimer boi się spojrzeć, nie może nawet powiedzieć, czy jest wyjątkowo piękna, czy wręcz brzydka. Wyższa kobieta, ubrana w skafander, ma twarz błyszczącą i pospolitą.

Nad jego głową rozlega się jakiś dziwny dźwięk, po chwili Lorimer poznaje, że to gdakanie kury. Mija go Lady Blue, wysuwając się naprzód.

– Dobrze już. Andy, Connie, przestańcie się gapić i pomóżcie im zdjąć skafandry. Judy, Luna z pewnością też chciałaby o wszystkim słyszeć.

Postacie z obrazu drgają i wracają do życia. Z tego, co się działo później Lorimer pamięta głównie oczy, błyszczące, pełne ciekawości, pochylone nad jego butami, mierzące z uśmiechem ich plecaki – i ten śmiech, beztroski, swobodny, ciągły śmiech. Andy, który został sam, żeby pomóc im się rozebrać, patrzy ze zdumieniem na stosowane przez nich zapięcia, co wprawia Lorimera w zakłopotanie. Sam Andy, w swoim na pół rozpiętym skafandrze porusza się zwinnie i szybko. Lorimer walczy z ostatni-

te informacje wam coś dają? Używam terminów z książki dla dzieci, którą tu mamy.

Podczas tej przemowy mężczyźni siedzą jak zamurowani. Lorimerowi stygnie torebka z gulaszem. Bud znów zaczyna żuć i krztusi się.

– Dwa miliony ludzi i podróże kosmiczne? – Kaszle. – To niemożliwe.

Dave zamyślonym wzrokiem wpatruje się w głośnik.

– Jest na pewno wiele spraw, które przed nami ukrywają.

– Spytam ich – mówi Bud. – Okay?

Dave kiwa głową:

– Uważaj.

– Luna? Dziękujemy za rys historyczny. Jesteśmy wam naprawdę wdzięczni. Ale nie możemy zrozumieć, jak udaje się wam realizować program lotów kosmicznych, jeżeli jest was tylko dwa miliony. Czy możecie coś bliżej nam o tym powiedzieć?

W przerwie Lorimer usiłuje objąć rozumem te zdumiewające liczby. Z ośmiu miliardów do dwóch milionów... Europa, Azja, Afryka, Południowa Ameryka, cała Ameryka... wymiecione do czysta. Przestały się rodzić dzieci. Światowa bezpłodność, dlaczego? Czarna śmierć, zarazy z Azji – to wszystko jedynie dziesiątkowało ludzkość. Ta epidemia była wielokroć gorsza. Nie, właściwie nie ma różnicy: jedno i drugie przekracza ludzką możliwość rozumienia. Pusty świat, pokryty odpadkami.

– „Sunbird"? – mówi Margo. – Da, powinnam się była domyśleć, że zainteresują was loty kosmiczne. No cóż, mamy tylko cztery statki z prawdziwego zdarzenia i jeden w budowie. Znacie dwa, które krążą koło was. Mamy jeszcze „Indire" i „Pech", te krążą wokół Marsa. Może Mars był dostępny już w waszych czasach. Mieliście przecież stacje satelitarne, prawda? No i oczywiście, stara baza na Księżycu, teraz pamiętam, to było podczas epidemii. Ludzie starali się zakładać na Księżycu kolonie i ten... hodować dzieci, ale zaraza i tu ich dosięgła. Walczyli z nią bardzo mężnie. Naprawdę, dużo wam zawdzięczamy, mam na myśli waszą cywilizację. Historia wszystko nam przekazała, jak opracowaliście program minimum, mający na celu utrzymanie wszystkich przy życiu, jak wyszkoliliście społeczeństwo i uchronili je przed kryzysem. To było wspaniałe osiągnięcie. Aha, nasz marker nazywa się tak, jak jeden z was, Lorimer. Staramy się, żeby wszystko sprawnie funkcjonowało, a poza tym uwielbiamy podróże. Człowiek musi być w ruchu – to nasze motto.

– Czy słyszycie to samo, co ja słyszę? – pyta Bud, mrugając komicznie oczami.

Dave nadal wpatruje się w głośnik.

– Ani słowa o ich rządzie – mówi wolno. – Ani słowa o sytuacji ekonomicznej. Rozmawiamy z bandą małp.

– Mam ją zapytać?

– Poczekaj chwilę... zapytaj o nazwisko głowy państwa i szefa lotów kosmicznych. I... nie, to wszystko.

– Prezydent? – Margo powtarza pytanie Buda. – Coś jak królowe i królowie? Chwileczkę, dam wam Mydę. Właśnie rozmawiała o was z Ziemią.

Starsza z kobiet, którą słyszą od czasu do czasu mówi:

– „Sunbird"? Da, wiemy, że wasza forma rządów była bardzo skomplikowana. Nas jest tak mało, że tego typu formalna struktura przestała nam być potrzebna. Po prostu ludzie z różnych dziedzin, którymi się zajmujemy, spotykają się ze sobą co jakiś czas; no i mamy dobry system łączności, wszyscy są o wszystkim dokładnie poinformowani. Ludzie z poszczególnych dziedzin odpowiadają za nie przez okres swojej kadencji. Bo my się nawzajem wymieniamy, rozumiecie. Przeważnie co pięć lat, na przykład Margo obsługiwała poprzednio sterowce, a ja pracowałam w kilku fabrykach i na farmach, i oczywiście jako wychowawczyni, tak jak wszyscy. Wydaje mi się, że właśnie pod tym względem najbardziej się od was różnimy. No i naturalnie wszyscy pracujemy. Ogólnie rzecz biorąc, życie jest chyba o wiele bardziej ustabilizowane. Zmieniamy się wolno. Czy to dostateczna odpowiedź na wasze pytanie? Oczywiście można zawsze zwrócić się do Archiwum, oni prowadzą ewidencję tego, co każdy z nas robi. Ale nie możemy przedstawić was „przywódcy narodu", jeżeli o to wam chodziło. – Śmieje się wesoło i szczerze. – To jeden z naszych starych dowcipów. Muszę przyznać – ciągnie dalej, tym razem już poważnie – iż ogromnie się cieszymy z tego, że tak dobrze was rozumiemy. Bardzo się

staramy zachować czystość języka, byłaby to dla nas prawdziwa tragedia, gdybyśmy stracili kontakt z przeszłością.

Dave bierze mikrofon.

– Dziękuję, Luna. Daliście nam wiele do myślenia. Tu „Sunbird", skończyłem.

– Ile jest w tym prawdy, doktorku? – Bud pociera kędzierzawą głowę. – Zaserwowali nam tu jedną z twoich historyjek fantastyczno-naukowych.

– Prawda wyjdzie na jaw później – mówi Dave. – Nasze zadanie polega na tym, żeby się tam dostać.

– Tak, ale to właśnie nie wygląda za dobrze.

Wkrótce wygląda to jeszcze gorzej. Nie będą mogli wykorzystać żadnej trajektorii wenusjańskiej. Lorimer znów powtarza cykl obliczeń; ten sam rezultat.

– Chyba nic na to nie poradzimy, Dave – mówi w końcu. – Parametry są zbyt wyśrubowane. Zrobiliśmy, co się dało.

Dave w zamyśleniu pociera kostki rąk. Później kiwa głową:

– Weźmiemy kurs wprost na Ziemię i zastosujemy optymalny wariant zużycia paliwa.

– Powiedz im, żeby nam pomachali, jak będziemy ich mijać – odzywa się Bud.

Siedzą w ciszy rozmyślając nad perspektywą czekającej ich za półtora roku śmierci w kosmosie. Lorimer zastanawia się, czy poruszyć tamtą kwestię, niemiłą i trudną. Jest prawie pewien, co Dave na to powie. A jaką decyzję on sam by podjął, co miałby odwagę zrobić?

– Halo, „Sunbird"? – wdziera się w ciszę głos z „Glorii". – Słuchajcie, robiliśmy tu pewne obliczenia. Wydaje nam się, że jeżeli zużyjecie całe wasze paliwo, uda się wam zawrócić i zbliżyć do naszej orbity na tyle, żebyśmy mogli was zdjąć. Wykorzystacie w ten sposób grawitację słoneczną. Mamy dużą zdolność manewru, ale o wiele mniejsze przyspieszenie niż wy. Macie na pewno jakieś skafandry z mini-napędem, prawda? To znaczy, moglibyście przelecieć samodzielnie parę ki?

Trzej mężczyźni patrzą po sobie. Lorimer domyśla się, że nie tylko on rozważał tę możliwość.

– To dobry pomysł, „Gloria" – odpowiada Dave. – Posłuchajmy co powie na to Luna.

– Dlaczego? – pyta Judy. – To tylko nasza sprawa, statku w niczym nie narazimy. Najwyżej po raz któryś tam nie spojrzymy na Wenus i tyle. Mamy dość żywności i wody, a jeżeli nawet powietrze trochę się zanieczyści, to jakoś to przeżyjemy.

– Hej, te cizie mają rację – mówi Bud. Czekają.

Po chwili napływa głos z Luny:

– Myśleliśmy o tym również, Judy. Ale nie mamy pewności, czy zdajecie sobie sprawę z tego, na co się narażacie. Ach, „Sunbird", przepraszam. Judy, jeżeli uda się wam wziąć ich na pokład będziecie musieli spędzić w kosmosie prawie rok z tymi trzema mężczyznami z zupełnie innej cywilizacji. Myda mówi, że powinniście pamiętać historię i że to jest niebezpieczne, bez względu na to, co twierdzi Connie. „Sunbird" bardzo mi przykro, że jestem taka brutalna. Odbiór.

Bud uśmiecha się szeroko, pozostali dwaj również.

– Jaskiniowcy – chichocze. – Wszystkie cizie wylądują z brzuchami.

– Margo, przecież to są ludzie – protestuje Judy. – Nie tylko Connie jest za tym projektem, ale i my wszyscy. Andy i Lady Blue mówią, że to będzie bardzo interesujące. To znaczy, jeżeli wszystko dobrze pójdzie. Nie możemy ich tak zostawić bez próby udzielenia pomocy.

– Naturalnie, czujemy to samo, co wy – odpowiada Luna. – Ale jest jeszcze jeden problem. Oni mogą przynieść wam jakąś chorobę. „Sunbird", wiemy, że jesteście odizolowani od czternastu miesięcy, ale Murti twierdzi, że w waszych czasach ludzie byli odporni na zarazki, które teraz nie istnieją. A nasze zarazki też mogą wam zaszkodzić. Możecie wszyscy śmiertelnie się rozchorować i stracicie statek.

– Myśleliśmy o tym, Margo – mówi niecierpliwie Judy. – Posłuchaj, jeżeli w ogóle mają się z kimś spotkać, trzeba najpierw przeprowadzić próbę. My jesteśmy do tego idealni. Zanim wrócimy na Ziemię, wszystko będzie już wiadome. A poza tym nie zachorujemy przecież wszyscy tak nagle i ciężko, żeby nie zdążyć umieścić „Glorii" na stałej orbicie, skąd będziecie mogli ją później ściągnąć.

Czekanie.

bezcennymi wynikami, które dzisiaj są już od trzystu lat przestarzałe. A także z paczką listów i zdjęć, którą Lorimer dwukrotnie wkładał do kieszeni skafandra i dwukrotnie ją stamtąd wyjmował. Co jakiś czas dostrzega zarys „Glorii" rosnący z rozmazanej plamy w plątaninę oświetlonych łuków.

– Oho, ho, ale ogrom – mówi Bud. – Nic dziwnego że nie mają przyspieszenia, przecież to latające pole campingowe. Rozpadliby się na kawałki.

– To tylko statek kosmiczny. Trzymasz te siatki, Lorimer?

– Nagle ich hełmy wypełnia głos Judy:

– Widzę wasze światła! Czy wy mnie widzicie? Czy starczy wam paliwa na hamowanie?

– Tak – na oba pytania – mówi krótko Dave.

W tej chwili Lorimer odwraca się wolno i widzi – zawsze będzie to widział: obcy statek na tle rozjarzonego nieba, a w jego cieniu drobne światełka – kobiety czekające na nich wśród gwiazd. Trzy... nie, cztery. Jedno światełko porusza się z dala od statku. Jeżeli jest na linie, to musi mieć ona ponad kilometr długości.

– Halo, jestem Judy Dakar! – głos słychać z bardzo bliska. – O rany, ale jesteście wielcy! Czy wszystko dobrze? Jak z powietrzem?

– W porządku.

W rzeczywistości są zadyszani i spoceni jak myszy; za dużo adrenaliny. Dave ponownie uruchamia silniczki i nagle kobieta zaczyna rosnąć, zbliża się prosto do nich, srebrzysty pająk na nitce pajęczyny. Ma elegancki, elastyczny skafander o lustrzanym połysku, a jej plecak jest całkiem mały. Cuda przyszłości, myśli Lorimer; rozdział pierwszy.

– Udało się, udało się! Tutaj, przywiążcie się tutaj. Hamujcie!

Wypadałoby wygłosić kilka historycznych słów – mamrocze Bud. – Jeżeli tylko ona nam na to pozwoli.

– Halo, Judy – mówi Dave spokojnie. – Dziękujemy, że po nas wyszłaś.

– Mam ich – jej krzyk rozrywa im uszy. – Holuj nas, Andy! Hamujcie, hamujcie, z tamtej strony jest dysza.

Czują mocny uścisk i wielkim łukiem skręcają w stronę statku. Dave po raz ostatni uruchamia silniczek. Lina się plącze.

– Nie szarpcie się – krzyczy Judy. – Och, przepraszam. – Wisi na nich jak małpa, Lorimer widzi jej oczy i podniecone usta. Nie do wiary. – Uważaj, jest za luźna.

– I ty mnie będziesz uczyć, skarbie – słychać baryton Andiego.

Lorimer odwraca się i widzi go na drugim końcu cienkiej cumy, którą sprawnie wciąga do środka. Bud ofiarowuje się z pomocą, ale spotyka go odmowa.

– Rozluźnijcie się tylko i zawiśnijcie swobodnie – poleca im niski głos kobiecy.

Widać, że Andy robi to nie po raz pierwszy. Zbliżają się wolno, wirując w przestrzeni niby jakieś kosmiczne ryby. Lorimer stwierdza, że nie może już dostrzec światełka „Sunbirda". Kiedy znów zostaje odwrócony przodem do „Glorii", widzi, że ta zamieniła się w bezładne skupisko kopuł i prętów wokół głównego cylindra. Zewsząd wystają uchwyty i elementy różnorodnego wyposażenia. Wcale nie przypomina to statku z fantastyki naukowej.

Andy zwija linę holowniczą. Podpływa do niego jakaś inna postać. W miarę zbliżania się Lorimer zauważa, że oboje są dość niskiego wzrostu.

– Łapcie łańcuch – woła Andy.

Następuje trudny moment pokonania inercji.

– Witamy panów na „Glorii", majorze Davis, kapitanie Geirr, doktorze Lorimer. Jestem Lady Blu Parks. Sądzę, że chcielibyście jak najprędzej znaleźć się na pokładzie. Jeżeli macie siłę się wdrapać, bardzo proszę, resztę wciągniemy później.

– Jesteśmy pani bardzo wdzięczni.

Podciągają się na rękach wzdłuż łańcucha cumowniczego. Ma on duże, wygodne uchwyty. Zbli się do nich uśmiechnięta szeroko Judy, żeby popatrzeć, jak sobie radzą. Ciągnie za sobą zwój liny. Pr otwartej śluzie wejściowej statku czeka na nich jakaś inna, wyższa postać.

Siłą woli... Lorimer powraca do otaczającej go rzeczywistości, siedzi odrętwiały w wielkiej, zatłoczonej kabinie „Glorii". Widzi obok siebie pełną życia twarz Connie. Musiały minąć całe godziny, od jak dawna pogrążony jest we wspomnieniach?

– Jakieś dwie minuty – uśmiecha się Connie.

– Myślałem o chwili, kiedyśmy się po raz pierwszy zobaczyli.

– Ach tak. My też tego nigdy nie zapomnimy.

I on będzie to pamiętał... Znów pozwala się unosić wspomnieniom. Niekończące się godziny po tym, jak po raz pierwszy na dłużej wyłączyli silniki, trzęsienie się statku, które zmusiło ich do łykania pigułek przeciwwymiotowych, zdyszany głos Judy odczytującej im dystans: „Och, bardzo dobrze, czterysta tysięcy... Wspaniale „Sunbird", już prawie trzysta, na pewno zejdziecie poniżej stu..." Dave tego dokonał, wielki Dave.

Dopóki statek się trząsł, radar Lorimera był nie do użytku, dopiero kiedy ustabilizowali się przed ostatnim włączeniem silnika, na ekranie począł ukazywać się i znikać dziwny punkcik. Mieli nadzieję, że znajduje się w pobliżu teoretycznej pozycji przecięcia orbit.

– Teraz albo nigdy.

Po ostatnim odpaleniu silników, kołysanie i trzęsienie statku zamienia się w gwałtowne koziołkowanie, podczas którego widzą za szybą wirujący nieboskłon. Pigułki już nie pomagają, a do tego psuje się układ zasilania silniczków korekcyjnych. Wszyscy trzej wymiotują, zanim udaje im się przepompować ręcznie resztki paliwa i złagodzić ruchy statku.

– To wszystko, „Gloria". Podejdźcie i zdejmijcie nas. Bud, zapal światła pozycyjne. Wkładamy skafandry.

Walcząc z mdłościami, wykonują w cuchnącej kabinie wszystkie nużące, niezbędne czynności. Nagle słyszą wysoki, śpiewny głos Judy:

– Widzimy was, „Sunbird"! Widzimy wasze światła! Czy wy nas widzicie?

– Nie mamy czasu – mówi Dave.

Ale Bud, do połowy ubrany, pokazuje coś za oknem:

– Hej, chłopcy, popatrzcie tylko.

Lorimer wytęża wzrok, wydaje mu się, że między wirującymi gwiazdami dostrzega słabą iskierkę, ale w tej chwili znów porywają go nudności.

– Dziękujemy ci, Boże Wszechmogący – mówi opanowanym głosem Dave. – W porządku, do roboty, doktorze. Plecaki.

Wysiłek, jaki muszą włożyć w wydostanie się wraz z przyrządami napędowymi i siatkami ładunkowymi z wirującego statku, odsuwa na razie wszystko inne na dalszy plan. Dopiero kiedy orbitują, związani ze sobą i utrzymywani we względnej równowadze przez ręczny silnik odrzutowy Dave'a, Lorimer ma czas się rozejrzeć.

Po lewej mają Słońce. Kilka metrów pod nimi koziołkuje pusty „Sunbird" – wydaje się teraz śmiesznie mały. Przed nimi, nieskończenie daleko, widać zamazany, żółty punkcik, który nie może być gwiazdą. Punkcik porusza się: to „Gloria" zmierza im na spotkanie.

– Możecie zaczynać „Sunbird"? – słyszę w hełmofonach głos Judy. – Nie chcemy bardziej hamować ze względu na odrzut. Zbliżamy się według kursu, mniej więcej pięćdziesiąt ki na godzinę.

– Daj mi swój silnik, Lorimer.

– Żegnaj „Sunbird" – mówi Bud. – Wal Dave.

Lorimer czuje dziwny, dziecinny spokój, gdy tych dwóch silnych mężczyzn holuje go przez przestworza. Ma absolutne zaufanie do Dave'a, nie bierze w ogóle pod uwagę możliwości, że mogą nie trafić, minąć „Glorię" i zginąć w przestrzeni. Czy Dave nim gardzi? Lorimer zastanawia się: czy to jego uparte milczenie wyraża po części pogardę dla ludzi, którzy radzą sobie jedynie z symbolami i nie umieją sprostać konkretom?... Lorimer koncentruje się na tym, aby sprostać walce ze swoim żołądkiem.

Długa podróż w mroku. „Sunbird" – małe migocące światełko – oddala się coraz bardziej, powoli przyspieszając na kursie spiralnym, który zawiedzie go ostatecznie ku Słońcu wraz ze wszystkimi ich

– Ale, ale, a co z tą epidemią? – Bud starannie przygładza włosy. – Nie jestem pewien, czy odpowiada mi kariera pedzia.

– Wolisz zostać tutaj? – pyta Dave.

– Wariactwo – mówi inny głos z Luny. – Halo, „Sunbird", tu Murti ze służby zdrowia. – Sądzę, że największe zagrożenie stanowią wirusy grypy, które wywołują zapalenie opon mózgowych i łatwo tworzą nowe mutacje. Może wasz doktor Lorimer ma tu jakieś propozycje.

– Zaraz go dam – mówi Dave. – A co do punktu pierwszego, łaskawa pani, chciałbym panią poinformować, że w chwili naszego startu procent gwałtów w kadrze astronautycznej Stanów Zjednoczonych wynosił zero, przecinek zero. Ręczę za zachowanie mojej załogi, jeżeli wy tylko potraficie upilnować swoją. A oto doktor Lorimer.

Ale Lorimer nie ma im oczywiście nic szczególnego do powiedzenia. Omawiają szczepionki przeciw Heine Medine, które w swoim czasie zupełnie wyniszczyły ten groźny wirus i różne nadal istniejące choroby dziecięce. Lorimer nie wspomina nic o epidemii.

– Luna, zdecydowaliśmy się spróbować – oświadcza Judy. – W przeciwnym razie nie moglibyśmy sobie tego darować. A teraz ustalmy kurs, zanim oddalą się od nas jeszcze bardziej.

Od tej chwili na pokładzie „Sunbirda" wre praca, załoga zasiada do programowania, przeliczania i sprawdzania pakietu obliczeń wszelkich dostępnych przecinających się trajektorii. Dowiadują się, że „Gloria" ma rzeczywiście małą siłę ciągu, ale za to jest przystosowana do długotrwałych manewrów. „Sunbird" będzie musiał o własnych siłach przebyć większość dystansu dzielącego ich od spotkania, jeżeli tylko im się uda pokonać przyspieszenie odśrodkowe.

Raz jeden podczas długiej sesji obliczeń napięcie opada, kiedy Luna wzywa „Glorię", żeby ostrzec Connie, że przez cały czas pobytu mężczyzn na ich pokładzie, żeńska część załogi ma nosić luźne, tuszujące sylwetkę ubrania.

– Nie kostiumy, Connie, są za bardzo dopasowane. – To mówi starsza z kobiet, Myda. Bud rechocze.

– Chyba wasze stroje nocne. A kiedy mężczyźni będą się rozbierać ze skafandrów, tylko Andy może im pomagać. Reszta niech się trzyma z daleka. To samo dotyczy wszystkich czynności fizjologicznych i spania. To bardzo ważne, Connie, musisz dopilnować tej sprawy aż do waszego powrotu na Ziemię. Oprócz tego jest jeszcze cała masa skomplikowanych tabu. Przekazuję wam teleksem całą instrukcję, czy wasz odbiornik działa?

– Da, używaliśmy go do tekstu France o czarnych dziurach.

– Dobrze. Zawołaj Judy. Teraz słuchaj Connie, słuchaj uważnie. Powiedz Andiemu, żeby to przeczytał. Powtarzam, on ma to przeczytać, słowo po słowie. Słyszałaś?

– Aha, dinko – odpowiada Connie. – Rozumiem. On ma to przeczytać.

– Coś mi się wydaje, że przegraliśmy, chłopcy – lamentuje Bud. – Kochana staruszka Myda odarła nas ze wszystkiego.

Nawet Dave się śmieje. Ale później, kiedy rozlega się modulowany pisk stanowiący w istocie przekazywaną porcję informacji, na jego czole znów pojawia się mars:

– Teraz idzie właściwy tekst.

Komputer połyka ostatnią porcję cyfr, przetwarza skorygowany program i Luna potwierdza wyniki.

– Znaleźliśmy wyjście, Dave – melduje Lorimer. – Nie będzie łatwo, ale mamy do wyboru przynajmniej dwa możliwe warianty. Oczywiście pod warunkiem, że główne silniki nie są uszkodzone.

– Wyjdziemy na zewnątrz, żeby je sprawdzić.

Zadanie nie jest łatwe. Odkrywają wygięcie w osłonie jednego z bocznych silników i przez cztery mordercze godziny usiłują doprowadzić to do porządku. Chociaż Lorimer zaledwie po raz trzeci znajduje się w otwartej przestrzeni kosmicznej, wkrótce zmęczenie nie pozwala mu na żadne inne emocje.

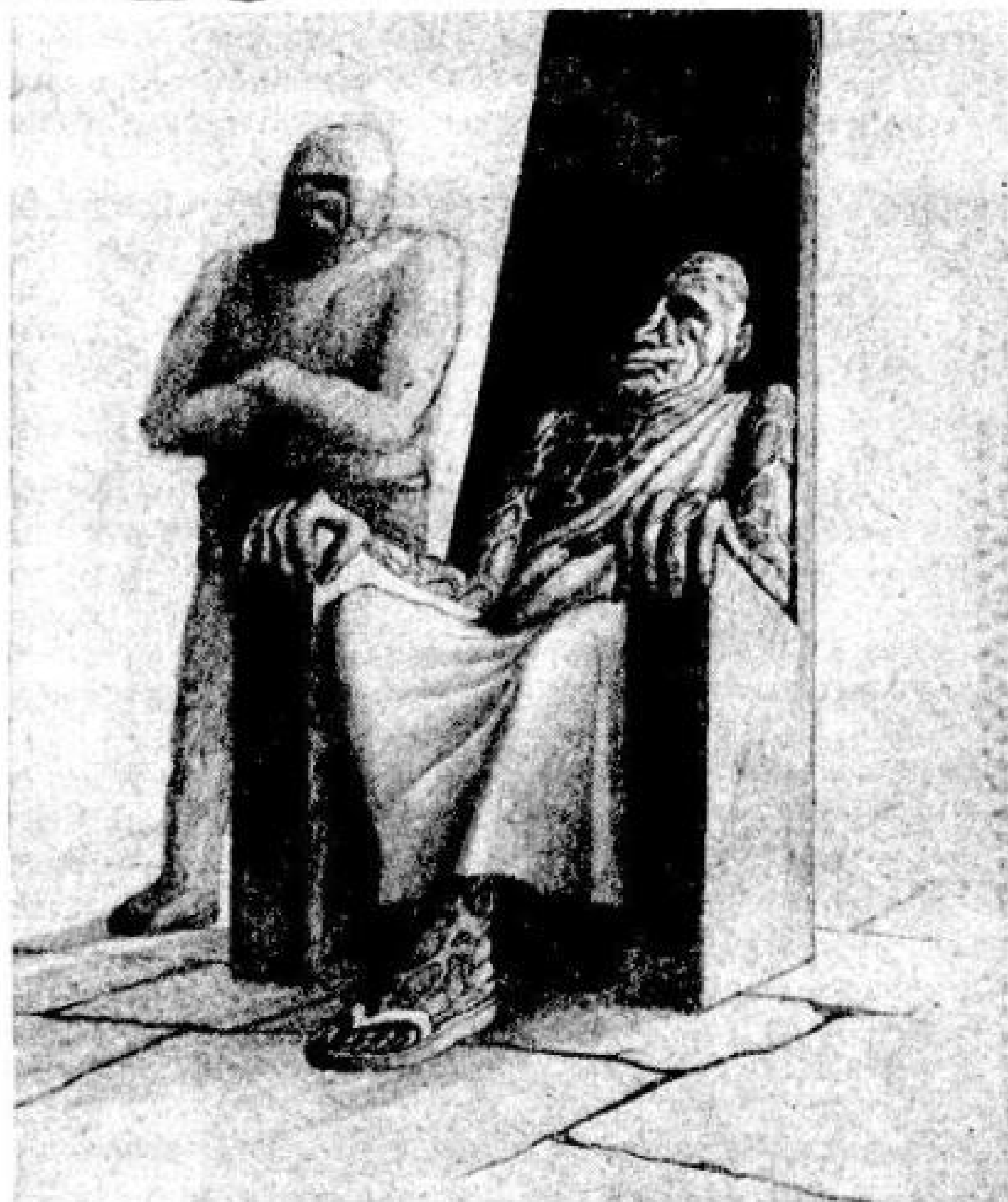
– Zrobiliśmy, co się dało – dyszy Dave. – Będziemy musieli nadrobić resztę siłą woli.

– Dasz sobie radę, Dave – mówi Bud. – Aha, muszę przestroić radia w skafandrach, żebym nie zapomniał.


R. WOJTYNSKI

MISTRZ

Emma Popiss



Waldemar Wroński

Miał dziewięć lat i był genialny. Podprowadzono go pod wielki tron władcy i pozostawiono samego. Uczynił to jego nauczyciel, który teraz wycofał się tyłem i tajemnie ocierał oczy.
Chłopiec nie wierzył, by jego nauczyciel umyślnie go tu przyprowadził wiedząc, co może się stać. Nie wierzył również w czekającą go śmierć, ufał w zwycięstwo prawdy, którą znał. Ale nauczyciel nie wracał, a chłopiec nie wiedział, do kogo należał krzyk.
Władca siedział na tronie z wypolerowanego metalu. Poręcze tronu ozdobiono spiralami; kiedy chłopiec spojrzał na nie, odniósł wrażenie, że się wiją i zaraz skoczą mu do oczu, ale się nie bał, znał bowiem prawdę i przyszedł tu, by ją ogłosić.
Przeniósł wzrok na wielką stopę władcy wysuniętą spod szaty, druga, jak nakazywał dworski ceremoniał, była schowana. Stopa władcy miała wyrwane paznokcie, zawsze tak czyniono cesarskim niemowlętom, by nie przechodziły tortur w razie zmiany rządów, co się zdarzało systematycznie. Stopa w sandale z ciężkiego, żółtego metalu stała na fioletowej lśniącej posadzce.
Chłopiec prześliznął się wzrokiem po szacie władcy obwieszonej krążkami kolorowych metali. Właśnie wzeszło słońce, niebieskie o tej porze, i szybko wtaczało się na pułap purpurowego nieba. Oświetliło od spodu głowę władcy, która wyglądała jak czarna bryła i w peruce poskręcanych włosów usztywnionych paskami metalu tkwiła wysoko na tle horyzontu. Słońce już wpełzło do połowy nieba i zaczynało parzyć z wysoka. W jego sinym świetle stała maleńka figurka chłopca na tle rozległej tafli fioletowej posadzki naprzeciw ogromnego jak gmach tronu.
Spojrzenie chłopca powędrowało wyżej i napotkało spojrzenie pomarańczowych źrenic, które wydawały się płytkie w koncentrycznych obwódkach szminek wokół oczu. Szminka tak grubo pokrywała twarz, że wyglądała jak glina, w której wyżłobiono rysy.
Mierzyli się wzrokiem. Oczy władcy nie wyrażały niczego – tylko lśniły, a chłopcu się wydały chore, lecz nie znał powodu bólu. Zrobiło mu się żal władcy z podkrążonymi oczami; pomyślał, że prawda, którą mu wyjawi, będzie jego ocaleniem, więc patrzył otwarcie.
– Dlaczego nie masz opaski na włosy? – wymamrotał władca spod grubej warstwy szminek, które mu się okruszały z warg. Nie był pewien, czy ludzie powinni nosić włosy związane, ale powiedział tak przez analogię i z bólu, bo paski metalu przytrzymujące perukę kłuły go w skórę czaszki.
– Masz na sobie tylko cienką koszulę przed kolana? – pytanie brzmiało jak westchnienie zazdrości; jemu było ciężko i duszno pod szatą, a krążki metalu już się nagrzały i piekły go przez tkanine. Promienie światła załamywały się na nich i rozszczepiwszy się rzucały błyski na tle czarno-różowych prążków sukien.
Nie czekając na odpowiedź, dodał: – Podobno znasz prawdę? – I nie wiedząc, co robić dalej skinął palcem, otoczonym miedzianą rurką, na uczonego doradcę kryjącego się sprytnie przed upałem w czerwonym cieniu drzewa. Słońce biło promieniami prosto w dół, a uczony zgodnie z przepisami musiał być nagi.
Chłopiec spojrzał ciekawie na chudą postać pokurcza kulawo wysuwającą się z cienia. Uczony miał cechy mutanta, jak wszyscy, choć się o tym nie mówiło i nie przyjmowało tego do wiadomości, traktując każdego tak, jakby był człowiekiem. Brzydkie i chropawe ciało uczonego pokrywały płaty parszywej skóry z wyraźnie widocznymi brodawkami i sierścią.
Dziecku się przypomniały żółte wstrętne żaby, pleniące się w gnijących zaułkach miasta. Chłopcy ciskali w nie kamieniami i wszyscy się ich brzydzili. W jego oczach odbiło się to wspomnienie pełne obrzydzenia i niechęci.
Uczony skrzyżowanymi rękoma krył parszywą skórę i kuląc się dreptał w kierunku tronu, by się skryć za jego oparciem. Udawał, że nie widzi drwiny w oczach chłopca, rzucił ku niemu tylko jedno ukośne spojrzenie. Ale jego twarz robiła się gorąca i miał wrażenie, że palą go policzki. Ogarnęło go nowe uczucie, którgo nigdy jeszcze nie doświadczał: wstyd.
Toteż kiedy się skrył za oparciem tronu jak za murem i wymacał wzrokiem oczy chłopca, spojrzał na niego z taką nienawiścią, że dziecko powinno zacząć się bać. Lecz mały tego nie umiał, wierzył w zwycięstwo prawdy.
Uczony patrzył na chłopca szklanym od nienawiści spojrzeniem, lecz myślał teraz o tym, co trzeba zrobić. Pochyliwszy się do ucha władcy szeptał mu instrukcje i opowiadał o wyczynach chłopca w mieście. Umiał dobrać odpowiednie cytaty z raportów, które mu przynosili jego szpiedzy, wiedział też jak dopiąć swego.
Od czasu, kiedy wielkie biblioteki płonęły i ogień z nich przenosił się na miasto, zakazywano drukować książki, bo się okazało, że przynoszą więcej szkody niż pożytku. W zamian wyznaczono odpowiednie osoby, których obowiązkiem było wiedzieć, co należy i we właściwym momencie przekazać informacje władcy.
Uczeni w dowód swej doskonałej pamięci chodzili nago pokazując, że nigdzie nie chowają zapisków i ściągaczek, a doskonały umysł jest ich jedyną skarbnicą.
Władca słuchając uczonego nie patrzył na chłopca, lecz zamglony pod ciężkimi powiekami wzrok błąkał się po okolicznych wzgórzach kryjących, jak wiadomo, zasypane miasta z portami lotniczymi i skoczniami rakietowymi. Czy zastanawiał się, jak je odkopać, choć wiedział, że kryją promieniotwórczą śmierć wciąż niebezpieczną mimo upływu czasu? Każe kiedyś odgarnąć z nich piasek, by odkryć w magazynach pomarańczowe rozpadające się słońce, które może na powrót uczyni z mutantów ludzi albo ich zabije. Może wiedział, dlaczego się zastanawiał nad wyglądem swego ludu właśnie teraz? Z pewnością obecność chłopca i jego czysta skóra skłaniała go do takich pytań.
Chłopiec stał i myślał: „Teraz mnie zapyta o prawdę i ja mu ją ogłoszę". Na tę myśl zadrżało jego delikatne ciałko tak białe jakby wycyzelowane w białym marmurze poprzerzynanym cieniutkimi niebieskimi żyłkami.
Ale władca nie pytał o nic. Nie myślał już bowiem ani o udoskonaleniu, ani o wymordowaniu swego ludu, który i tak był mu obojętny; dotąd nigdy przecież nie pokazano mu człowieka. Teraz dręczyła go tylko jedna myśl: kiedy nadejdzie czas jedzenia? Wyłącznie jedno miał pragnienie: zaspokoić głód.
Głodny był zawsze, nie pamiętał, by kiedykolwiek najadł się do syta, władcom wyznaczano tak marny wikt. Denerwował go dworski ceremoniał nakazujący zajmowanie się polityką równo ze wschodem słońca, przed posiłkiem, oczywiście. Nigdy nikt nie przychodził na audiencję, więc drzemał czekając na jedzenie i we śnie głód nie dręczył go tak mocno jak na jawie.
A dziś osłabł z głodu i ciążyła mu szata na ramionach.
– Z czego jest zrobiona twoja koszula? – zapytał cicho. Wzrokiem pełnym myśli o jedzeniu i o lekkim przewiewnym ubraniu prześlizgiwał się po dwóch prostokątnych kawałkach płótna związanych na ramionach i dojrzał wreszcie bose stopy chłopca. Patrzył na nie stojące na posadzce i nie mógł się nadziwić paznokciom przypominającym kruche szkiełka.
On sam nie mógł nawet oderwać stopy uwięzionej w magnetycznym sandale. Wiedział zresztą, że śliskość podłogi czyniła z chodzenia śmiertelne niebezpieczeństwo. Po skończonej audiencji przyjdą i go wyniosą ująwszy tron za cztery drągi. Zawsze się obawiał, że pójdą nieco dalej po śliskiej posadzce tarasu, aż do jego brzegu i zepchną go, by się roztrzaskał o żelazne skały, na których była zbudowana twierdza. Tak zawsze czyniono ze zużytymi władcami. Przewroty następowały często i niespodziewanie, toteż nie był pewien dnia ani godziny. Uświadomił sobie teraz, że całe jego życie upływało w trwodze przed śmiercią, a mały chłopiec,

który stoi przed nim boso i jest zupełnie bezbronny, patrzy śmiało i zupełnie nie czuje strachu.
Właśnie z zaułków dobiegł wrzask, wycie i jęki, a potem nieludzki skowyt. Władca zadrżał, mury twierdzy szturmowała wrzawa.
„Czy to już po mnie?" – pomyślał. Najgorsze i najwstrętniejsze było to, co następowało, odgłosy zadowolenia i mlaskanie.
– Ludzie w mieście złapali odmieńca – przypomniał usłużnie uczony. On wszystko wiedział, mimo że jak i jego pan nigdy nie dostał pozwolenia na opuszczenie twierdzy.
– Obdzierają go ze skóry – dodał obojętnym tonem patrząc na chłopca.
Władca odetchnąłby głęboko, gdyby nie krępowała jego płuc sztywna szata. Ze strachu spojrzał w bok odwracając gałki oczne, bo nie mógł poruszyć głową. Chciał lepiej usłyszeć kroki, gdyby po niego się skaradały. Wzrok jego napotkał kwiaty pełzające po brzegach tarasu.
Nienawidził tego widoku i zawsze czynił wszystko, by nie spojrzeć w tę stronę. Z powodu chłopca nie mógł przedrzemać czasu audiencji i spotkał się oko w oko z kwiatami koloru wątroby. Przypominały gnijące mięso przyklejone do brzegu tarasu ciemnoróżowymi błonami. Nigdy nie mógł znieść ich widoku, ani wytrzymać ciężaru swego życia, które dopiero teraz stało się nie do wytrzymania.
Przez tego oto chłopca zaczyna wszystko czuć mocniej i boleśniej. Ma przeczucie dochodzenia do jakiejś prawdy. Jakże ona uczyni go wrażliwym na ból i jak zadrażni jego nerwy, gdy zostanie przez chłopca wygłoszona! Stanie się cierpieniem, a nawet go nie nakarmi.
– Czy takich jak ty jest wielu? – zapytał z przerażeniem władca. „Gdyby takich było wielu i prawdy dotarłyby do ludzi, co stałoby się z urzędem władcy?" – zastanowił się, czując, że jest na krawędzi tarasu i zagląda w przepaść. „On musi być jedyny" – wmawiał sobie, bo to stanowiło ratunek. „Odmieniec" – dopowiedział w myślach.
– Wydać go – rzekł szybko, jakby chciał, aby stało się to jak najprędzej. Powiedział tak, bo bardzo się bał i dręczył go głód. Więc chłopca zabrano, by rzucić go tłumom.
Uczony się uśmiechnął, ale jeszcze nie był całkowicie zadowolony. Dostrzegł wrażenie, jakie na władcy uczynił widok chłopca. Patrzył na strumyczki ściekających szminek, które się topiły pod wpływem wzruszenia.
Jeszcze czuł ohydę swojej parszywej skóry i ból od oparzeń słonecznych. Bolało go poczucie hańby, jakiej doznał idąc powoli przez całą długość tarasu pod wzrokiem chłopca. Promienie granatowego słońca stojącego w zenicie żarzyły się na jego skórze, a wzrok dziecka ziębił.
On, uczony, szeptał w ucho władcy rady tak zbawienne! Opowiadał mu o niebezpieczeństwie prawdy. Ileż kosztowało go wysiłku posklejanie w wygodną całość strzępków informacji przynoszonych przez szpiegów! Przesłuchiwał każdego wiele godzin, ale znacznie dłużej trwało wkuwanie na pamięć ich słów. Musiał zapamiętać najdrobniejszy szczegół. Całe noce siedział w ciemności i powtarzał wszystko w kółko, aż mu się plątały słowa i wiadomości, a przed oczami zaczynały latać tęczowe płatki zmęczenia. Nie mógł przecież niczego zapisać, więc i w dzień siadywał w korytarzu, zamykał oczy i powtarzał słowa zasłyszane przez szpiegów. Bał się i męczył, a nikt nie znał jego życia pełnego strachu. A teraz, kiedy dokonał największego dzieła, zostało ono przez władcę zlekceważone. Tego mu nie przebaczy – postanowił patrząc zza oparcia tronu na jego ucho sine od promieni słonecznych i kostropate od warstw szminki i w duchu się cieszył na myśl o zemście.

Zjawili się jak zwykle, wtedy, gdy nie mógł już ani chwili dłużej wytrzymać z głodu. Byli wysocy i nosili złote blaszane stroje. Ujęli bez wysiłku rączki drążków wystające po czterech rogach tronu. Zachybotał. Ich złote maski miały zbyt wąskie otwory na oczy, więc nie mógł w ich źrenicach znaleźć potwierdzenia swoich podejrzeń. Nigdy się nie zbliżali tak bardzo, by mógł wyczuć oddech, choć mieli dziurki na nozdrza. Blachy masek nie wycięto w kształt ust, więc nawet nie próbował zadawać pytań.
Uczony patrzył jak nieśli władcę przez gładki i śliski korytarz, okrągły jak rura, pod migającymi reflektorami. Kiedy zniknęło ochraniające oparcie tronu, poszedł w róg tarasu pod cień drzewa, ciepłą czerwienią broniący przed promieniami słońca i zasłaniający nieco parszywą skórę. Nie mógł o niej zapomnieć. Musiał mieć spokój, by ułożyć plan zemsty i zniszczenia władcy, którego niesiono pod fioletowymi błyskami reflektorów.
Władca nawet nie mógł zmrużyć oczu, bo powieki były usztywnione warstwami szminek. Postawili go w Sali Pokarmu, zachybotał i nie zdążył jeszcze chwycić równowagi, kiedy mu wepchnęli do ust rurkę tak głęboko, że się zakrztusił. Tak było co dnia i choć zawsze chciał się przygotować na ten przykry moment i zacisnąć mięśnie szczęk, by uniknąć chwili dławienia się rurką, głód powodował, że zapominał o przyrzeczeniu i otwierał szeroko usta. Zawsze tracił pierwsze, najpyszniejsze łyki, które spływały mu po brodzie i ściekały pod szatę na piersi wciąż powiększając zakrzepłą kałużę na skórze.
Nagi uczony przemykając się za drzwiami Sali Pokarmu widział, jak władca wytrzeszczywszy oczy chłeptał swoją codzienną zupkę ugotowaną z produktów, których nigdy mu nie pokazywano, zerkał na czterech w maskach stojących nieruchomo i śledzących zegar. Jeden z nich trzymał rękę na kraniku dołączonym do rurki.
Władca zawsze podejrzewał, że zakręcali mu dopływ zupy wedle swego kaprysu. Usiłował nie wpatrywać się w nich zbyt natrętnie i opuszczał powieki, kiedy tylko mu się wydało, że obserwują go spoza złotych masek i mogliby w jego oczach odczytać wyrzut czy naganę. Bał się wzbudzić ich niechęć, bo wystarczyłby lekki ruch palca w złotej rękawicy i pozostałby głodny do następnego dnia.
Ale w duchu nie mógł się powstrzymać od zadawania sobie pytań i znajdywania na nie odpowiedzi. Pewien był, że utuczyli się na jego zupkach. Rzucił okiem na bryły mięśni ramion skrzyżowanych na piersiach i znowu oskarżył ich o to, że zupki mu systematycznie podkradali. Łykał bardzo szybko, by się jak najwięcej nachłeptać, płyn spływał mu letnim strumykiem do gardła, ssał rurkę jak cycek, starając się z niej wycisnąć jak najwięcej i nie stracić rytmu.

Uczony lekko przebiegał najwyższe piętra twierdzy; dokładnie wiedział, ile trwa posiłek, więc był spokojny i pewny, że zdąży wykonć swój plan. Cicho się przemykał nie czyniąc szelestu bosymi stopami, dokładnie przylegającymi do śliskiej podłogi. Dobrze wiedział dokąd ma iść i jakie wykonać manipulacje. Korytarz wznosił się prawie pionowo w górę, nie było nigdzie schodów. Przystanął i spojrzał za siebie, by sprawdzić czy go nikt nie śledzi. Przeraził się widząc śliską rurę korytarza. Gdyby się pośliznął lekko nawet pchnięty, pewnie by leciał w dół i nic by go nie zatrzymało, żadna poręcz, roztrzaskałby się na żelaznych zboczach tarasu. Przywarł mocniej stopami, wstrząsnął się, odwrócił głowę i patrząc tylko przed siebie szedł w górę.
Komora i maszyneria były informacjami utajnionymi, on pozornie korzystał jedynie z wiadomości przynoszonych przez urzędowych szpiegów, ale wiedział swoje!
Jego prywatni szpiedzy kontrolujący urzędowych podsłuchali kogo trzeba i zdradzili mu szyfr. Był panem zamku i władcy. Grzejąc się w fioletowym cieple reflektorów powtarzał sobie mrucząc: – Trzy obroty w lewo, dwa w prawo, pięć w lewo, zakodować datę, na którą chce się ustawić przewrót pałacowy.
Z tym nie będzie miał kłopotu, wkręci w szyfr mechanizmu datę dzisiejszą. Niech się od razu skończy panowanie, nie ma potrzeby, by jego zemsta czekała.
Kątem oka dojrzał odbicie swojej postaci w wypolerowanym metalu ścian. Wklęsłe zwierciadło dodatkowo zniekształciło jego sylwetkę, rozszerzając biodra, zwężając ramiona już i tak bardzo kościste i rachityczne. Nawet tak mdłe i niedokładne lustro, jak metalowa ściana, ujawniało parszywą skórę. Jakże widoczna musiała być gołym okiem! Musiał wszystko pokazać obcemu i to w dodatku dziecku o czystej skórze bez narośli i guzów. Dobrze wiedział, że chłopiec był przedstawicielem starej rasy prawdziwych ludzi, która się czasami odradzała w pojedynczych wprawdzie egzemplarzach, ale za to tak doskonałych jak ten. Patrzył na swoje odbicie i złość podżegała go do czynu. Te jego poskręcane żebra i wątłe kola-

Emma POPISS

(ur. w 1950), gdańszczanka, mgr filologii polskiej, była redaktorką w Wydawnictwie Instytutu Morskiego, asystentką w WSP w Bydgoszczy, obecnie jest nauczycielką języka angielskiego. Pisywała wszystko: teksty paranaukowe do „Kuriera Polskiego" i „Głosu Wybrzeża", czarną powieść kryminalną o dziewczynie zamordowanej na zabawie koła gospodyń wiejskich (wydawcy po wstępnych zachwytach zlękli się książki, ale teraz wznawiają rozmowy) i wreszcie opowiadania SF. Ich wybór *„Tylko ziemia"* przyjęło niedawno wydawnictwo „Iskry".
W przerwach między pisaniem, pracą i podejmowaniem różnych funkcji, którymi, wbrew marzeniom o spokojnym życiu, próbują obarczać ją bliźni, pełni Popiss rolę pierwszej agentki UFO na Polskę. Jako członek amerykańskiego towarzystwa UFO – drukuje artykuły w branżowych pismach „Flay saucer review" i „UFO Journal". Nigdy, co prawda, osobiście UFO nie widziała, ale nie traci nadziei.(m. p.)

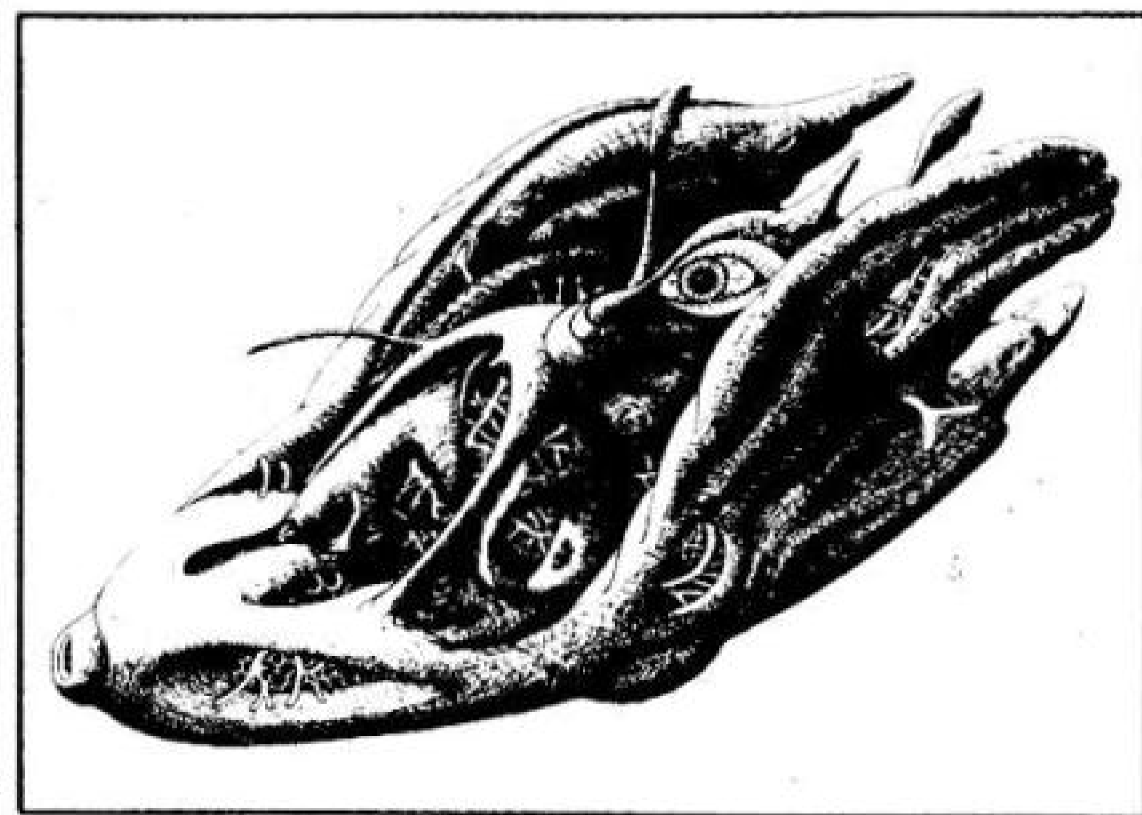
na! Nie mógł znieść swego widoku, a przecież się przyzwyczaił do szpetoty tak jak i wszyscy inni. Niczym się nie odróżniał od reszty ludzi, o czym wiedział z raportów szpiegów myszkujących po mieście. Nie dostrzegł w sobie niczego obrzydliwego, dopiero uśmiech jasnego dziecka uświadomił mu, jak bardzo był wstrętny.
– Miał głosić prawdę – burknął do siebie zapominając o nieustannym powtarzaniu szyfru, bo miał słabą pamięć. – Czy taka jest ta jego prawda?
Stwierdził, że nie jest potrzebna, lecz szkodliwa. Władcy również mogła przynieść same cierpienia. Niedobrze jest, gdy władcom się za dużo pozwala.
„Nie powinien był jednak oglądać prawdziwego człowieka" – podsumował w myśli, bo ludzie się już zabepieczyli od samowoli władców wygnawszy ich do wysokich twierdz. Pogłaskał ręką ścianę i się uśmiechnął. „Tak, solidna była żelazna skała i twierdza, władca się z niej nie wydostanie" – wyobraził sobie brzeg tarasu bez poręczy i przyspieszył kroku.
Minął Salę Egzaminów i wszedł do małego pokoiku na jej zapleczu. Tu był mechanizm, ale jakże zakurzony, nikt nie konserwował go do lat. To dlatego władca panował tak długo. Mechanizm szedł jak się podobało jego trybom, ręka człowieka nie dotykała go od dawna.
Uczony stał opierając się plecami o drzwi i przyglądał się maszynerii, która miarowo tykała i błyskała ekranami.
„To tak!" – pomyślał. „Teraz przynajmniej wiadomo, kto sprawuje rządy!" – wziął się pod boki i kiwał głową ze złością.
„Miało być zupełnie inaczej! Wszystko dokładnie ustalono podczas ostatniego przewrotu pałacowego" – podrapał się w głowę, bo nie mógł sobie przypomnieć tej odległej daty.
– Wtedy uradzono, zapisano, ujęto w paragrafy i konstytucje. A tymczasem rządzi maszyna. Kogo winić? – pytał sam siebie i postanowił wszystko odmienić. Po przewrocie pałacowym i likwidacji władcy, znowu się wszyscy zbiorą, naprawi się państwo, odbuduje system. On będzie zbawcą. Wypiął dumnie pierś i oczyma wyobraźni widział wielkie przemiany, a siebie w lekkich szatach głoszącego ludowi wieści. Mimo woli przypomniał sobie chłopca i przestał się uśmiechać. Zdmuchnął kurz i powtórzywszy sobie szyfr: „Dwa obroty w lewo, trzy w prawo, pięć w lewo" – nastawił dźwigienki.
Wyszedł, zamknął drzwi i odetchnął z ulgą. Zbiegł lekko do Sali Egzaminów, bo już był najwyższy czas. Egzamin miał się zaraz rozpocząć. Wolał nie myśleć co by się stało, gdyby odkryto manipulacje przy mechanizmie. Przypomniał sobie odpowiednie paragrafy, które wykuł na pamięć po ostatnim przewrocie, by stać się gwarantem praw.
„Świetną mam pamięć" – pomyślał zatrzymując się za progiem Sali Egzaminów i wtedy oblał go zimny pot. „Czy przypadkiem nie pomyliłem szyfru?" Ześliznął się plecami po ścianie i ukucnął przed progiem kuląc głowę w ramionach i obejmując kolana ramionami najciaśniej jak zdołał. Bał się, że ktoś może zobaczyć, jak bardzo dygoce ze strachu. Jeszcze słyszał, tak mu się wydawało, jak mechanizm tyka idąc nieodwołalnie naprzód.

Władcy wyrwano rurkę szarpnięciem ręki w złotej rękawicy, co jak zwykle poszło szybko, mimo zwyczajnego zaciskania szczęk. Kurek był zakręcony od dłuższej chwili.
Nie tylko z powodu przedłużenia rozkoszy jedzenia władca starał się jak najbardziej przeciągnąć posiłek. Robił to również ze strachu, bo zaraz po jedzeniu, kiedy czuł się ociężały i senny czekał go zwyczajowy egzamin, jakiemu z urzędu był poddawany.
Nigdy nie potrafił zgadnąć, jakie trzy pytania zostaną mu zadane. Zastanawiał się co dzień nad dziedzinami, z których mogły pochodzić, lecz nigdy nie utrafił w jedno choćby pytanie. Od prawidłowości odpowiedzi zależało jego życie. Co dzień jego los zawisał na małym znaku zapytania. Nieprawidłowa odpowiedź karana była śmiercią, więc nie był pewien dnia ani godziny.
Nigdy też nie wiedział, czy właściwą podał odpowiedź. Zawsze miał wątpliwości, ale chyba odpowiadał trafnie, bo przecież żył. Kiedy czekał, aż na ekranie ukaże się znak plus lub minus tracił oddech i chwila, w której się rozstrzygało jego życie, wydawała się nie mieć końca. Zamierało wtedy jego serce i już czuł, że krew spływa mu do nóg i leci głową w dół z wysokiej skały.
Zastanawiał się, kim są ci, którzy zadają pytania? Kto oceni prawidłowość odpowiedzi? Często był pewien, że plecie głupstwa jednak na ekranie pojawiał się znak plus: zdany egzamin. Podejrzewał, że jego los zależy od kaprysu nieznanych mocy, a nie miał kogo zapytać o prawdę. Czterej, którzy go nosili, nie mieli przecież otworów na usta, inni wykonujący przy nim niezbędne czynności kryli twarze za żelaznymi maskami. Podejrzewał, że są automatami. – Ale uczony jest człowiekiem! – powiedział sobie z radością. – Może niezupełnym, lecz coś w nim jest ludzkiego. Trzeba go zapytać, przecież dawał mu rano rady dotyczące chłopca, wydawały się rozsądne.


Robert Lechowicz

„Dlaczego dzisiaj dręczą mnie takie problemy" – zastanawiał się czekając w Sali Egzaminów na rozpoczęcie wyświetlania pytań. Ekrany jeszcze były ślepe i matowe. Zazwyczaj drżał ze strachu, teraz jednak robił w myślach przegląd swego życia.
Przypominał sobie wszystkie swoje dni biegnące niezmiennym ustalonym trybem. Po egzaminie sadzano go codziennie w pustej Sali Pracy. Wykonywał prawie mechanicznie czynności i nigdy nie dręczyły go żadne wątpliwości, chociaż miał dużo czasu na rozmyślanie.
Siedział przy pustym stole i rozcierał glinki na barwiczki. Zawsze myślał wyłącznie o ekranach śledzących go i oczach kamer fotografujących każdy jego ruch. Starał się jak najdokładniej roztłukiwać bryłki, rozdrabniać w małych moździerzach i potem wsypywać proszek do właściwych miseczek. Kiedy rozbijanie było zakończone musiał rozcieńczać farby własną śliną. Od dokładności rozmiażdżenia zależał potem stopień trudności tej fazy robienia farb.
Myślał więc tylko o dokładnym wykonywaniu czynności, jakby były rytuałem w najdrobniejszym fragmencie. Dręczył go głód, zabijał tę myśl pragnieniem wypoczynku i wyobrażaniem sobie, że już na głównym ekranie zapaliło się zielone światełko: pozwolenie na odpoczynek. Wyprostowywał wtedy plecy i zamykał oczy. Nie myślał o niczym, tylko starał się rozciągnąć tę chwilę jak najbardziej. Zawsze odpoczynek wydawał mu się za krótki, ale bał się protestować. Tak musiało być i zachowywał posłuszeństwo.
Wiedział, że ustalony rytuał był ochroną przed ludźmi. Mówiono mu, że ludzie są odrażający, a na dowód ich wstrętnego wyglądu postawiono obok niego na urzędzie ohydnego uczonego. Okrucieństwo ludzi, ich krwiożercze instynkty były powodem zamknięcia go w twierdzy.
Teraz siedział przed ekranami czekając na rozpoczęcie egzaminu i wycmokując z zębów resztki zupki zastanawiał się, dlaczego ten ranek jest zupełnie inny od poprzednich. Uświadomił sobie, jak okropne było jego życie, ale dotychczas sądził, że tylko w takim kształcie jest możliwe.
Rozejrzał się po Sali Egzaminów: ekrany, wszystko zimne i nieprawdziwe.
„Egzamin przecież jest wyłącznie formalnością" – uświadomił sobie tę prawdę. „Przecież nieraz dawałem niewłaściwe odpowiedzi" – teraz był tego pewien. „A jednak uznawano je za dobre. Egzaminują mnie, bo to jest upokarzające."
Całe jego życie było pełne pozorów, strachu i hańby.
„Kim są ci, których jestem więźniem?!" – krzyknął do siebie w du-

chu. „Chcę poznać prawdę!" – uświadomił sobie ze zdziwieniem. Miał tę okazję, chłopiec chciał mu wyjawić jakieś prawdy, ale wtedy, rankiem ledwo do jego świadomości doszedł sam fakt obecności chłopca, a jego słów prawie nie rozumiał. „Wydałem chłopca na śmierć" – pokiwał głową nad samym sobą. Ale jeszcze nie słyszał wycia tłumu.
– Oddajcie chłopca! – krzyknął.
Było już za późno, właśnie się rozpoczął egzamin i ekrany wyświetliły pierwsze pytanie. Trudno mu było się skupić na treści pytania. Zresztą nie było ważne, mógł odpowiedzieć byle co i tak zostanie uznane, ale opanowała go duma, milczał.
Zaniepokoił się, bo chłopiec nie wracał. – Zabrali go natychmiast, a każą czekać z oddaniem – burknął ze złością. Patrzył na ekran i wcale się nie denerwował widząc, jak na nim wyskakują cyferki: odliczano mu czas.
Rozejrzał się: chłopca wciąż nie wprowadzano. „A może mi go nie oddadzą?" – nigdy przecież nie wykonywano żadnych jego rozkazów. Prawdę mówiąc nie wiedział, że w ogóle wolno mu wypowiadać życzenia. „Chłopiec więc żyje, oczywiście" – uspokajał siebie w duchu. „Żyje dzięki temu, że są rygory i obostrzenia" – jeszcze raz rozejrzał się po sali teraz znowu innymi oczami. „Czyżby w moim katorżniczym życiu był jakiś sens?"
Na ekranie wyskoczyło następne pytanie, nie przeczytał go nawet, bo uświadomił sobie, że wydany rozkaz był w ogóle jedynym, jaki kiedykolwiek wypowiedział. Może więc został wykonany?
Nie odpowiedział na pytanie, myślał tylko o chłopcu i drżał bojąc się, że usłyszy wycie tłumu. Nie zniesie mlaskania i ryku rozkoszy.
Na ekranie już odliczano czas i strzałka pokazała, że drugie pytanie nie zostało uznane. Zostało mu jeszcze parę chwil życia i ostatnia szansa. Już wyświetlono trzecie pytanie.
Władca przybliżył swoją twarz do ekranu i uświadomił sobie, że to jest on sam. Spostrzegł pierwszy raz w życiu swoją minę. Zobaczył, jaki jest naprawdę: sztywno siedzące, agresywne monstrum z zaskorupiałymi warstwami szminek na nigdy nie mytej twarzy. – Jaką naprawdę mam twarz? – zastanowił się i dodał: – Kim jestem? – Uniósłszy z wysiłkiem ręce zdrapywał grube warstwy farb z czoła i policzków. Pochylił się i jeszcze dokładniej przyjrzał się sobie. Chłopiec nie wracał. A on pochylony zobaczył, że ekran zbladł i przestał wyświetlać ostatnie pytanie. „To już koniec" – pomyślał, ale bez trwogi. Wskazówki nieustannie posuwały się naprzód. Jego czas się skończył i to właśnie wtedy, kiedy zaczął się zbliżać do prawdy o sobie samym.
Do sali wszedł nagi uczony. – Czy wiesz – zapytał – że nie wykonuje się żadnych poleceń władcy? – Przypomniał sobie ustawy, które kiedyś wykuwał na pamięć, to go ośmieliło, więc wstał i wszedł do sali z takim pytaniem.
Na ekranie wskazówka stała na ostatniej kresce. Władca to zobaczył i uświadomił sobie, że zaraz zostanie strącony ze skały. „Może chłopiec przyjdzie – ucieszył się – i wszystko się odmieni?" Nie myślał o śmierci, nie bał się, w jego serce wstąpiła nadzieja. „Nie wykonują moich rozkazów, jak to dobrze! Mądre są prawa, które gnębią" – myślał sobie. „Zniosę stokroć gorsze męczarnie, bo dzięki nim chłopiec nie został zabity".
Wtedy usłyszał dobiegający z dala pomruk, jakby szły wielkie tłumy. Zrozumiał ten odgłos i oczami pełnymi trwogi zawisnął pytaniem na twarzy uczonego. Wydało mu się, że widzi brudne masy ludzi-mutantów z kłami i płatami parszywej skóry takiej samej, jaką zasłaniał rękami uczony. Miasto musiało być poprzerzynane cuchnącymi zaułkami, w których zbierała jak ropa masa ludzka. Widział też chłopca stojącego w cienkiej koszuli i patrzącego ufnymi oczami na rojącą się czerń.
Z góry parzyło ostre, granatowe słońce, które chyląc się ku zachodowi było wyjątkowo okrutne. Władca zamknął oczy, dobiegł go skowyt i wrzask.
Zerwał się z tronu. Przytrzymały go magnetyczne sandały. Chciał biec na pomoc. Wszystko mu przeszkadzało, ciężka odzież, sandały. Zerwał z głowy perukę i cisnął ją o posadzkę. Zrobiło mu się zimno w nagą czaszkę, więc machinalnie przesunął dłonią po skórze. Wyszarpnął stopy z sandałów i pierwszy raz w życiu dotknął nagą stopą podłogi. Nowe, nieznane odczucia tak go zdziwiły i zaskoczyły, że stał i wsłuchiwał się w siebie a jego zmysły niosły mu doznania.
Zachwiał się, był bardzo słaby, nigdy przecież nie pozwalano mu stać o własnych siłach. A może to doznania, nagłe prawdy tak na niego wpływały?
Oparł się rękami o ekran, by nie stracić równowagi. To one są winne wszystkiemu: maszyny, soczewki, ekrany. Zapragnął je stłuc, zemścić się za te wszystkie dni pełne strachu, kiedy siedział przy egzaminie czekając na wynik wpatrzony w ekrany z tępą rozpaczą. Runął na ścianę, a wtedy w drzwiach stanęło czterech w złotych maskach.
Nie wiedzieli, co mają uczynić. Władca wprawdzie nie odpowiedział na pytania, ale czy należy uznać, że nie zdał egzaminu, skoro milczał? Czy mają go od razu strącić ze skały, czy poczekać do następnego dnia, do nowego egzaminu? Dzisiejszy można by uznać za pomyłkę mechanizmu. Wiedzieli przecież doskonale, że maszyny są zawodne i wskazań ich nie należy brać pod uwagę, ani tym bardziej być im posłusznym.
Porozumiewali się wzrokiem i bez słowa zadecydowali, co należy uczynić.
Władca się zatrzymał na ułamek sekundy widząc wejście czterech w złotych maskach. „Więc już po mnie przyszli?!" – krew mu spłynęła do nóg i czuł, że leci ze skały.
Zapomniał o śmierci, a ona po niego sięgnęła. Jest człowiekiem, odkrył to dzisiaj, i choć będzie się bał, nie pokaże strachu. Tylko musi jeszcze sprawdzić, czy jego ciało wygląda jak ludzkie, czy też są na nim łaty parszywej skóry, jak u doradcy. Zdarł z siebie wierzchnią szatę i zszarpywał kolejne suknie. Spieszył się, trzeba zdążyć zanim do niego podejdą czterej. Nie może umrzeć, zanim nie dowie się prawdy. „To chciałeś mi powiedzieć, chłopcze?" – zapytywał w myślach i uśmiechał się.
Już stoją w progu okrągłego jak rura korytarza i porozumiewają się oczami. Ustalili, że go zabiją, skłaniają ku sobie mechaniczne głowy na tle rudej miedzi korytarza w świetle fioletowych błysków.
Lecz oni stali zaskoczeni obnażaniem się władcy. Byli pewni, że nie należy dopuścić do jego śmierci, był nieszkodliwy, a po zrzuceniu go ze skały należałoby wprowadzić tyle nowości! Wiązało się to z niepokojami i zmianami.
Uczony również zastygł zaskoczony czynem władcy, który już się mocował z ostatnią, pomarańczową koszulą. Zaraz stanie przed wszystkimi nagi i porównają ciała. Może się okazać, że skóra władcy jest gładka i czysta, a wtedy ktoś mógłby zdecydować, że on uczony jest odmieńcem. Jeszcze nie przebrzmiało wycie tłumów. Hałastra stała pod bramami pałacu u stóp twierdzy. Była tak blisko, a taras nie miał poręczy.
Skoczył krzycząc coś niezrozumiale o człowieczeństwie, prawdzie i o tym, że jest bez winy. Chwycił koszulę władcy, by mu ją obciągnąć. Upadli szamocząc się, władca był bardzo słaby. Uczony nie wiedział, jak to się stało, pchnął go, a on potoczył się szybko po wypolerowanej posadzce i obracając się wokół własnej osi na plecach, wpadł w rurę korytarza i bez ratunku ześlizgiwał się na zewnątrz.
Nie zdążyli skoczyć, by go pochwycić i uratować, byli nieruchawi w swych złotych ubraniach, przyzwyczajeni do rytuału, nie wiedzieli, co czynić. Gapili się teraz na uczonego leżącego w ogłupieniu na stosie królewskich szat. Porozumieli się wzrokiem, odgadli, co powinni uczynić. Pochwycili go mocnymi ramionami. – Nie chciałem tego! – krzyczał wijąc się. Bał się tłumów. – Zapomniałem szyfru – bełkotał – pomyłkowo nastawiłem – ale ostatnich słów nie zdołał domamrotać, bo już mu zakładali perukę i sztywne szaty, by wszystko było jak przedtem.
Władca ześlizgując się po zboczach żelaznej góry i tłukąc się o metal, jeszcze próbował przesunąć dłońmi po skórze, by poznać prawdę o swoim człowieczeństwie. I zanim wpadł w gąszcz żywych wijących się kwiatów o kolorze wątroby i o konsystencji gnijącego mięsa, zanim go omotały ciemnoróżowe błony jeszcze usłyszał ryk uczonego przebranego już i posadzonego na tronie. Malowano mu twarz i wyrywano paznokcie u stóp uwięzionych w magnetycznych sandałach.
■


Andrzej Bicki

Marcin WOLSKI (ur. w 1947 r.) – satyryk, poeta, pisarz, tekściarz szkolnego kabaretu (Liceum nr 26 w Aninie). We wczesnych latach młodzieńczych podpora studenckich kabaretów (był kierownikiem literackim Stodoły 1970–72). Po uzyskaniu dyplomu mgr historii UW za pracę „Polski Październik-56 w świetle prasy francuskiej" nie pozostało mu nic innego jak poświęcić się lżejszej muzie. Przepracował 13 lat w PR (Redakcja Rozrywki Programu III) zrazu jako współautor ITR, potem jako twórca i nadredaktor słynnego magazynu „60 minut na godzinę". Autor kilkuset słuchowisk przerabianych później na opowiadania i powieści – także SF. Debiut książkowy: *„Co nam zostało z tych wad"* (Czytenik-70) – wybór wierszy satyrycznych. Potem były jeszcze: antologia *„60 minut na godzinę"* (wyd. RTV), *„Rok 3978" (KAW-80, wspólnie z Janem Kaczmarkiem, nowela „Laboratorium Nr 8") i ostatnio, książka dla Wolskiego najważniejsza, trzy długie nowele SF wydane w jednym tomie „Enklawa. Neomatriarchat. Świnka"* (WL-82).
W 1981 roku stworzył kabaret „Tu 60-tka", z którym objeżdżał Polskę, co kontynuuje obecnie pod zastępczą etykietą „1000 metrów na kilometr". (m.p.)

MARCIN WOLSKI

Zadziwiający przypadek fascynacji



Film skończył się tradycyjnym happy endem. Joan (22 lata – fotomodelka) westchnęła, zgasiła papierosa i wyłączyła telewizor. Musiało być trochę po północy. Czuła się nieco senna, ale bardziej znudzona. Mijał trzeci wieczór, jak pokłóciła się Markiem (28 lat – plastyk-dekorator). Rozsądek przemawiał za snem, od jutra rana zaczynała się męcząca seria zdjęć. Wstały więc, zrzuciła szlafrok i jak co wieczór z satysfakcją obejrzała się w lustrze. „Co ja poradzę, że jestem ładna?" Wykonała dwa teneczne pas, cisnęła szlafrok na fotel. I wtedy nagle Tobby zawarczał.
– Co tobie, głuptasie?
Leciwy Tobiasz (8 lat – buldog francuski) zwykł o tej porze przebywać w samym środku królestwa Morfeusza, przyjmując wszelkie objawy rzeczywistości, czyli dzwonki telefonów, strzały z telewizji czy śpiewy i podskoki Joan jako zdarzenia niegodne uwagi psiego filozofa. Tym razem jednak zdawał się być całkowicie rozbudzony; wychynął na pół łba spod ulubionej kanapki i odsłoniwszy krzywe kiełki warczał, jakby w mieszkaniu znalazł się ktoś obcy. Tobiasz szczekał i na swoich; na Leona (59 lat – reżyser), który od czasu przekroczenia przez Joan dwudziestego roku życia, wpadał jednak dużo rzadziej, czy na Raya (31 lat – pastor mało znanej sekty Wielkopostowców). Ray był sąsiadem modelki i wpadał co piątek, aby pogadać o transcendencji, psychoanalizie i Apokalipsie, namawiając dziewczynę, aby zeszła z grzesznej drogi, która wiedzie do nikąd i z powrotem. Joan przygotowywała na te seanse zwykle bardzo dobre kolacje, z czerwonym winem (piła sama), za które Ray rewanżował się równie dobrym śniadaniem przynoszonym do łóżka. Tobby szczekał nawet na ciotkę Claudię (46 lat – stara panna), odwiedzającą ich raz w miesiącu. Marka zaś wyróżniał w ten sposb, że go gryzł. Na nikogo natomiast z mniej więcej znajomych osób buldożek nie warczał.
Warczenie wzmogło się. Modelka mimo woli sięgnęła po szlafrok. Tak jakby poczuła na sobie ciężar czyjegoś spojrzenia. Omiotła wzrokiem mieszkanie. Pusto.
Mimo woli przypomniał jej się film oglądany przed chwilą. Gwałciciel o namagnesowanych butach wspinający się po metalicznych ścianach wieżowców. Rozsunęła zasłony. Za hermetycznie zamkniętymi oknami rozciągało się rozświetlone miasto, widziane doskonale z wysokości dwudziestego piętra, rozległe i obojętne.
– Musiało ci się coś przyśnić, kretynku – powiedziała do psa i pogłaskała go łagodnie. Ucichł. – Pilnuj dobrze mieszkania, a ja tymczasem się wykąpię... Na wszelki wypadek sprawdziła zamki w drzwiach. W porządku, nie sforsowałby ich czołg. Pomyślała, że warto byłoby zadzwonić do portiera na dole, czy ktoś nie wchodził albo przynajmniej nie pytał o nią, ale zrezygnowała. Doskonale wiedziała, że Jack (60 lat – emerytowany sierżant piechoty morskiej) nie wpuściłby nawet prezydenta bez porozumienia się z lokatorem. W pianie przesyconej zapachem kalifornijskich sosen i jabłuszek rodem z Nowej Anglii zapomniała o wszystkim, oddając się ciepłej wodzie z rozkoszą, jakiej nie dał jej żaden mężczyzna.
Niepokój wrócił dopiero w sypialni. Wchodząc zauważyła, że pali się górne światło, którego nie zapalała w zasadzie nigdy.
– Tobby, Tobby! – zawołała nerwowo. Ale buldożek dobiegł tylko do progu, żadne zachęty ani nawet czekolada (Van Hutten) nie mogły go skłonić do przekroczenia niewidzialnej linii demarkacyjnej. Dziewczyna zrewidowała szafy, ale nie znalazała tam żadnego zapóźnionego kochanka, zajrzała pod toaletkę, a nawet do pustego pawlacza w korytarzu. Nikt nie krył się również za kotarami. Przez moment zastanawiała się, czy nie są to jakieś kawały rozgoryczonego Marka. Może oszalały z zazdrości wynajął prywatnego detektywa, aby sprawdzić, czy u podłoża kłótni nie czai się jakiś inny mężczyzna? Jak każdy facet nie mógł przyjąć do wiadomości, że Joan ma po prostu dość jego troskliwości, dość jego zazdrości, stałej reżyserii jej życiowych posunięć, a przede wszystkim dość jego żony, która wprawdzie tolerowała znajomość zdolnego plastyka z doskonale zapowiadającą się modelką, ale nie chciała nawet słyszeć o rozwodzie. Wątpliwe zresztą, czy Mark kiedykolwiek jej to proponował.
A nichby wynajął jakiegoś szpicla – pomyślała połykając proszki nasenne (Hipnonal, pochodny barbituranów) – i tak mu nic nie powie.
Zasnęła doskonale. Bardziej we śnie niż na jawie dotarł do najwolniej wyłączanych obwodów świadomości ostrzegawczy skowyt Tobby'ego i wydało jej się, że coś delikatnie wsunęło się w nogi jej posłania.
– Dobranoc piesku! – pomyślała raczej niż szepnęła. Nie usłyszała już odpowiedzi. Cichego głosu naładowanego bólem i żarliwością:
– Dobranoc, kochana, kochana, kochana...

Dzień był szalony, jak zwykle na początku tygodnia. Lało! Zrobili więc tylko krótką serię zdjęć w atelier. Mark się nie pojawił, przysłał swego zastępcę Normana (28 lat – chyba malarz), niskiego gnoma o chorobliwej jak na swój wiek tuszy. „Brzydszy od guana" – oszacowała go Joan.

Potem były zakupy, spotkanie z Barbarą (33 lata – dziennikarka), która załatwiała Joan wejście do filmu. Trzeba się ubezpieczyć, na wypadek definitywnego rozstania z Leonem. Późnym wieczorem Barbara, jej przyjaciel Michael (około 40, nie wiadomo kto, może coś wspólnego z mafią) oraz brat Barbary – Ronald (25 lat – tancerz, rozbrajający, inteligentny homoseksualista), zabrali modelkę do chińskiej restauracji, by koło pierwszej odstawić ją do domu. Ronald wspaniale nadawał się na kumpla „okresu przejściowego", opiekuńczy, bystry, doskonale zorientowany w aktualnych prądach, od mody po sztukę nowoczesną zyskał u Joan masę sympatii. Jego, modna ostatnio, dewiacja tylko dodawała znajomości szczególnego pieprzyku.

Taktownie odmówił, kiedy zaprosiła go na kawę. Sama więc zamknęła drzwi do mieszkania. Brzęknęła startująca winda, a dziewczynę zalała niewytłumaczalna fala niepokoju. Nie, to nawet nie był strach, raczej pewien gatunek podniecenia, które spada na nas, gdy stajemy oko w oko z nieznanym. Tobby czekał na nią skulony w szafce na buty. Znów paliły się wszystkie światła.

Zdenerwowana podniosła dywan, przesunęła etażerkę. Nigdzie ani śladu instalacji. Zadzwoniła do portiera, ale ten stwierdził, że nikogo nie było i nikt się o nią nie pytał. Lekko zataczając się (mieszanka szampana i czegoś przypominającego „sake", mimo że wypita w umiarkowanej ilości, zrobiła swoje), Joan puściła wodę do wanny i poszła się rozebrać. Wróciła po chwili i kiedy spojrzała w lustro, serce podeszło jej do gardła. Na świeżo zaparowanej tafli ktoś napisał palcem: „NIE BÓJ SIĘ. JA CIĘ KOCHAM! Nie krzyknęła, choć krzyknąć chciała, wybiegła z łazienki i dopiero skowyt podeptanego Tobiasza przywrócił jej zdolność mowy.

– Mark...? – rzuciła niepewnie w stronę uchylonych drzwi sypialni.
Cisza. Tylko szmer wody napełniającej wannę.
– Kto tu jest? – zapytała, nie poznając własnego głosu.

– Proszę natychmiast wyjść, bo zawołam policję... – sięgnęła po telefon.
– Nie rób tego, proszę! – odezwał się tuż za nią męski głos. Skoczyła upuszczając aparat.
– Gdzie pan jest? Ratunku!

Rozpłaszczona na drzwiach od kuchni słuchała, jak głos niewidzialnego osobnika przybliża się coraz bardziej i bardziej...
– Nie bój się mnie... Mnie tu nie ma.
– Mark pana wynajął, prawda?
– Nie znam żadnego Marka. Nikt mnie nie wynajął. Mnie nie ma...

– Przecież pana słyszę. Proszę wyjść!
Powoli dochodziła do siebie. Jak na razie nieznajomy nie wydawał się agresywny. Ale magnetyczny gwałciciel też na początek zaczynał od karmienia dzieci cukierkami.

– Jest tu tylko cząstka mnie – ciągnął głos. – Moja myśl, którą ogromnym wysiłkiem przemieniłem w głos... Czasem, gdy się wyjątkowo skupię, mogę na chwilę stać się maleńkim fragmentem siebie. Na przykład palcem.
– To pokaż palec! – rzekła rzeczowo.

Przez chwilę trwała cisza, po czym o jakiś metr od dziewczyny zamajaczył niewyraźny, jakby utkany z cielistej mgły męski kciuk. Po sekundzie znikł, towarzyszyło temu westchnienie.
– To bardzo męczące – powiedział głos.
Widok kciuka, o dziwo, znacznie uspokoił Joan, zrobiła parę kroków. Strach zmienił się w ciekawość.

– Musi pan być znakomitym iluzjonistą – stwierdziła – to znakomity trick.
– To miłość, Joan!

Dopiero w tym momencie dziewczyna uświadomiła sobie, że stoi naga, rozmawiając z niewidzialnym właścicielem kciuka, a woda z pianą wylewa się już na korytarz.

– Proszę zaczekać – rzuciła machinalnie i pobiegła do łazienki. Poszedł za nią.
– Pan nie miał prawa mnie nachodzić! – powiedziała zakręcając kran i narzucając podomkę. – Gdyby mój Mark się dowiedział...
– Wiem – w głosie zabrzmiała skrucha – ale proszę mnie zrozumieć. Nie potrafię zapanować nad swym uczuciem. Jakiś miesiąc temu znalazłem pani zdjęcie w „Playboyu". I zwariowałem! Wpatrywałem się w nie godzinami, nie potrafiłem myśleć o niczym innym jak o tobie. A miałem dużo czasu...
„Normalny podrywacz" – pomyślała Joan, a głośno rzekła:
– Wiem, że jestem ładna, dostaję sporo listów od wielbicieli...

– To nie to – przerwał jej głos. – Ja myślałem o pani inaczej. Myślałem intensywnie aż do bólu... A potem zdarzyło się coś niewiarygodnego. Moje myśli skupiły się i odnalazły panią. I wtedy zobaczyłem cię. Całą...
– Rozumiem, wyobraźnia...

– Wyobraźnia to słabo powiedziane! Dogoniłem panią swymi myślami, niczym wiązką lasera. Nigdy pani nie widziałem osobiście, a dziś potrafię powiedzieć o tobie więcej niż gdybym znał cię latami... Tego nie powiedziało mi płaskie zdjęcie. Ja od paru tygodni widzę cię – bez przerwy! Raz zdobywszy myślowy kontakt postanowiłem go nie stracić. Mimo że oddziela nas wiele setek kilometrów z dnia na dzień moja myśl materializowała się coraz bardziej. Widzenie pani rozszerzyło się na jej otoczenie, mieszkanie i w końcu cała moja świadomość jak gdyby znalazła się przy tobie, Joan. Zmaterializowała się tutaj część mnie samego...
– To nieprawdopodobne!
– Wyciągnij rękę, proszę...

Zaryzykowała. Uniosła dłoń. Przez ułamek sekundy dostrzegła nad nią cień ust i poczuła ciepło pocałunku. Zadrżała. Z pocałunku emanował taki żar, tak przekonywająca siła...

– Teraz proszę już jednak wyjść – powiedziała cofając rękę. Odszedł. Jego delikatność była równie doskonała jak niewidzialność. Przez moment Joan zastanawiała się, czy go nie zawołać, przekonać się, czy naprawdę myśl tego mężczyzny cały czas krąży wokół niej? Zwyciężyła kobieca kalkulacja – niech on decyduje.
Tej nocy długo nie mogła zasnąć. Zderzenie z nieznanym przekraczało jej możliwości percepcyjne. Każda próba wytłumaczenia zjawiska prowadziła w ślepą uliczkę. Poza jedną. Że gdzieś żyje mężczyzna oszalały na jej punkcie z miłości i którego myśl potrafi się zmaterializować. Może dlatego nie powiedziała o wieczornym gościu nikomu.

Tymczasem Głos (nie wymienił swego imienia, a ona postanowiła nie pytać) wrócił następnego wieczoru. Joan złapała się na tym, że czekała, gorąco pragnęła tej dziwnej, wywołującej dreszczyk obecności. Imponowała jej ta szaleńcza miłość i czuła się w obecności Głosu jak Alicja przekradająca się na drugą stronę lustra.

Ten wieczór i osiem następnych tworzyły jakby kolejne sceny niezapomnianego snu. Niewidzialny był przemiły – opowiadał wspaniałe historie, z których wynikało, że zna świat jak własną kieszeń, śpiewał melodyjne piosenki, całował ją po rękach... Nic więcej zrobić nie mógł i chyba nie chciał.

Po południu dziewiątego dnia wpadł Mark. Prawie nie poznała go w pierwszej chwili, był blady, worki pod oczami miał sine, a całe ciało przesycał zapach alkoholu. Dużo kosztowało go to przyjście.

– Wygrałaś, Joan – rzucił ponuro. – Nie mogę żyć bez ciebie. Rozwodzę się!

Kiedyś podskoczyłaby na te słowa do sufitu. Teraz nic nie odpowiedziała. Przeprosiła tylko Marka stwierdzając, że oczekuje umówionej wizyty. Czuła, jak wszystko w niej zamknęło się na głucho przed tym obcym, choć niewątpliwie nieszczęśliwym człowiekiem. Myślała o Głosie. Obojętnie przyjęła stwierdzenie Marka, że odwiedzi ją jutro, nie zareagowała na gorące prośby spędzania wspólnego wesołego wieczoru,nie wzruszyły jej nawet dwie łzy, które zakręciły się w oczach tego przecież silnego człowieka.
Owego wieczoru Głos był jakiś nieswój. Przygnębiony. W pier-

wszej chwili myślała, że chodzi mu o Marka, że przysłuchiwał się jego wyznaniom, ale nie.
– Powinnaś się z nim pobrać, zasługujesz, żeby być szczęśliwą – powiedział.
– Co ci jest? – po raz pierwszy odczuła przemożną chęć dowiedzenia się o nim czegoś więcej. Odgadł to natychmiast.
– Chciałbym, żebyś o mnie pamiętała, Joan. Nawet jeśli dowiedziałabyś się o mnie złych rzeczy... Nie wierz w nie!
– Ależ to niemożliwe, nigdy nie uwierzę, że ty mógłbyś zrobić coś złego.
– W każdym z nas jest paru ludzi. Jesteśmy bardzo słabi. A im słabsi, tym gorsi. A czasami mamy koszmarnego pecha.
Postanowiła przejąć inicjatywę.
– A gdybyśmy się tak spotkali. Jeżeli nie możesz do mnie przyjechać, może ja przyjechałabym do ciebie?
– Niemożliwe – odpowiedział z takim bólem, że aż ją zabolało. – I tak widzimy się dziś po raz ostatni.
– Co takiego?
– Dostałem od ciebie dziesięć dni. Dziesięć wspaniałych dni. Chyba jedynych pięknych dni w moim życiu. Dziękuję. Aha, wielokrotnie chciałaś zapytać o moje imię. No więc nazywam się Richard. Normalne imię, nic specjalnego. Muszę odejść, nie mam już siły...
Krzyknęła, gdy głos zaczął cichnąć. Nie rozumiała nic.
Wszystko miałoby skończyć się tak głupio, tak nijak? Jeśli naprawdę ją kochał...? Nie lubiła tego słowa, uważając je za egzaltowane. Chociaż sama w ciągu tego tygodnia bardzo się zmieniła. I nawet...
– Dick! Nie odchodź. Jeśli naprawdę mnie kochasz, to bądź ze mną. Na zawsze! Jak mężczyzna! Chcę cię mieć całego, nie tylko twój głos. Dick! Odpowiedzią była cisza, jedynie Tobby obudzony krzykiem pani zaczął cichutko skowyczeć.

Wydarzenia w więzieniu stanowym z poranka 7 października odbiło się szerokim echem w miejscowej, a nawet ogólnokrajowej prasie. Do dziś żadna ze specjalnie powołanych komisji nie potrafiła wyjaśnić, jak to się stało, że tuż przed włączeniem prądu Richard Stenton (lat 38 – sześciokrotny zabójca z lubieżności) zniknął nagle z krzesła elektrycznego. Konsternacja powiększyła się, gdy w parę miesięcy później okazało się, że Stenton, ekshippis domokrążca, był niewinny, a wszystkich zbrodni dokonał jego sobowtór odnaleziony w jednym z południowych Stanów...

Joan ocknęła się nad ranem. W słabym świetle sączącym się przez kotary prawie natychmiast dostrzegła postać siedzącą na fotelu obok jej tapczanu. Postać początkowo mglistą, z każdą jednak sekundą nabierającą wyglądu żywego człowieka.
– Dick! Jesteś! Wróciłeś, kochanie!
Richard wykonał gest, jakby chciał coś powiedzieć. Zatrzymać ją. Za późno. Cofnął się więc razem z fotelem aż pod metalowy grzejnik. Ale Joan wyskoczyła z łóżka i bosa rzuciła się na szyję ukochanego mężczyzny.
Dopiero po dwóch dniach po wyłamaniu drzwi i sprowadzeniu policji Mark odnalazł zwłoki swej narzeczonej splecione z ciałem mężczyzny, którego tożsamości dotąd nie udało się ustalić. Ciała były sczerniałe, jak po porażeniu prądem olbrzymiej mocy. Nigdzie jednak nie znaleziono śladu zwarcia czy przebicia w elektrycznej instalacji. Nie uległo zniszczeniu nic z wyposażenia mieszkania. Na wszelki wypadek prasy do sprawy nie dopuszczono.

■



Marek Zalejski

ZBRODNICZA STATYSTYKA

„Śledztwo" ukazało się po raz pierwszy w roku 1959, w okresie niezwykłej aktywności pisarskiej Stanisława Lema. W tym roku pojawiły się jeszcze dwie inne jego książki: „Eden" oraz „Inwazja z Aldebarana", dwa lata wcześniej wydał Lem „Dialogi" i „Dzienniki gwiazdowe", a dwa lata później – „Powrót z gwiazd", „Pamiętnik znaleziony w wannie", „Księgę robotów" i „Solaris". A więc w przeciągu pięciu lat opublikował dziewięć książek, z których przynajmniej cztery, do dzisiaj uznawane są za czołowe osiągnięcia polskiej fantastyki naukowej.

„Śledztwo" oceniono jako powieść kryminalną, mniej ważną, bo też całą swą zewnętrznością odwoływała się do stereotypów tego gatunku, a nawet powieści gotyckiej, bo zapewne stamtąd czerpał Lem inspirację do opisów scenerii angielskiej prowincji, mglistych nocy, opuszczonych cmentarzy i kostnic, z których znikają ciała nieboszczyków. Ta powieść, zestawiona z wszystkimi innymi, które ją poprzedziły i następowały bezpośrednio po niej, traktowana była jako efekt chwilowego wytchnienia pisarza przeżywającego nadzwyczajny przypływ sił twórczych.

„Katar" ukazał się po raz pierwszy w roku 1976, w okresie pewnego spadku aktywności pisarskiej Lema, kiedy jego obecność na rynku wydawniczym opierała się na wznowieniach, bądź dopowiedzeniach, kontynuacjach wcześniej rozpoczętych cykli utworów. W tymże 1976 roku ukazał się właśnie taki tom „Maska", rok wcześniej wydane zostały „Rozprawy i szkice" grupujące znane z czasopism teksty publicystyczne Lema, jeszcze wcześniej wyszła „Wielkość urojona" (1973), książka interesująca, ale skomponowana ze „śladów" poniechanych pomysłów pisarskich. A po „Katarze", dopiero w 1979 roku ukazał się tom „Powtórka", złożony z opowiadania przywołującego sylwetki znanych lemowskich bohaterów i z dwóch słuchowisk radiowych. W tej sytuacji pomysł „Kataru" wydawał się deską ratunku, której chwycił się pisarz chwilowo słabiej dysponowany, czy raczej zmęczony wcześniejszą aktywnością i nawałem pozaartystycznych powinności. Ta powieść również sprawiała wrażenie zrodzonej z pisarskiego wytchnienia, ale już nie tak radosnego jak „Śledztwo", bardziej wymuszonego przez okoliczności, chociaż była, bez wątpienia, doskonałą lekturą.

Wydanie w jednym tomie „Śledztwa" i „Kataru" w nowej edycji „Dzieł wybranych" Lema wyraźnie dowodzi, jak są do siebie podobne pod względem budowy, problematyki, nastroju a nawet myślowego przesłania. „Śledztwo" nawiązuje do powieści gotyckiej i do klasycznej historii kryminalnej, nasycając gatunkowe stereotypy nowymi treściami. „Katar" odwołuje się do współczesnego modelu literatury sensacyjnej traktującej o jakimś superagencie obarczonym specjalną misją (tu jest nim były kosmonauta, a więc już z racji zawodu heros naszego wieku), a także do stylizowanych na reportaż historii w rodzaju „Dnia Szakala", „Sześciu dni Kondora" czy rodzimego „Czasu nietoperza".

Obie świecą zatem jakby światłem odbitym i nie usiłują w niczym zasugerować swojej oryginalności formalnej. Obie osiągają, mniej więcej w połowie, punkt kulminacyjny, po którym właściwie w warstwie zdarzeniowej niewiele się już dzieje, zaczyna się natomiast myślenie. Każda z nich rozpada się przez to na dwie części: część zdominowaną przez akcję i część dyskursywną, zmierzającą do zaskakującego zakończenia, które nie ma prawie nic wspólnego z literacką sensacyjnością. W „Śledztwie" ten punkt „przełamania" powieści stanowi cała partia tekstu łącząca się bezpośrednio z wypadkiem konstabla Williamsa, rekonstrukcją wydarzeń i badaniem miejsca „tańca nieboszczyka". W „Katarze" akcja „przełamuje" się w brawurowej sekwencji terrorystycznego zamachu na rzymskim lotnisku. W obu przypadkach Lem przebiegle rozbudza ciekawość czytelnika po to, by możliwie długo utrzymać jego uwagę na tych sprawach, którym służy przesłanie jego utworów. O ile jednak „Śledztwo" było nowością w jego pisarstwie, o tyle „Katar" jest w dużym stopniu powieleniem tamtej historii. Ale w gruncie rzeczy nie o to chodzi.

Cały problem sprowadza się do pytania dlaczego Lem napisał te dwie powieści, które, zaliczane powszechnie do tzw. kryminałów, różnią się zasadniczo, od jego pozostałej twórczości prozatorskiej? Trzeba wyjaśnić, że Lem posługując się sztafażem zaczerpniętym z historii gotyckiej i sensacyjnej nie napisał ani w przypadku „Śledztwa", ani w przypadku „Kataru" powieści kryminalnej. Przeciwnie, rozpatrując rzecz całą w kategoriach przynależności gatunkowej, trzeba jego wypowiedzi uznać za wyraźną kpinę z gatunku, który niejako za warunek podstawowy swego istnienia przyjmuje konieczność obecności, wykrycia i ukarania sprawcy opisanych wypadków – zbrodni.

Tymczasem u Lema nic z tego nie występuje – sprawcy, jako osoby fizycznej, nie ma i być nie może. Pisarz doprowadza akcję do momentu, w którym, zgodnie z gatunkowymi wymogami, powinien zostać wskazany zbrodniarz, a potem pokazuje czytelnikowi „figę". W obu powieściach istnieje tylko powtarzający się ciąg zdarzeń, za którymi nie kryje się sprawca możliwy do ujęcia, bo jest nim po prostu prawo natury, statystyczna powtarzalność pewnych przypadków, która ujawnia się po przebadaniu odpowiednio licznej

ZAPROSZENIE DO ORZECHA

Bodaj Tadeusz Peiper dzielił wytwory ludzkiego ducha na myśli-dropsy i na myśli-drzewa. Tych pierwszych nie cenił wysoko, tych drugich – potężnych, wielokrotnie owocujących nie spotykał, jak mawiał, zbyt często. Zabawię się podobnie jak Peiper i podzielę literaturę na książki-racuszki i książki-orzechy. Debiutancką powieść Wiktora Żwikiewicza przyjdzie mi wówczas zaliczyć do orzechów. A będzie to egzemplarz o szczególnie twardej skorupie, ukształtowanej w formy bardzo piękne i bardzo ekstrawaganckie.

Nazywać Żwikiewicza debiutantem, to obsadzać go w roli, w której nie występował od lat. Czytelnik polski (a trochę już i zagraniczny) znają jego opowiadania, owe komunikaty ze światów, w których żyją, cierpią i walczą zadziwiające roślinno-zwierzęco-mechaniczne hybrydy. Czytelnicy znają malarski język Żwikiewicza, jego skłonność do baroku. Wielu polubiło ciężkie, mroczne, tajemnicze nastroje tej prozy, dyszącej egzotycznymi rytmami wymyślnych egzystencji. W pisarskim kotle Żwikiewicza kipią ingredjencje nieznane reszcie polskich autorów; ten pisarz, jeśli nie najlepszy z całej nowej fali SF, bezsprzecznie najbardziej jest oryginalny i suwerenny, za co młoda społeczność pisarska darzy go sporym autorytetem. Jest to, słowem, indywidualność – nagradzana, uznana – i teraz jak światło z gwiazdy dociera do nas jego powieść z 1977 roku, po nieznacznych tylko, dokonanych w tzw. międzyczasie, retuszach. Zajmijmy się więc pokrótce i owym światłem i stanem gwiazdy w chwili gdy je wysłała.

Pomijając fragmenty rzadkiej piękności i smakowite pastisze (Żwikiewicz równie udatnie podrabia „Sto lat samotności" Marqueza jak i „Wilka stepowego" Hesse'a), „Druga jesień" gdzieś do setnej strony rozwija się w miarę konwencjonalnie. Na naszej współczesnej Ziemi dzieją się dziwne rzeczy, przyroda szaleje, jak drożdże rosną rośliny, muchy wyłażą z bursztynów, sęki w starych ławach puszczają pędy, a w starcach budzi się zwiędła potencja i gotowość do prokreacji. Autor rozrzuca pracowicie odrobione malarskie kadry kataklizmu-pęcznienia z różnych miejsc globu pisane w odpowiednich stylistykach – jest to momentami piękne i w sumie nieco nużące. Ale kiedy akcja przenosi się na szczyt wieżowca, u którego stóp buzuje purpurowa biomasa, kiedy kończą się epizody a zaczyna i trwa nasze spotkanie z przedstawicielem agresywnej cywilizacji, Earlem, wówczas zyskujemy pewność obcowania z dziełem oryginalnym i znaczącym. Earl to przedstawiciel formy kosmicznego życia, która wywołała stan wrzenia ziemskiej przyrody, która w nim trwa, konsumuje Ziemian i Ziemię czyniąc ją częścią siebie, by po przetrawieniu zdobyczy ruszyć na dalsze kosmiczne podboje. Dialog, jakiego przy końcu powieści dokonuje Earl z pochłoniętym przez siebie człowiekiem, jest pięknym dialektycznym wykładem o więzi, o wzajemnym zarażaniu się, o duchowej transmisji jaka zachodzi między agresorem i pobitym, katem i ofiarą, pożerającym i pożeranym. Wiele tu idealizmu, Żwikiewicz częstokroć maluje obraz z marzeń raczej niż z rzeczywistości, etyczne satysfakcje spadają na nas zbyt szybko, ale jednocześnie dużo w tym jest solennej kulturowej mądrości. W owych scenach, w których Earl wysłuchując i niejako przyjmując punkt widzenia pokonanego przeciwnika za karę sam staje się wyrzutkiem, a potem buntownikiem niszczonym przez macierzysty organizm – mamy znakomicie wygrany proces nadziei przeciw pesymizmowi. Z punktu widzenia tej części uzasadnja się – jako wstęp, jako przygotowanie, jako skorupa orzecha! – pierwsza mozaikowa część książki.

W części drugiej proponuje Żwikiewicz dość nieoczekiwanie refleksję nad samym sobą, piszącym właśnie „Jesień", krytyczne uwagi o gatunku SF, który kiksuje, próbę nazwania bolączek świata, który otacza autora i jest oczywiście przygnębiający. Następują tu kilkanaście przebić ze współczesności; w miarę jednorodna, fantastyczna powieść staje się gatunkową hybrydą, słyszymy raptem fragment piosenki ze studenckiego kabaretu, pojawiają się zdania na tzw. aktualne tematy społeczno-polityczne, słychać bieżące pretensje do współczesności w tej formie na terenie naszej SF dotychczas nie wygłaszane.

Co ciekawsze, Żwikiewicz zdaje się kajać za cały gatunek – że SF tego właśnie unika, że pisarze atakują problemy okrężnie zamiast wprost. Ale, jako żywo, nie to jest w powieści Żwikiewicza najlepsze, co powiedziane bezpośrednio. Autorzy przywykli do ekstrawagancji swojej wyobraźni, mogą zapomnieć w czym są dobrzy, krytycy muszą wiedzieć to za nich. Otóż mam wrażenie, że uniki, które Żwikiewicz sobie i gatunkowi wyrzuca, tracą na znaczeniu wobec wspomnianej już sceny, w której Earl dialoguje z wchłoniętym człowiekiem; uważam ją za mistrzowską i dostarczającą efektów nie do podrobienia w prozie bezpośredniej, realistycznej. Niesie ona znacznie więcej mądrości i nadziei, niż te miejsca gdzie autor

próbki zdarzeń. Z obliczeń statystycznych wynika, że istnieje zależność pomiędzy zachorowalnością na raka, a znikaniem ciał nieboszczyków z kostnic w hrabstwie Norfolk, że musi istnieć jakiś tajemniczy czynnik łączący zachorowalność ze znikaniem, czynnik, którego na razie wyjaśnić się nie da, ale nauka jest cierpliwa i systematyczna, toteż zapewne odkryje i tę zależność. Ale jest równie możliwe, że zwłoki wykradał kierowca ciężarówki, który pod wpływem nocnej jazdy w gęstej mgle, popadał w rodzaj obłędu. Niewykluczone także, że porucznik Gregory ma do czynienia z ingerencją mieszkańców innych światów.

Żadnej z tych wersji „rozwiązania" nie można odrzucić, ani też przyjąć jako jedynej prawdziwej. Wszystko zawiera się w sferze możliwości, domniemań, zagadek. Zeznania umierającego konstabla Williamsa powinny wykluczyć ingerencję kogoś obcego – ciało, które obserwował, poruszało się samoistnie, ale Inni potrafią przecież robić nie takie rzeczy. W każdym razie niepokonany Scotland Yard nie wskazał winnego.

„Na wszystkie strony wystają kawałki życia poza znaczenia, które ustaliliśmy jako jedyne – mówi wzburzony przedstawiciel Yardu – a my nie chcemy, nie chcemy tego widzieć! Tymczasem istnieje tylko statystyka. Człowiek rozumny, to człowiek statystyczny. (...) statystyką jest podszyte nasze poznanie, istnieje tylko ślepa gra, wiekuiste układanie się przypadkowych wzorów. (...) Szukajcie – a znajdziecie (...) statystyka bowiem niczego nie wyklucza, czyni wszystko możliwym, jedynie mniej lub więcej prawdopodobnym." I nieco dalej „...jest mnóstwo zjawisk, dających przez nakładanie się poszukiwaną prawidłowość".

Podobnie wygląda sprawa „Kataru" – tu ciągiem powtarzających się zjawisk jest seria tajemniczych śmierci turystów amerykańskich podróżujących samotnie po Włoszech. I znów okazuje się, że morderstw nie było, że wszystkie te zgony były przypadkowe, bo w wielkiej liczbie turystów odwiedzających Włochy, znajdzie się spora grupa osób spełniających warunki wyjściowe, a wśród nich garstka tych, którzy zapadną na katar sienny, zażyją jakieś lekarstwo, zjedzą to samo i wypiją takie samo wino zawierające minimalną ilość siarki. Wszystkie te, kolejno spożywane, chemikalia spowodują, że ci którzy nie znają włoskiego, nie będą mogli porozumieć się z otoczeniem i umrą w samotności hotelowego pokoju.

Winna jest statystyka, która sugeruje istnienie serii zbrodni i winna jest chemia, która mimowolnie zabija ludzi nieświadomych następstw zażywania związków chemicznych, obecnych w pożywieniu i lekach, które tworzą nowe połączenia – tym razem zabójcze... Zbrodniarz jest, ale nie można go aresztować, czyli właściwie go nie ma.

Obie powieści pisane przez Lema w różnych sytuacjach artystycznych – i jak się wydaje – dla odpoczynku, nie niosą bynajmniej treści typowo ludycznych – przeciwnie: w rozrywkowy schemat wpisana jest poważna treść, której przeoczyć nie można, bo bezpośrednio łączy się z tym, co się dzieje aktualnie z nami i wokół nas. A oprócz tego Lem z właściwym sobie poczuciem humoru wywodzi w pole wszystkich miłośników powieści kryminalnych, chociaż dostarcza im prawdziwej satysfakcji.

Leszek Bugajski

Stanisław Lem *„Śledztwo. Katar"*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1982; cena 160 zł.

● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ● ●

formułuje swe poglądy bez kamuflaży, bądź puszcza się na wody nieco ogranego w literaturze autotematyzmu.

Oczywiście, pojawiająca się w „Drugiej jesieni" współczesność nie psuje książki, nadaje jej tylko inny, dodatkowy wymiar – nie tylko literackiego eksponatu, lecz także socjologicznego świadectwa i... eksperymentu. Znamienne, że autor biegły w kreowaniu kosmicznych bytów i egzotycznych światów, z trudnością dobiera właściwe słowa dla opisania własnej współczesności. Byłażby to choroba Żwikiewicza, czy całej literatury: niezdecydowanie indywidualne, czy raczej powszechna, wisząca w powietrzu niepewność? Widać przecież, że Żwikiewicz zmienia zamiar w trakcie pisania – najpierw, wydaje się, chce tylko wyrazić swój ból, rozczarowanie, potem także pretensję, wreszcie protest, w końcu nadzieję. W 1977 roku język był jeszcze niegotowy, niegotowy był sam problem, niegotowe było pokolenie.

„Druga jesień" to na pewno nie książka doskonała, spójna, czy, jak się to mówi, skończona. Ale spróbujmy spojrzeć na nią jako na komunikat, list z pewnej epoki, z zamkniętego, jak mówią, środowiska fantastów. Naprawdę fantastów? Zresztą nie czepiajmy się słów, zwłaszcza że Żwikiewicz szamocze się i nadaje sygnały, iż ciasno mu w orzechu własnych wizji; próba Żwikiewiczowej powieści realistycznej zdaje się wisieć w powietrzu. Proszę bardzo, spróbować można, ale niech autor pamięta, że jego orzech też jest piękny, bogaty, pojemny – wcale nie powiedziane, że powinien go porzucać.

Maciej Parowski

Wiktor Żwikiewicz *„Druga Jesień"*, Wydawnictwo Poznańskie 1982, cena 67 zł.

ZAPOWIEDZI WYDAWNICZE

OKRUTNY ŚWIAT CIEPLARNI

Briana W. Aldissa na dobrą sprawę nie trzeba przedstawiać polskiemu czytelnikowi. Zdobywca nagrody Hugo za najlepszą powieść fantastyczno-naukową roku, autor szeregu niezmiernie poczytnych powieści i opowiadań, w Polsce znany jest przede wszystkim dzięki powieści „Non Stop" opublikowanej w 1975 r. przez wydawnictwo „Iskry" i opowiadaniom zamieszczanym w kolejnych tomach, nie wydawanego już, niestety, almanachu „Kroki w nieznane."

Popularność Aldissa nie jest właściwie niczym zaskakującym. Charakterystyczna dla jego twórczości siła wyobraźni, umiejętność tworzenia światów groteskowych, koszmarnych, ale przecież mimo wszystko w jakiś sposób prawdopodobnych i logicznie skonstruowanych, łączy się z umiejętnością kierowania uwagi czytelnika na sprawy pozafabularne.

„Cieplarnia" jest utworem opartym na częstym w twórczości Aldisssa (i nie tylko Aldissa) motywie „świata po katastrofie". W wyniku katastrofy kosmicznej – przemiany Słońca w Nową, znany nam świat ulega niesamowitej, okrutnej deformacji. Połowę Ziemi zajmuje potężne drzewo, którego konary i drobniejsze gałązki tworzą prawdziwą dżunglę. Jest to ostatnie miejsce schronienia niedobitków ludzkości – niewielkich, rozproszonych, toczących ostatnią, desperacką walkę już nie o panowanie nad przyrodą, ale po prostu o przetrwanie. Ich przeciwnikami są uległe straszliwym mutacjom drapieżne rośliny i gigantyczne, równie niebezpieczne owady. Pomysł wspaniały, z którego równie dobrze można zrobić coś w rodzaju „space-opera", czy „horroru", jak i utworu ambitnego, w gruncie rzeczy humanistycznego i optymistycznego. Podobnie jak w „Non-stop" w „Cieplarni" Aldiss podkreśla niesłychaną żywotność, umiejętność przetrwania rodzaju ludzkiego. Pozbawiony, praktycznie biorąc, wszystkiego, wszelkich zdobyczy cywilizacyjnych, zepchnięty do poziomu ludzi pierwotnych, otoczony przez wrogą przyrodę, egzystuje jedynie w formie małych, odizolowanych grupek. Bohater „Cieplarni" – Gren, jest jednym z członków takiego maleńkiego „klanu". Podobnie jak bohater „Non-Stop" szybko popada w konflikt z pozostałymi członkami społeczności i zostaje usunięty poza jej nawias. Jego udziałem stają się przedziwne i brzemienne w skutkach przygody. Błąkając się po Ziemi Niczyjej dostaje się pod wpływ pasożytniczego, myślącego grzyba, który zaczyna kierować jego działaniami czyniąc to wbrew jego woli, dążąc do podporządkowania sobie możliwie jak największej ilości ludzi. Wędrówki Grena sprzyjają nawiązaniu kontaktów z różnymi humanopochodnymi formami życia, stawiają bohatera w coraz trudniejszych, niekiedy ostatecznych sytuacjach. Jednocześnie zaczyna dochodzić do głosu jego własny, nieuświadamiany dotąd intelekt. Tyrania pasożytującego grzyba zaczyna doskwierać mu coraz bardziej, ale kierujący jego działaniami pasożyt zdobywa nad nim już coraz większą władzę. Gren posuwa się nawet do tego, że chce przeszczepić (na wyraźne zlecenie swego „władcy") ów okrutny organizm swojemu synowi. W sukurs bohaterowi przychodzi jednak jego dziewczyna – Yttamur, która dzięki pomocy napotkanego mutanta wyzwala Grena od pasożyta. Wędrówki, rozbudzony intelekt Grena sprawiają, że gdy pojawia się możność opuszczenia Ziemi i udania się na inne planety, Gren decyduje się na pozostanie tu, gdzie jest jego dom, gdzie sam będzie decydować o swoim losie. To krótkie przedstawienie treści nie daje właściwie wyobrażenia o powieści – nie jest bowiem w stanie przekazać zarówno plastyki opisu, bogactwa wyobraźni autora, jak też wszystkich niuansów i odcieni myśli zawartych w pazafabularnej warstwie utworu.

Powieść Aldissa jest chwilami brutalna i okrutna, ale też brutalny i okrutny jest świat, w którym przychodzi walczyć bohaterowi. To okrucieństwo nie jest jednakże celem samym w sobie, lubowaniem się w sadystycznych opisach. Każde zdarzenie, każdy punkt fabuły ma swoje uzasadnienie i ściśle wiąże się z całością. Weźmy na przykład motyw gigantycznych niby-pająków żyjących w przestrzeni kosmicznej, motyw „latających ludzi" – jak dziwacznymi i fantastycznymi by się nie wydawały, ich uzasadnienie fabularne w świetle ostatnich scen utworu nie pozostawia żadnych wątpliwości.

Oczywiście, „Cieplarnia" nie jest powieścią łatwą. Czytelnicy, którzy sięgają do literatury fantastyczno-naukowej jedynie dla rozrywki, będą albo nieco rozczarowani, albo po prostu i bez specjalnego trudu zwrócą uwagę wyłącznie na elementy żywej i pełnej napięcia fabuły. Jednakże, każdy, kto zechce zadać sobie trochę więcej trudu, przeczytać uważnie tekst i zastanowić się nad zagadnieniami bynajmniej nie fantastycznymi, które z tekstu tego wynikają – nie uzna czasu spędzonego nad powieścią Aldissa za czas stracony.

Sławomir Kędzierski

Brian W. Aldiss, *„Cieplarnia"*, Wyd. Iskry, Warszawa 1983.

CHRUSZCZEWSKI CZESŁAW

(1922–1982)

Prozaik, dramaturg, publicysta, działacz międzynarodowego ruchu pisarzy SF

Urodził się w 1922 r. w Warszawie. W latach okupacji działał w organizacji konspiracyjnej. Był uczestnikiem Powstania Warszawskiego. Po wojnie mieszkał w Kaliszu, później w Poznaniu. Pracował jako dziennikarz w „Ekspresie Poznańskim", a od 1958 r. w rozgłośni Polskiego Radia. Był długoletnim kierownikiem literackim PRTiV w Poznaniu. W latach 1975–1981 pełnił funkcję prezesa Poznańskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Zmarł 12 lutego 1982 r.

Debiutował w roku 1958. Napisał kilkadziesiąt słuchowisk, scenariuszy i powieści o tematyce fantastycznej: **„Bardzo dziwny świat"** (opowiadania – 1960), **„Magiczne schody"** (opowiadania – 1965), **„Pacyfik – Niebo. Ziemia – Kosmos – Ziemia"** (opowiadania – 1967), **„Bitwa pod Pharasalos"** (słuchowiska radiowe – 1969), **„Różne odcienie bieli"** (opowiadania – 1970), **„Rok 10 000"** (opowiadania – 1973, wyd. 2 – 1975), **„Dookoła tyle cudów"**(opowiadania – 1973), **„Fenomen Kosmosu"** (powieść – 1975, wyd. 2 – 1977), **„Potrójny czas Galaktyki"** (opowiadania – 1976), **„Gdy niebo spadło na Ziemię"** (powieść – 1978, wyd. 2 – 1980), **„Powtórne stworzenie świata"** (powieść – 1979), **„Miasto nie z tej planety"** (opowiadania – 1981). Wszystkie utwory ukazały się nakładem Wydawnictwa Poznańskiego.

Czesław Chruszczewski był również redaktorem dwóch antologii: „Ludzie i gwiazdy" (wybór opowiadań SF pisarzy krajów demokracji ludowej, współautor: J. Kaczmarek, Wyd. Poznańskie 1976) i „Gwiazdy Galaktyki" (antologia opowiadań SF pisarzy Węgier, współautor: P. Kuczka, Wyd. Poznańskie 1981).

Powieść „Fenomen Kosmosu" została przełożona na język węgierski („A kozmosz tunemenye", tłum. Beatrix Muranyi, Budapest 1977); tom opowiadań „Różne odcienie bieli" został przełożony na język niemiecki („Die Nuancen der weissen Farbe. 12 mal Phäntastik", tłum. Peter Ball i Ursula Ciupek, Berlin 1976).

Czesław Chruszczewski był aktywnym działaczem międzynarodowego ruchu pisarzy SF: dzięki jego energii Poznań stał się jednym z ośrodków tej literatury (w latach 1973–1976 odbywały się tu międzynarodowe spotkania twórców SF). Autor „Roku 10 000" był członkiem prezydium Europejskiego Komitetu SF, współzałożycielem – członkiem OKMFiSF. Za twórczość literacką i działalność organizatorską uzyskał wiele nagród i wyróżnień. W roku 1972, w czasie I Kongresu Europejskiego SF, zorganizowanego przez Weneckie Centro Culturi SF, otrzymał nagrodę specjalną „Europa SF – Specjal – Eurocon I – Trieste 1972", a w roku 1973, podczas Międzynarodowego Spotkania Pisarzy SF w Poznaniu – Nagrodę Główną za książkę „Rok 10 000". Drugi Kongres Europejski SF w Grenoble (1974) wyróżnił go nagrodą za całokształt twórczej i aktywnej działalności w dziedzinie SF, a w 1976 r. nagrodę specjalną przyznał mu trzeci Kongres Europejski SF w Poznaniu.

W roku 1960, za słuchowisko „Fotel na autostradzie" – Czesław Chruszczewski otrzymał nagrodę Komitetu do Spraw Radia i TV, zaś w roku 1973 za opowiadanie „Bank uczuć" – nagrodę Festiwalu Artystycznego „Wiosna Opolska". W roku 1966 został nagrodzony m.in. za działalność w dziedzinie słuchowisk radiowych, w roku 1977 za całokształt twórczości literackiej i 25-lecie pracy pisarskiej.

Twórczość Czesława Chruszczewskiego, jednego z nielicznych autorów fantastyki znanych również poza granicami naszego kraju, wzbudzała zawsze w komentarzach i opiniach krytyków, mimo jej oficjalnej nobi-

POŻÓŁKŁE KARTKI

„Zupełnie nieznana planeta"

Czesław Chruszczewski

Wylądowali na obcej planecie w Innym Układzie Słonecznym. Było to przymusowe lądowanie. Wir kosmiczny porwał pojazd, wszystkie przyrządy odmówiły posłuszeństwa. Rakieta opadła na powierzchnię planety, jak liść strącony z drzewa (...).
Dornier pierwszy wyszedł ze statku, rozejrzał się uważnie, przeskoczył zgrabnie karminowy kamień, pomerdał wesoło ogonem i szczeknął. Wtedy z pojazdu wyszli ludzie.
Dokładnie mówiąc, dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, która natychmiast poczęła szczebiotać:
– Ach, co za powietrze, prawdziwy balsam. Ach, co za kolory, czegoś podobnego nigdy nie widziałam w życiu. Złoto, czerwień i błękit, tylko te trzy kolory, ach, jakie to cudowne.
Mężczyzna nie podzielał zachwytu kobiety. Przemierzył wiele szlaków kosmicznych, niejedno widział, z niejednego pieca kosmicznego jadł chleb, był czujny, ostrożny, był przygotowany na najgorsze.
– Nie wiem, gdzie jesteśmy.
– To cudowne.
– Ta planeta nie figuruje w żadnym kosmicznym rozkładzie jazdy.
– Nareszcie coś nowego.
– Mówisz jak dziecko.
– Jestem po prostu zawsze pogodna, dlatego zresztą towarzyszę pilotom pocztowych pojazdów w długich, nużących podróżach. Czy źle wywiązywałam się ze swoich obowiązków w okresie ostatnich siedemnastu miesięcy? (...)
Mężczyzna nie był rozmowny. Nie zważając na paplaninę kobiety składał jakieś aluminiowe części, przykręcał, pracował, jak to się zwykło mówić, w pocie czoła i po upływie kilku godzin uniwersalny pojazd ruszył w nieznaną drogę.
– Posiada zalety „latającego dywanu" – stwierdził z zadowoleniem kosmonauta – transportera, motorówki, ślizgacza, poduszkowca, sań motorowych, naprawdę prawdziwe cudo nowoczesnej techniki.
– Ale cudo trochę trzesie.
– Gdy zwiększę szybkość, wibracja ustanie, już ustaje.
– Cudownie, wspaniale. Spójrz, złote skały na czerwonej pustyni pod błękitnym niebem.
– Pusta, wymarła planeta.
– Nie mów: hop, póki nie przeskoczysz (...). Widzę zarysy murów jakiegoś miasta.
– Złudzenie optyczne, to na pewno skały.
– Widzę długi mur – upierała się kobieta – dobrze widzę, tam po prawej stronie, za złotymi skałami, ciemnozielony mur.
– Rzeczywiście! To przypomina mur (...).
– Mówiłeś pustka, mówiłeś, tutaj nie ma żywego ducha (...), a pod nami wspaniałe miasto, wy mężczyźni...
– Zdumiewające – zawołał – to naprawdę ogromne miasto, tysiące budynków, tysiące wspaniałych budowli, pałaców, zamków. Rozległe, gigantyczne miasto, nie widać jego krańców.
– Ulice są puste, szerokie. W sam raz dla nas. Przemień samolot w samochód. Chcę jechać ulicami tego miasta.
– Miasto bez ludzi.
– Może śpią.
– Teraz w czasie słonecznego dnia?
– Ten dom...
– Co ten dom?
– Ten dom przypomina pałac Minelli w Wenecji.
– Byłeś w Wenecji?
– Przed dwunastu laty... A ten drugi to przecież San Giorgio Maggiore... Spójrz, to przecież Forta della Carta. Skrzydlaty lew świętego Marka, przed nim klęczy doża Foscari... Tam kościół Santa Maria dei Miracoli, a tuż przy nim pałac Angarani-Contarini.
– Co ty pleciesz. Nie wylądowaliśmy na Ziemi.
– Nie na pewno nie. Dlatego nic nie

litacji, wiele polemik, sporów i kontrowersji. Chruszczewski nie podejmuje bowiem „analizy możliwych konfliktów między człowiekiem i maszyną (...), nie próbuje przewidzieć konsekwencji rozwoju techniki i cywilizacji" – jak zauważa L. Bugajski w szkicu „Śladem Lema" („Radar" 1975/9). Opowieści autora „Roku 10 000", usytuowane na marginesie literatury science fiction, granicą raczej z konwencją baśni, przypowieści, a pytanie sprowadza się do tego, czy są rzeczywistym rozszerzeniem możliwości gatunku (jak twierdzą niektórzy krytycy uznający je za odmianę „poetyckiego nurtu SF"), czy też traktują beletrystykę SF w sposób akcydentalny, poszerzając literaturę sensu stricto o motywy, wątki i schematy scjentyficzne. Jeśli założyć, że Chruszczewski uznaje fantastykę naukową za rodzaj „kreacji kostiumowej", można spojrzeć na jego twórczość bardziej obiektywnie, odrzucając wymowę ambicjonalnych polemik sprowadzających ją do tej, czy innej konwencji gatunkowego getta. Opowiadania Chruszczewskiego są raczej odmianą XX-wiecznej powiastki filozoficznej, toteż przykładanie do nich „naukowych" kryteriów futurologicznych nie ma większego sensu. Są przede wszystkim transpozycją wątków dydaktycznych: adresowane do zwolenników literatury refleksyjnej, wychowawczej ilustrują tezy światopoglądowe i etyczne. Tym też należy tłumaczyć ich pozorne niekonsekwencje motywacyjne, uproszczony rysunek bohatera, schematyzm epizodycznej fabuły (skonstruowanej najczęściej na zasadzie wątków podróży, kontaktu z „innym światem"). Akcja wielu utworów stanowi pretekst do wypowiedzenia treści filozoficznych i moralnych. „*Współczesny człowiek* – twierdzi autor „Magicznych schodów" – *chce egzystować świadomie, pragnie więcej wiedzieć, więcej rozumieć. Ludziom udaje się czasem wykroczyć poza okrąg egocentrycznego świata, niektórym udaje się nawet przekroczyć magiczne koło czasu, spojrzeć na siebie, na swój świat z innej perspektywy. Przyglądając się mijającym godzinom, dniom, epokom – widząc jednocześnie CZAS przeszły, teraźniejszy i przyszły – odczuwają rozkosz trwania, istnienia, przeżywają zwolniony rytm przemijania...*"
Mentorstwo Chruszczewskiego wywodzi się z kręgu oświeceniowego racjonalizmu, jest czasami gorzkie i krytyczne, ale nie jątrzące – raczej pobłażliwe i wybaczające, pozbawione odcieni katastroficznych, zakładające, że mieszkańcy Błękitnej Planety sami poradzą sobie z trapiącymi ich problemami. Nasze wady, ograniczenia, namiętności – poczytywane najczęściej za wstydliwy rozdział ludzkiej psychiki – stają się formą identyfikacji człowieka, pozwalają odnaleźć wartość naszej egzystencji w różnorodności możliwych bytów. To, z lekka ironiczne przesłanie jest leitmotivem twórczości Chruszczewskiego: kontakt z Innym Rozumem nie polega na rozwiązywaniu zagadek logicznych, lecz egzystencjalnych – jest pretekstem do obserwacji zachowania wysłanników dalekiego zwiadu.

Sprawą otwartą pozostaje artystyczna ocena dorobku Czesława Chruszczewskiego. Powiastka filozoficzna była gatunkiem o wyraźnym nacechowaniu historycznym, stąd też próby zaadaptowania tej formy do współczesnych warunków kulturowych są już odczuwane jako wyraźna stylizacja literacka. ■

BIBLIOGRAFIA

Ogólna:
– W. Natanson *„Kosmiczne katastrofy"* (w:) „Kierunki" 1979/33,
– Cz. Michniak *„Rozum i serce"* (rozmowa z Czesławem Chruszczewskim) (w:) „Gazeta Zachodnia" 1978/16,
– S. Piskor *„Rozmowa z Czesławem Chruszczewskim"* (w:) „Poglądy" 1978/15.

Recenzje wybrane:
– „Ekspres Poznański" 1978/100,
– „Gazeta Zachodnia" 1979/32,
– „Życie Radomskie" 1982/27,
– „Gazeta Poznańska" 1982/32.

POŻÓŁKŁE KARTKI

rozumiem (...). To najwspanialsze budowle Italii zgromadzone w jednym mieście.
– Zwiększyłeś szybkość.
– Wjeżdżamy w inną ulicę.

– Wspaniała aleja wysadzana palmami.
– Przejeżdżamy główną bramę Czerwonego Fortu... Toż to Dżama Masdzid, wielki meczet w Delhi.

– O ile pamiętam Delhi znajduje się w Indii.
– Dobrze pamiętasz. Skręcam w ulicę wysadzoną kasztanami.
– Trochę podobna do Pól Elizejskich.
– Bardzo podobna. Oto Notre-Dame, Wieża Eiffla, Luwr (...).
– Teraz w prawo...

– Piramidy, Sfinks, świątynia z Abu Simbel.
– Tak, to cuda Egiptu.
– Znów zmieniasz kierunek jazdy.
– Tam, na samym krańcu tej szerokiej ulicy, wielki posąg...
– To posąg Buddy.
– Daibutsu. Wielki Budda z Kamakura (...). Zawędrowaliśmy do miasta miast – powiedział kosmonauta.

– Miasto miast na obcej planecie? W innym układzie słonecznym? To za trudne dla mnie! Kto to wszystko wybudował? W jakim celu wzniesiono to miasto bez ludzi? Kto je wzniósł? (...) Trzeba to przespać. Jutro na pewno przyjdzie ci do głowy jakiś dobry pomysł.

Gdy otworzyli oczy, był znowu dzień (...). W chwilę później usłyszeli głos:
– Czuwam nad Miastem Miast od tak dawna, że już nie pamiętam kiedy to miasto powstało, co zresztą nie ma większego znaczenia. Jestem kimś w rodzaju konserwatora zabytków, kustosza muzeum. W naturze nic nie ginie, a to co piękne, powinno przetrwać wszystkie kataklizmy, by służyć przyszłości, która zbliża się do nas z głębi kosmosu. Dlatego reprodukujemy, co warto reprodukować i umieszczamy na tej planecie, która wiruje w strefie Absolutnego Spokoju i Wiecznej Pogody...
– Gdzie jesteś? – zapytała kobieta.
– Tutaj – odrzekł głos zgodnie z prawdą.
– Nic nie widać – stwierdził mężczyzna.
– To wina waszego wzroku. Kim jesteście, którzy mnie nie widzicie?

– Jesteśmy ludźmi – wyjaśnił kosmonauta – (...) twórcami tych pałaców, tych wszystkich, zgromadzonych tutaj wspaniałości.
– Nonsens – zagrzmiał głos. – To dzieła gigantów. Miasto Miast zbudowały wielce zmyślne maszyny. Wy, prawdę powiedziawszy, nie przypominacie ani zmyślnych maszyn, ani tym bardziej gigantów.

– Chce nas obrazić – kobieta zirytowała się. – Powiedz coś.
– Te wspaniałe budowle – tłumaczył kosmonauta – to wszystko jest dziełem rąk ludzkich, wielkich artystów, wielkich rzeźbiarzy, wielkich architektów.
– A więc gigantów – zawołał głos.
– W psychicznym tego słowa znaczeniu – powiedział kosmonauta.
– Hm – zamruczał głos – jeżeli to prawda, trzeba reprodukować i uwieczniać nie tylko dzieła, lecz również tych, którzy je stworzyli.
Głos umilkł, a potem wydał kilka poleceń. Maszyny przystąpiły do pracy i wkrótce kosmonauta i kosmonautka żegnali się ze swymi sobowtórami. Maszyny już tak z rozpędu zrobiły także kopię czworonożnej istoty. Szczekała na swój prototyp, aż podwinął ogon i wskoczył do pojazdu kosmicznego, który wkrótce wystartował, wyruszając w podróż powrotną.
Ci, którzy zostali w Mieście Miast stali na cokole, gawędząc: – Kto właściwie odjechał, a kto został? – zastanawiała się kobieta.
– To nie ma żadnego znaczenia – powiedział mężczyzna. – Najważniejsze, że uznano nas za dzieła godne utrwalenia.
– Ród ludzki nigdy nie zaginie – powiedziała kobieta i przytuliła się do mężczyzny.

Przedruk z: *„Dookoła tyle cudów"*, Wyd. Poznańskie 1973.

Przygotował
Andrzej Niewiadowski

■

NAUKA A ZAGADKI NASZEJ PRZESZŁOŚCI

Na pytania „Fantastyki" odpowiada profesor Remy Chauvin

W mojej książce „My z kosmosu" kilkakrotnie powołuję się na książkę, którą uważam za jedną z najlepiej udokumentowanych publikacji poświęconych zagadkom rozwoju naszej cywilizacji. Jej autorem jest biolog, profesor Remy Chauvin. Książka, o której mowa, ukazała się w roku 1977 nakładem paryskiego wydawnictwa Retz, a jej tytuł brzmi: „Certaines choses que je ne me'explique pas" („Niektóre sprawy, których nie potrafię sobie wyjaśnić"). Na książkę tę powołuję się dość często. Po pierwsze - dlatego, że jej autor stawia, jeśli idzie o przyszłość człowieka na Ziemi, pytania podobne do moich i wykazuje - podobnie jak i ja usiłuję to robić - że wiedza o przeszłości naszej cywilizacji jest na razie kartą zapisaną w niewielkiej części. Po drugie - dlatego, że profesor Remy Chauvin stawiając wiele kłopotliwych i niekonwencjonalnych pytań i ujawniając niektóre fakty, rzuca na szalę swój autorytet uczonego i nie obawia się ryzyka, jakie jest związane z zajęciem takiego stanowiska.

O tym, jak ważne i drażliwe są problemy, które porusza uczony francuski, świadczą już tytuły rozdziałów jego książki: Przeszłość, która zdaje się wyłaniać z przyszłości; Mapy Piri Reisa i inne; Stonehenge - problemy techniki, teoria Hawkinsa, obliczenia Hawkinsa i Hoyle'a; Przedziwne sprawy biologii; Sprawy Nie zidentyfikowanych Obiektów Latających; Problemy parapsychologii itp.

W trzy lata po wydaniu tej książki, która stała się we Francji prawdziwą sensacją, Remy Chauvin ogłosił swoją drugą książkę poświęconą zagadkom naszej przeszłości, zatytułowaną „Les secrets des portolans" („Tajemnice portolanów"). Tym razem autor nadał swoim wywodom formę fikcji literackiej, co nie zmniejsza jednak wagi poruszonych zagadnień.

O tym, że Remy Chauvin jest wybitnym uczonym nie trudno przekonać się wertując bibliografię poważniejszych książek poświęconych popularyzacji biologii czy socjologii. Nic więc dziwnego, że od dawna już pragnąłem zadać mu kilka bardziej konkretnych pytań związanych z poruszaną przez niego tematyką. Ciekaw byłem zwłaszcza stosunku Remy Chauvina do tzw. paleoastronautyki.

W październiku 1982 roku zostałem zaproszony na doroczne, kolejne sympozjum AAS, czyli Towarzystwa Dawnej Astronautyki, którego ojcem duchowym jest Erich v. Daeniken. Sympozjum to miało odbyć się w Wiedniu, ale jednocześnie przyjaciele zaprosili mnie do Paryża. Miałem więc nadzieję, że będę mógł schwytać dwie sroki za ogon. Jeśli idzie o sympozjum w Wiedniu, to zrelacjonuję je w następnym numerze „Fantastyki". Natomiast w Paryżu nie wszystko odbyło się tak, jak to sobie zaplanowałem.

Okazało się bowiem, że autor „Tajemnicy portolanów" nie mieszka stale w Paryżu. Do stolicy dojeżdża jedynie kilka razy w miesiącu. Po długich poszukiwaniach udało mi się wreszcie zdobyć numer telefonu profesora Chauvin w dość odległej od Paryża miejscowości. Na szczęście od tej chwili sprawy potoczyły się już raźniej. W hotelu przy placu Vosges, gdzie mieści się kwatera paryska Chauvina, zostawiłem sformułowane pisemnie pytania. Profesor Chauvin natychmiast po przyjeździe do Paryża udzielił na nie wyczerpującej odpowiedzi. Tę pisemną odpowiedź przesłano mi do Wiednia i dlatego dziś mogę przedstawić Czytelnikom „Fantastyki" ów wywiad, przeznaczony wyłącznie dla polskiego miesięcznika. Oczywiście sposób przeprowadzenia wywiadu zaciążył na jego formie. Nie jest to swobodna rozmowa, jaką sobie wymarzyłem, ani też wymiana poglądów, na której mógłbym bardzo wiele skorzystać. Dlatego pozostawia on być może pewien niedosyt, ale i tak mam satysfakcję z tego, co osiągnąłem.

- Publiczność czytelnicza w Polsce jest poinformowana o Pana książkach dotyczących zagadek naszej przeszłości. Byłbym Panu bardzo wdzięczny, gdyby zechciał Pan na wstępie, w kilku słowach przedstawić charakter Pańskich badań naukowych i prac, których autorytet jest dzisiaj w świecie niepodważalny.

- Jestem biologiem. Od czterdziestu lat specjalizuję się głównie w badaniach zachowań owadów, konkretnie owadów społecznych (charakteryzujących się życiem społecznym). Przez piętnaście lat kierowałem Stacją Badania Pszczół, istniejącą przy Ministerstwie Rolnictwa. Jestem profesorem na Sorbonie (socjologia zwierzęca). Opublikowałem ponad dwieście prac w prasie naukowej oraz dwadzieścia osiem pozycji książkowych. W tym, między innymi, pięciotomowe dzieło poświęcone biologii pszczół (2500 stron) w wydawnictwie Masona. Praca ta uchodzi za jedyną w swoim rodzaju w literaturze światowej. Moje zainteresowanie budzi zwłaszcza problem więzi społecznej u owadów (a także u człowieka). Jak Panu zapewne wiadomo, interesuję się parapsychologią. Za pracę poświęconą tej problematyce otrzymałem w USA nagrodę Mac Dougalla.

- W jakim stopniu człowiek nauki może, czy też ma prawo zajmować się problemami, które tak rzeczowo porusza Pan w swojej książce „Niektóre sprawy, których nie potrafię sobie wyjaśnić"?

- Uważam stanowczo, że nauka może i powinna interesować się wszystkim. Jest to jej zadanie. Nauka niczego nie powinna odrzucać a priori. Nie ma takiego problemu, który nie byłby godny jej uwagi i do którego nie można by podejść przy użyciu metod właściwych nauce. Postawa polegająca na odrzucaniu a priori problemów, które im się nie podobają, charakteryzuje - niestety - wielu moich kolegów. Jest to, moim zdaniem, postawa antynaukowa, wyłącznie emocjonalna, wywodząca się z przesądu, że nauka musi koniecznie pozostać dzisiaj tym, czym była w wieku XIX.

- Czy zdaniem Pana Profesora wysunięcie hipotezy o kontaktach naszej planety z przedstawicielami jakiejś cywilizacji pozaziemskiej jest herezją naukową?

- Przekonanie, iż możliwe były w przeszłości kontakty tego rodzaju nie może w żaden sposób być uznane za herezję. Pamiętać jednak należy, że ci przedstawiciele innych cywilizacji (czy jakiejś konkretnej cywilizacji) nie mogli pochodzić z żadnej z planet naszego systemu słonecznego, w którym, jak się wydaje, jesteśmy jedyną planetą, na której rozwinęło się życie i jedyną zamieszkałą. Pokonanie odległości oddzielających nasz glob od innych systemów słonecznych jest na razie niemożliwe. Nie będzie to jednak większym problemem i nie będzie żadnym wyczynem dla nauki i techniki wieku XXIII, a być może nawet znacznie wcześniej.

*- Jaka jest Pana opinia o tym, co umownie nazwane zostało paleoastronautyką? Czy nie sądzi Pan Profesor, na przykład, że **mapy Piri Reisa, kosmogonia Dogonów,** niezwykłe zagadki budowli megalitycznych, które teraz dopiero zaczynamy wyjaśniać, mogą w jakimś sensie stanowić dowód na to, iż kiedyś, w zamierzchłej przeszłości, przedstawiciele cywilizacji pozaziemskich zetknęli się z naszą planetą?*

- Uważam, że - przynajmniej na razie - nie znajdujemy się w posiadaniu ewidentnych i konkretnych dowodów na to, iż na naszej planecie lądowali astronauci z innych planet. Natomiast osobiście uważam, że istnieją niepokojące wręcz oznaki świadczące o tym, iż w dalekiej przeszłości musiała istnieć jakaś niezwykle rozwinięta cywilizacja, która zniknęła z powierzchni Ziemi zanim rozpoczęła się historia człowieka taka, jak ją dziś pojmujemy. Musiała to być cywilizacja o bardzo rozwiniętej wiedzy.

Jeśli idzie o owe oznaki czy dowody, to zaliczyłbym do nich w pierwszym rzędzie mapy Piri Reisa, a ogólnie mówiąc wszystkie mapy, które zostały odnalezione przez uczonego amerykańskiego Hapgooda, przez niego zbadane i opisane w książce „The Maps of the Ancient Sea Kings" („Mapy dawnych królów mórz"), która zresztą została przetłumaczona na francuski. Wydaje mi się, że mapy te stanowią argument, który trudno odrzucić czy podważyć. Dowodzą one, iż co najmniej 10 000 lat temu kwitła niezwykła wiedza kartograficzna, nie mniejsza od współczesnej. Dla ówczesnych kartografów południkiem wyjściowym był południk przechodzący tam, gdzie później zbudowana została Aleksandria. Wydaje mi się, że cywilizacja ta kwitła przed ostatnią epoką lodowcową.

Natomiast takie fakty, jak na przykład kosmogonia Dogonów są, prawdę powiedziawszy, niewytłumaczalne. Podobnych zaś faktów jest przecież znacznie więcej! Jeśli zaś idzie o megalityczne budowle monumentalne (między innymi o piramidy), to dowodzą one nie tyle stosowania jakichś metod magicznych, ile interwencji ludzi ob-

darzonych wręcz geniuszem i posiadających wiadomości zaiste niepokojące i nieprawdopodobne, jeśli się zważy, kiedy żyli. Działalność tych ludzi pozwalała wykorzystać w sposób niezwykle prosty, a zarazem nadzwyczaj wydajny bardzo prymitywne środki, którymi wówczas dysponowano. W przypadku piramid imię ich genialnego twórcy jest nam znane. Był to Inhotep.

– Czy na sprawy, które porusza Pan w swoich książkach ma Pan dzisiaj pogląd jaśniejszy niż wówczas, gdy formułował Pan swoje wątpliwości?

– Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Mogę tylko stwierdzić, że po to, by na problemy, które poruszyłem w swoich książkach mieć pogląd inny musiałbym rozporządzać jakimiś nowymi dowodami. Aby jednak takie nowe dowody znaleźć, trzeba ich szukać. Tego zaś się nie robi. Pamiętać przy tym należy, jak ograniczony jest zasięg badań archeologicznych. Zaledwie na jednym procencie ziem wynurzonych przeprowadzono dotychczas jakieś poszukiwania. Reszta, to jest 99% jest tymi badaniami nietknięta. Jasną jest więc rzeczą, że wszystko jest tu jeszcze do odkrycia i wszystko jeszcze może się zdarzyć.

– Czy sądzi Pan, że można założyć, iż przedstawiciele pozaziemskiej cywilizacji interweniowali w rozwój biologiczny człowieka, jak też w rozwój naszej cywilizacji? Czy podobne założenie jest zgodne z myśleniem ściśle naukowym?

– Chętnie zgodziłbym się na taką interpretację, gdyby można ją było udowodnić względnie udokumentować. W moim skromnym przekonaniu nic na razie nie pozwala jednak założyć podobnej interwencji w ewolucję biologiczną naszego gatunku. Natomiast co do rozwoju cywilizacyjnego człowieka na naszym globie, to sprawa wygląda inaczej. Dlatego też osobiście gotów jestem przyjąć możliwość takiej interwencji i oczywiście w żadnej mierze nie oznacza to, że rezygnuję ze sposobu myślenia jak najbardziej naukowego.

Sądzę, że opinie francuskiego uczonego wymagają kilku słów komentarza. Otóż profesor Chauvin twierdzi, że istnieje wiele „niepokojących" – jak to określa – dowodów na to, że przed narodzinami naszej kwitła już niegdyś na Ziemi inna cywilizacja, która musiała być oparta na niezwykłej wiedzy. Przeczy to oczywiście wszystkiemu, co głosiły i głoszą tezy oficjalnej nauki. Potrzeba było dziesiątek książek takich autorów, jak Bergier, Pauwels, Awiński, Agrest, Zajcew, Hapgood, Hawkins, Chauvin i innych, spopularyzowanych przez v. Daenikena, Charroux czy Colossimo, by te „heretyckie" poglądy przebiły sobie drogę do świadomości milionów ludzi i by przestały być uważane za takowe.

Muszę przyznać, że poglądy wybitnego biologa bardzo podniosły mnie na duchu. Jestem ostatecznie tylko popularyzatorem. I chciałbym mieć pewność, że nie popularyzuję bajek, zmyśleń czy nieodpowiedzialnych fantazji, ale sprawy i problemy, nad którymi głowią się autentycznie uczeni. Tacy, jak Remy Chauvin.

Wywiąd przeprowadził
i opatrzył komentarzem
Arnold Mostowicz

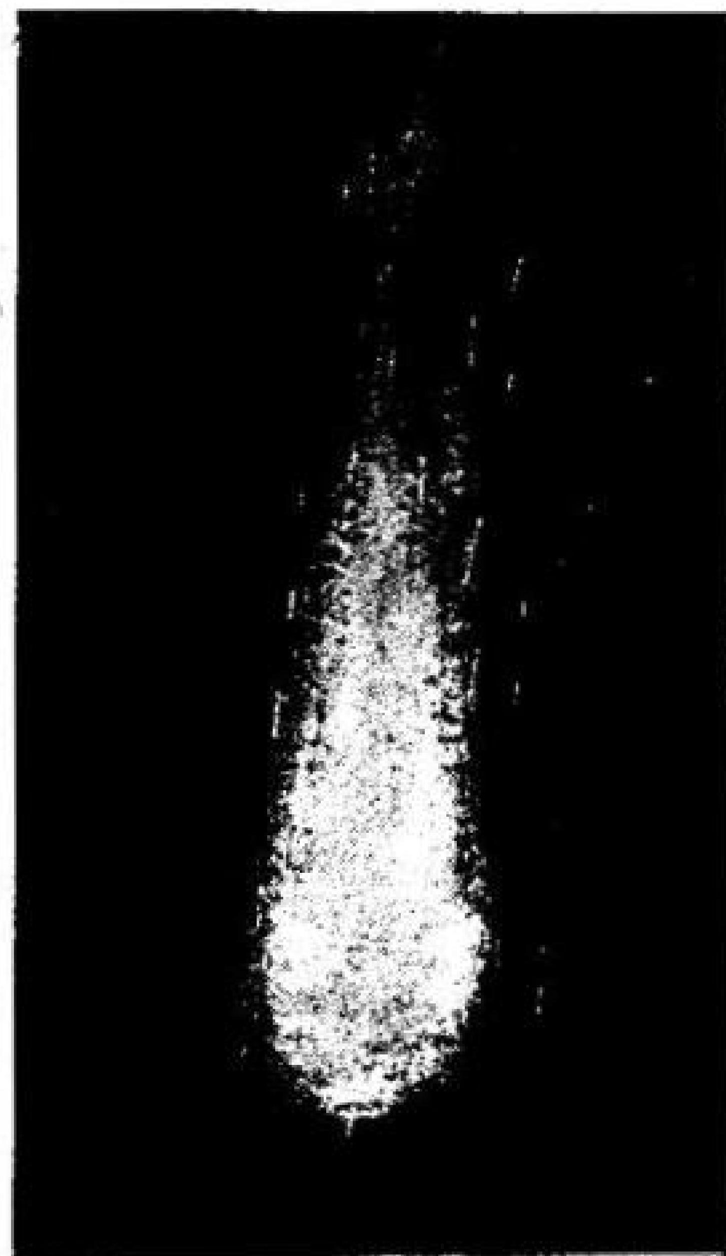
KOMETA HALLEYA ZBLIŻA SIĘ DO ZIEMI

Ze względu na regularność pojawiania się na naszym niebie i wspaniałe efekty świetlne zbliżająca się właśnie do Ziemi kometa Halleya stała się prawdziwym beniaminkiem astronomów na całym świecie. Toteż we wszystkich ważniejszych obserwatoriach astronomicznych rozpoczęły się już intensywne przygotowania do powitania tego niezwykłego gościa z Kosmosu, który regularnie odwiedza Ziemię co 76 lat. Obliczenia tego dokonał angielski astronom Edmond Halley, a działo się to w roku 1705 dokładnie 23 lata po pojawieniu się na niebie nieznanej wówczas komety – w r. 1682. Halley zajął się obliczeniem orbity tego przybysza z Wszechświata i przepowiedział, że kometa znów zbliży się do Ziemi w roku 1758, co istotnie nastąpiło. Wtedy to nadano komecie imię wielkiego astronoma, który obliczył, że „jego" kometa będzie stale pojawiać się na firmamencie ziemskim co 76 lat.

Najbliższy termin pojawienia się komety Halleya w okolicach naszego skrawka Wszechświata przypada na zimę i wiosnę w latach 1985–86. W związku z tym ruszyły pełną parą przygotowania do obserwacji i możliwie najdokładniejszego zbadania tego fascynującego zjawiska. Nie zapominajmy, że w ciągu ubiegłych 76 lat astronomia światowa poczyniła olbrzymie postępy i dysponuje dziś niezwykle precyzyjnymi narzędziami badań, obserwacji i nowymi technikami obliczeń. Już w tej chwili największe teleskopy skierowały się poza orbitę Saturna, gdzie znajduje się aktualnie kometa. W roku 1984 ma wyruszyć w kosmos wielka międzynarodowa flotylla statków kosmicznych z zadaniem maksymalnego zbliżenia się do gościa z Wszechświata i lepszego poznania go. Na lata 1985–86, kiedy to kometa Halleya znajdzie się najbliżej Ziemi i Słońca, przygotowane zostały specjalne misje i programy badawcze.

Komety należą do ciał niebieskich naszego układu słonecznego i bliższe ich zbadanie może przyczynić się do pełniejszego zrozumienia natury tego układu, warunków jego powstania przed 4,6 miliardami lat. Pewną niedogodność stanowi jednakże fakt, że tym razem, z powodu innej pozycji Ziemi w stosunku do orbity komety Halleya, nie będzie ona tak wyraźnie widoczna jak to miało miejsce przed 76 laty – to znaczy w roku 1910. W momencie bowiem, kiedy wspaniały, świetlny warkocz komety osiągnie swą maksymalną, widzialną z Ziemi wielkość, sięgającą 80 milionów kilometrów (!), kometa znajdować się będzie po przeciwległej od Ziemi stronie Słońca. Dla nas, zwykłych śmiertelników, nie dysponujących ani teleskopami, ani odpowiednim przygotowaniem do obserwacji astronomicznych, kometa Halleya będzie najlepiej widoczna – także gołym okiem – w grudniu 1985 oraz w marcu i kwietniu 1986.

Uczeni mają wszakże nadzieję zrekompensować te niedostatki, wynikające z niekorzystnego położenia Ziemi w stosunku do orbity komety, najnowszą technologią. Czynione są intensywne przygotowania, aby spotkać przybysza ze Wszechświata niejako „w połowie drogi". Umożliwią to wysłane zawczasu cztery statki kosmiczne wyposażone w odpowiednie instrumenty do badania komety. Najbardziej ambitne plany badawcze przygotowali uczeni radzieccy we współpracy z francuskimi. W grudniu 1984 dwa pojazdy kosmiczne „Wenus-Halley 1" i „Wenus-Halley 2" wyruszą na spotkanie z kometą. „Spotkanie" odbędzie się 8 i 15 marca 1986, kiedy to oba statki kosmiczne zbliżą się do jądra komety Halleya na odległość ok. 10 tys. kilometrów. W ciągu kilku-



nastu godzin, dzięki umieszczonej na statkach aparaturze oraz kamerom, będzie można dokonać licznych zdjęć fotograficznych i zebrać wiele nowych interesujących danych, dotyczących budowy komety. Zebrane informacje pozwolą m.in. zweryfikować najnowszą hipotezę Freda Whipple'a z ośrodka badań w Harvardzie w USA, według której kometa Halleya to po prostu olbrzymia, mocno przybrudzona „śnieżna kula", kawał skały lodowej z zamarzniętego gazu i pyłu. Obok uczonych radzieckich i francuskich wielkie zainteresowanie kometą Halleya okazali też Japończycy i uczeni zachodnio-europejscy. Europejska Agencja Przestrzeni Kosmicznej przygotowuje wystrzelenie w kierunku komety Halleya statku kosmicznego „Giotto". Wystrzelony w dniu 10 lipca 1985 „Giotto" znajdzie się 13 marca 1986 około tysiąc kilometrów od komety. Również i na jego pokładzie znajdą się odpowiednie instrumenty i kamery zdolne do przeprowadzania badań składu cząstek komety, zachodzących w jej materii procesów chemicznych i właściwości jej pola magnetycznego. Z kolei uczeni japońscy przygotowali rakietę kosmiczną „Planeta A", która znajdzie się w przestrzeni kosmicznej 14 sierpnia 1985 i zbliży się do komety Halleya 8 marca 1986, tego samego dnia co pierwszy statek radziecki.

Uczeni amerykańscy nie uzyskali potrzebnego poparcia finansowego dla zorganizowania osobnej misji eksploracyjnej wokół komety Halleya. Aby jednak nie zmarnować wielkiej szansy postanowili umieścić niektóre ze swoich instrumentów badawczych na statku kosmicznym Europejskiej Agencji Przestrzeni Kosmicznej.

28 listopada 1985 kometa znajdzie się najbliżej Ziemi, to znaczy przesuwać się będzie po firmamencie w odległości 57,7 mil. km od naszego globu. Jeszcze bliżej Ziemi znajdzie się 9 lutego 1986 – 55,8 mil. km, kiedy wejdzie na orbitę okrążającą Słońce.

(kos)

z tamtej strony lustra

WIDZIEĆ BEZ PATRZENIA

Dzisiaj pierwsza wyprawa „na tamtą stronę lustra", czyli do krainy, gdzie wszystko jest możliwe. Ponieważ mamy mówić o zjawiskach, które współczesna nauka zwykła zaliczać do fantazji (w najlepszym wypadku) lub uznawać je za wynik szalbierstwa (najczęściej), nie od rzeczy będzie przedstawić miejsce doświadczeń i ludzi, którzy te doświadczenia podjęli.

Zatem miejsce: Instytut Badawczy Stanforda (Stanford Research Institute), Menlo Park, Kalifornia, Stany Zjednoczone. Jedna z najlepiej wyposażonych i sławniejszych placówek naukowych nie tylko w USA, ale i na świecie. Znakomite osiągnięcia, zwłaszcza w pewnych działach fizyki doświadczalnej i elektroniki.

I ludzie: Russel Targ i Harold Puthoff, profesorowie fizyki, pracują w tamtejszym Laboratorium Elektroniki i Bioinżynierii. W środowisku fizyków znani z publikacji na temat technologii wysokich próżni, optyki nieliniowej, zjawisk kwantowych w optyce itd. Cenieni za dokładność i rzetelność badawczą – może dlatego w 1974 r. powierzono im zbadanie sławnego Uri Gellera, który, jak pamiętamy, zgina metale bez użycia siły mięśni. Raport Targa i Puthoffa opublikowało brytyjskie pismo naukowe „Nature", co już wystarcza, by sprawę traktować poważnie. Uri Gellerem zajmiemy się przy innej okazji – teraz tylko przypomnę, że ów raport nikogo wtedy nie zadowolił: autorzy nie wykluczyli, że Geller może być genialnym iluzjonistą, ale nie udało im się stwierdzić, że jest nim na pewno. Natomiast od tego czasu obaj fizycy zainteresowali się czymś, co nieuprzedzeni badacze nazywają spostrzeganiem pozazmysłowym (nazwa angielska: „extra sensory perception", w skrócie ESP). Chodzi tu, najogólniej mówiąc, o spostrzeganie realnie istniejących rzeczy bez udziału znanych zmysłów; jest to właściwość, o której można powiedzieć najostrożniej, iż pewni ludzie mniemają, że nią dysponują.

W 1975 r. Targ i Puthoff podjęli w Instytucie Stanforda badania nad dość szczególnym przypadkiem ESP, mianowicie nad zjawiskiem, które nazwali „remote viewing". Nie jest łatwo znaleźć dobrą nazwę po polsku; w tłumaczeniu „z grubsza" brzmiałoby to chyba „odległe widzenie", ale byłaby to nazwa myląca. Chodzi bowiem raczej o „widzenie bez patrzenia" – czyli o postrzeganie wyobraźnią (?) realnej sytuacji, obiektywnie istniejących przedmiotów i miejsc – bez ich bezpośredniego oglądu. Jest to więc rodzaj „widzenia rzeczy bez ich oglądania". Słowo „remote" ma w angielskim jeszcze inne znaczenie: transmisja tv spoza studia, oglądanie np. meczu czy koncertu za pośrednictwem kamery tv. Zaraz zobaczymy, że i to znaczenie ma jakiś związek z doświadczeniami z Menlo Park; ludzie, obdarzeni zdolnością „widzenia bez patrzenia" posługują się jakby cudzymi oczami; inaczej mówiąc, dostrzeżenie wyobraźnią jakiegoś nieznanego im miejsca wymagało obecności w tym miejscu innego człowieka.

Ale przejdźmy do samych badań. Było ich wiele, różnego rodzaju. Pełny opis znajduje się w książce-raporcie Targa i Puthoffa pt. „Mind reach. Scientist Look at Psychic Ability", wydanej niedawno w USA. W felietonie mogę opisać jedynie schemat podstawowego doświadczenia. Polegało ono na tym, że uczestnikom eksperymentu przedstawiono zespół pracowników naukowych. Następnie wybrani z tego zespołu pracownicy jechali do jakichś miejscowości, również wybranych drogą losowania spośród wielu, i wszystko to odbywało się oczywiście w absolutnej tajemnicy (gwarantowanej różnymi zabezpieczeniami). Następnie uczestnik doświadczenia (cały czas dobrowolnie izolowany w pomieszczeniach laboratorium) otrzymywał taką wyłącznie informację: „Oto ktoś z naszego zespołu ruszył w podróż. Proszę się skupić i następnie opisać miejsce na Ziemi, do którego ów pracownik dotarł".

Integralną część raportu Targa i Puthoffa stanowią zestawy: wykonane przez badanych rysunki domniemanych miejsc pobytu pracowników zespołu badawczego i zdjęcia miejsc, w których owi pracownicy rzeczywiście przebywali. Rolę pomocniczą odgrywają opisy tych miejsc – dokonane (oczywiście oddzielnie) przez badanych i badających.

Czytelnicy mogą mi nie wierzyć na słowo, ale zapewniam (co łatwo zweryfikować, zajrzawszy do książki, więc ewentualne kłamstwo miałoby krótkie nogi!): porównanie rysunków ze zdjęciami i porównanie opisów nie pozostawia cienia wątpliwości – chodzi o *te same* miejsca geograficzne! Przyznam, iż nawet na sceptyku (za takiego się uważam) robi to niezwykłe wrażenie. Mamy przed sobą zdjęcie przywiezione z podróży (której cel – przypominam – był wylosowany w ostatniej chwili przed wyjazdem). I mamy rysunek, wykonany przez osobę „zdalnie widzącą" *przed* powrotem podróżnika. Rysunek bez zdjęcia nic nie mówi – schemat planu jakiegoś portretu, widać sylwetki statków, ich rozmieszczenie. Porównanie ze zdjęciem jest szokujące: oczywiście, to ten właśnie port, widać wyraźnie statki i inne szczegóły w takim samym układzie, jak na rysunku. Opisy również są zdumiewająco zgodne. Oszustwo? No cóż, takich zestawów jest w raporcie sporo, opis metodyki doświadczeń pozwala się zorientować, iż postarano się wykluczyć wszelkie możliwości oszustwa na tyle, na ile może to uczynić rzetelny badacz.

Jeden z rozdziałów raportu poświęcony jest w całości opiniom krytycznym, argumentom *przeciw* możliwości istnienia zjawisk spostrzegania pozazmysłowego. Wnioski zaś raportu są dość skromne w tym sensie, iż Targ i Puthoff nie próbują wyjaśniać wyników swych doświadczeń, nie formułują żadnej hipotezy na ten temat. Z całą odpowiedzialnością stwierdzają tylko, co następuje:

1. Istnieje obiektywnie zjawisko zwane tutaj „remote viewing";
2. Taki rodzaj „widzenia bez patrzenia" nie ogranicza się do krótkich odległości, w ogóle nie zależy od odległości;
3. Właściwość ta związana jest raczej z prawą półkulą mózgu (jest to wniosek oparty na analizach rysunków i opisów);
4. „Widzenie bez patrzenia" ujawniło się w różnym stopniu u wszystkich, którzy brali udział w eksperymentach (było ich wielu, w każdym razie chodzi o liczby statystycznie znaczące). Właściwość ta lepiej ujawnia się u tych, którzy sami o sobie sądzą, iż ją posiadają, u innych pozostaje jakby w uśpieniu, ale można ją „usprawnić" przez ćwiczenia.

Oto i wszystko. Raport opatrzony jest ponadto wstępem wybitnej uczonej amerykańskiej, zmarłej niedawno prof. Margaret Mead. Specjalnością prof. Mead była antropologia kulturowa – jeśli poproszono ją o wstęp do tego rodzaju książki, to zapewne ze względu na opinię, jaką uczona cieszyła się w środowisku; była znana z wielkiej rzetelności i z tego, że nie firmowałaby nazwiskiem niczego „podejrzanego". Margaret Mead podkreśla we wstępie, że w swych badaniach Targ i Puthoff ściśle przestrzegali wszelkich kanonów prac laboratoryjnych, że byli niemal „przesadnie ostrożni". „Książka ta – pisze M. Mead – jest jasnym i prostym opisem serii pomyślnych doświadczeń, dowodzących istnienia „remote viewing" – ludzkiej zdolności, dotąd nie poddawanej naukowym ocenom". Wszyscy zostaliśmy wychowani w świecie nauki, która przecież wyklucza tego rodzaju zjawiska (przypomnijmy sobie, jak wyśmiewano u nas „widzącego bez patrzenia" Klimuszkę). Kiedy referowałem treść raportu Targa i Puthoffa pewnemu naszemu znakomitemu fizykowi, powiedział: „Jest to ten rodzaj rzeczy, w którą nie uwierzę, nawet choćby istniała naprawdę".

Nam zaś pozostają trzy drogi. Pierwsza – uznać jednak całą sprawę za fałszerstwo lub omyłkę. Druga – przyjąć za możliwe istnienie u ludzi nieznanego zmysłu. Trzecia (przypuszczam, że najrzadziej brana pod uwagę) – uznać możliwość jeszcze zupełnie innego rozwiązania tej zagadki...

Maciej Iłowiecki

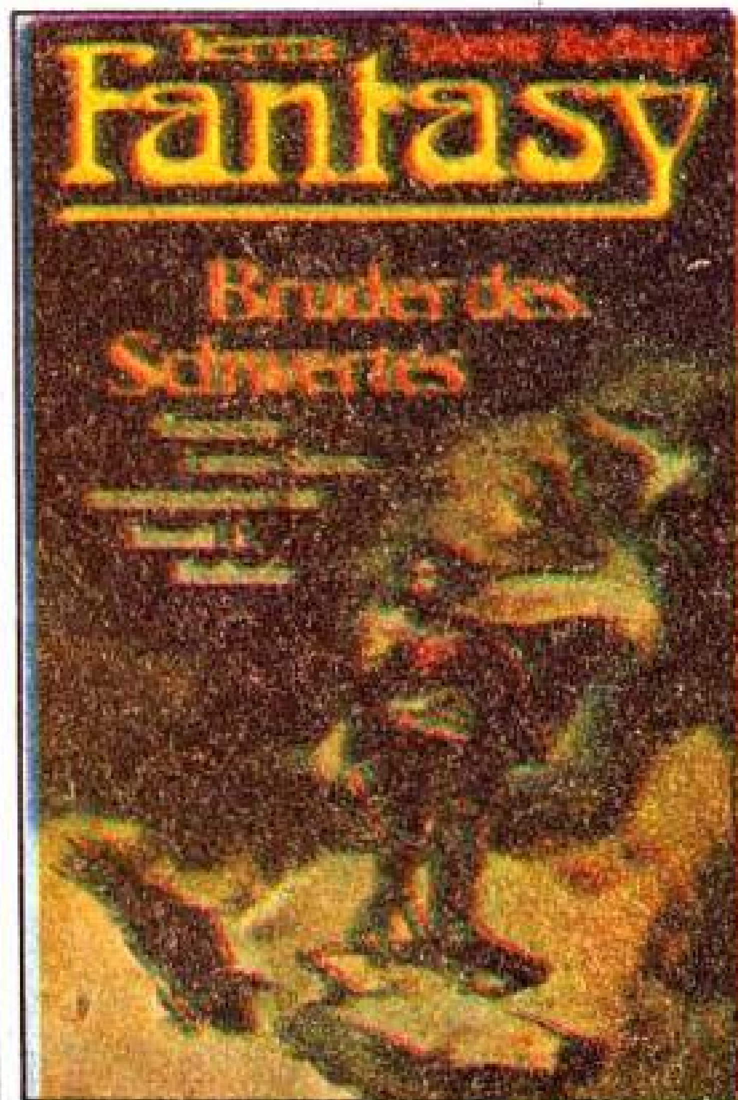


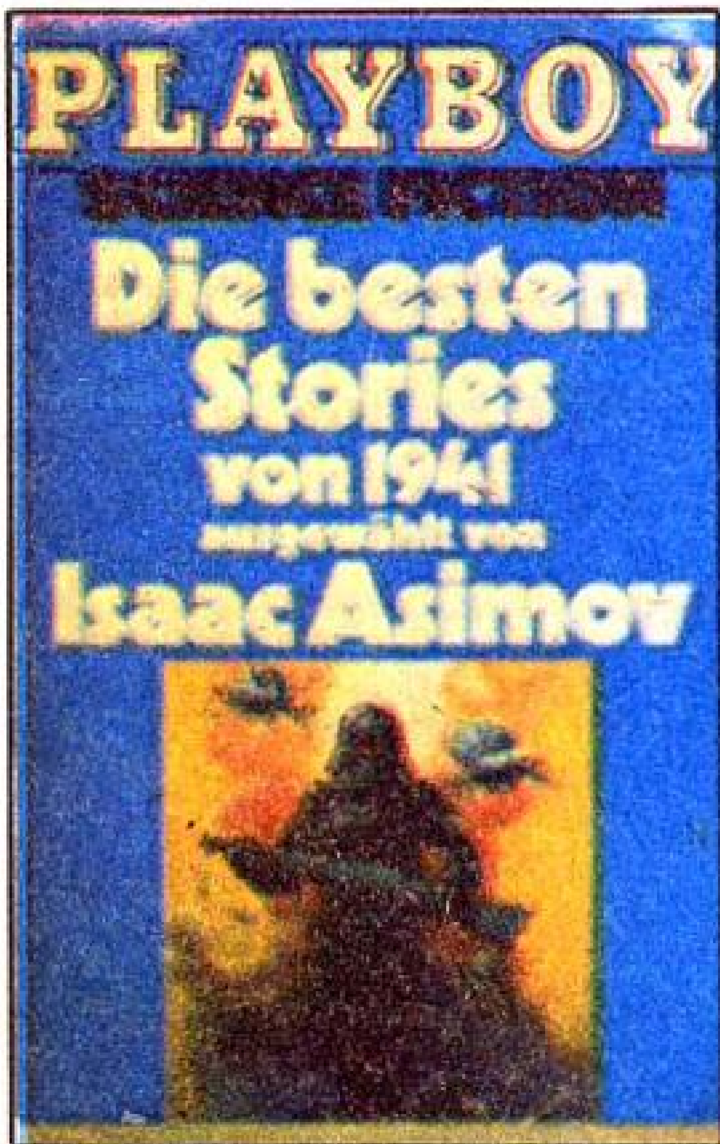
Marek Zaleski

ARTHUR MOEWIG VERLAG Monachium

Miłośnikom SF na świecie znane jest przede wszystkim jako „ojczyzna" Perry Rhodana – największej zeszytowej i książkowej serii kosmicznych przygód przetłumaczonej na ponad trzydzieści języków, której łączny nakład przekroczył siedemset milionów sprzedanych egzemplarzy. Miłośnikom książki w ogóle – jako wydawca bardzo starannie opracowanych pocketbooków o nietypowym formacie i o szerokiej gamie prezentowanych tematów.

Pierwsze zeszytowe wydania naukowej fantastyki ze znakiem Moewig Verlag ukazywać się zaczęły w 1957 roku. Wtedy to na niemieckojęzycznym rynku księgarskim pojawił się pierwszy barwny zeszycik serii „Terra", która towarzyszyła licznym rzeszom czytelników przez 12 lat – do 1968 roku. Ukazało się w niej łącznie 555 zeszycików prezentujących obok oryginalnych dzieł autorów niemieckich popularne wydania znanych dzieł renomowanych autorów: Briana Aldissa, A.E. van Vogta, Philipa K. Dicka, Poula Andersona, Arthura C. Clarke, Edmunda Coopera, Lestera del Reya, Roberta Silverberga, Gordona Dicksona, Roberta A. Heinleina i wielu, wielu







innych. „Terra" stworzyła również specyficzny typ pisarza – twórcy olbrzymiej wręcz ilości pisanych na zamówienie zeszytowych opowieści, niejednokrotnie opartych na tematach znanych dzieł. Najbardziej znanymi stali się w tej grupie Kurt Mahr i Hans Kneifel. Sam Mahr w 1960 roku napisał i opublikował 22 powieści.

Aczkolwiek nastawiona głównie na masowego czytelnika „Terra" zdobyła sobie na niemieckojęzycznym rynku znaczącą pozycję nie tylko ilością, ale i nadspodziewanie, jak na tak popularną serię, wysokim poziomem, znacznie przewyższającym inne tego typu wydawnictwa.

Rozszerzeniem serii „Terra" stała się w 1962 roku nowa, również zeszytowa, seria „Terra Extra", początkowo oparta na tekstach seriali K.H. Scheera i Clarka Darltona, później publikująca również utwory P.K. Dicka, Gordona Dicksona, Andre Norton, Murray Leistnera i innych. W przeciągu sześciu lat w serii „Terra Extra" ukazały się 182 tomy.

Fenomenalne powodzenie ukazującego się od 1961 roku „Perry Rhodana" nie tylko usunęło z rynku szereg konkurencyjnych serii, ale uderzyło również w samo Moewig Verlag. W 1968 roku sprzedaż obu powyższych serii znacznie się obniżyła, a cotygodniowe wydania ustąpiły miejsca wydaniom co dwa tygodnie. Nie chcąc tracić z rynku znanego już i mającego swoich stałych odbiorców towaru, wydawnictwo zdecydowało się na połączenie obu cykli w jeden pod zmienioną nazwą „Terra Nova". Nie była to jednak próba zbyt udana. Po trzech latach, z dorobkiem 190 wydanych tomików, pomimo publikowania książek Bertrama Chandlera, Edwina Charlesa Tubba (twórcy między innymi scenariusza do znanego i u nas serialu „Kosmos 1999") i Roya Sheldona, seria została zlikwidowana z powodu stale zmniejszającego się zainteresowania czytelników.

Nieco lepiej powiodło się z drugą próbą odrodzenia „Terry". Seria „Terra Astra" ukazująca się od 1971 roku, oparta początkowo na przekładach, ukazuje się do dziś dnia, prezentując już ponad 450 tomów.

Równolegle z wszystkimi mutacjami „Terry" nakładem Moewig Verlag ukazywało się od 1958 roku wydanie specjalne „Terra Sonderband" prezentujące przede wszystkim średniej i wysokiej klasy autorów amerykańskich i brytyjskich takich jak: Frederic Brown, Hal Clement, Isaac Asimov, Andre Norton, John Brunner, A. E. van Vogt, a także czołówkę pisarzy niemieckich. Łącznie w serii „Terra Sonderband" ukazało się do 1965 roku 99 tytułów. W 1965 roku „Terra Sonderband" przekształcone zostało w „Terra Taschenbuch" – obecnie obok Heyne SF i Goldmann SF najpopularniejszą serię książkową w RFN. Do dziś nakładem „Terra Taschenbuch" ukazało się ponad 350 książek. Łącznie zaś w różnych mutacjach serii „Terra" redagowanej głównie przez Günthera M. Schelwokata wydawnictwo zaprezentowało czytelnikom ponad 1700 książek z gatunku SF.

W 1958 roku Moewig Verlag spróbował również wprowadzić na RFN-owski rynek specjalistyczny magazyn SF. Była to, redagowana przez Lothara Heinecke, niemiecka licencyjna wersja znanego amerykańskiego „Galaxy". Próba ta jednak nie powiodła się. Po 15 wydanych numerach pismo zostało na początku 1959 roku zamknięte.

8 września 1961 roku pod tytułem „Unternehmen Stardust" ukazał się pierwszy zeszyt „Perry Rhodana". Nikt nie przewidywał wówczas, iż dzień ten stanie się początkiem największego sukcesu wydawniczego w dziedzinie SF. Pomysłodawcy serii: Clark Darlton (pisarz i wydawca Walter Ernsting, założyciel Science Fiction Fan Club Deutschland) i K. H. Scheer planowali napisanie trzydziestoodcinkowego serialu. Tymczasem powodzenie zamysłu zmusiło ich do kontynuowania podjętej pracy przez wiele lat i uczyniło z nich autorów niezwykle w świecie popularnych. Do dziś w serii zeszytowej ukazało się prawie 1000 tomików, zaś w serii książkowej ponad 200. Od 1978 roku ukazuje się specjalne wydanie w twardej oprawie z trójwymiarową okładką, zaś od 1979 roku dwumiesięcznik pod nazwą „Perry Rhodan SF Magazin". Według opowieści z omawianej serii nakręcono szereg

Dokończenie na str 58

ARTHUR MOEWIG VERLAG Monachium

Dokończenie ze strony 57

filmów telewizyjnych i pełnoekranowych, wydano dziesiątki komiksów.

Twórcami tego największego hitu SF wszechczasów są obok pomysłodawców Clarka Darltona i K. H. Scheera: Kurt Mahr, W. W. Shols, Kurt Brand, William Voltz, H.G. Ewers, Conrad Shepherd, Hans Kneifel, Ernst Vlcek, H.G. Francis, Harvey Patton, Peter Terrid, Marianna Sydow, Klaus Fischer, H.J. Frey, Peter Griese, Horst Hoffmann i V.K. Giesa.

Mniej znaną na świecie, choć równie jak „Perry Rhodan" popularną w RFN, jest uzupełniająca ją seria „Atlan". Wydawana od 1969 roku, starannie przygotowana przez K.H. Scheera liczy dziś już około 500 tomików. Jej akcja oparta na schematach westernu i kryminału opowiada o niezwykłych przygodach grupy agentów Organizacji Gwiazd Zjednoczonych. Pisana przez tę samą co i „Perry Rhodan" grupę autorów często zahacza akcją o znane z poprzedniej serii wydarzenia, a nawet wprowadza tych samych bohaterów.

W 1971 roku wszystkie zeszytowe wydawnictwa Moewig Verlag zakupione zostały przez grupę wydawniczą Bauera i skierowane do produkcji w Erich Pabel Verlag-Rastatt, należącego do tej samej grupy wydawniczej. Redaktorem naczelnym Erich Pabel Verlag był zresztą sam Clark Darlton. Na pewien czas produkcja popularnych serii została zastopowana, w przeciągu czterech lat jednak, po dużych zmianach organizacyjnych, wszystko powróciło do stanu początkowego.

W roku 1980 Arthur Moewig Verlag przystąpiło do odbudowy swojego programu wydawniczego SF. Stało się to możliwe dzięki podjęciu w wydawnictwie pracy przez Hansa Joachima Alpersa – wieloletniego redaktora jednego z dwóch największych niemieckich magazynów SF – „Science Fiction Times". Alpers przedstawił kierownictwu firmy bogaty program, który w krótkim czasie przybierać zaczął konkretne kształty. Obecnie Moewig Verlag wydaje kilkadziesiąt powieści SF rocznie, liczne antologie (wśród nich redagowaną przez Isaaca Asimova antologię w koprodukcji z „Playboyem") oraz wydawany w formie książkowej, redagowany przez Hansa Joachima Alpersa magazyn „Kopernikus". Wśród stale publikowanych w serii Moewig Verlag autorów znajdujemy nazwiska Marion Zimmer Bradley, Roberta Silverberga, Edmunda Coopera, Philipa Jose Farmera, Lestera del Reya, Rogera Zelaznego, Joan D. Vigne, George'a Martina, Michaela Bishopa i innych twórców o ustalonej, światowej renomie.

Andrzej Wójcik

„NOSTROMO"

Większość z nas zna bądź słyszała o ósmym pasażerze Nostromo. Dzięki szeroko zakrojonej, prowadzonej przez Redakcję akcji poszukiwawczej zgłosił się do „Fantastyki" mało w Polsce znany pasażer „Nostromo" nr 2. Najpierw jednak napiszmy o pierwszym. Jest nim oczywiście „Orbita", czyli obecny Poznański Oddział Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki, mieszczący się na Osiedlu Kosmonautów 118 w Poznaniu. Niewłaściwy adres otrzymaliśmy od władz PSMF, za sprostowanie dziękujemy Pawłowi Porwitowi – sekretarzowi Poznańskiego Oddziału PSMF. Na „orbitę" jeszcze wrócimy zgodnie z zasadą prezentacji kolejnych klubów miłośników SF w Polsce i na świecie, a na razie zapoznajmy się z pasażerem numer 2 – „Nostromo". Klub powstał już w 1978 roku i składał się wtedy z kilkunastu miłośników filmu SF. Zagorzałych zwolenników X muzy fantastyczno-naukowej jest w naszym kraju bardzo wielu, czego dowodem listy, przysyłane przez nich do redakcji Fantastyki. Nie było jednak do tej pory grupy tak zdecydowanej na specjalizację i tak wytrwałej, jak chłopcy z Poznania. Po wielu staraniach (w międzyczasie liczba członków „Nostromo" wzrosła do kilkudziesięciu osób) udało się znaleźć lokal klubowy przy Spółdzielni Mieszkaniowej „Osiedle Młodych". I gdy wszystko już zaczęło się układać, kiedy powstały pierwsze plany rozszerzenia działalności – wszystko runęło. Klub musiał zrezygnować z wywalczonego lokalu. A jednak działalność Klubu nie ustała. Poznańscy miłośnicy filmu SF spotykali się w prywatnym mieszkaniu obecnego prezesa „Nostromo" – Andrzeja Bulskiego. Swoje próby wydawania powielaczowego pisemka oraz kręcenia pierwszych filmów klubowcy sami wspominają jako dość naiwne. Bohaterami ich amatorskich filmów bywali różnych typów supermeni, drakule czy wampiry. Najważniejsze było to, aby coś się tam na ekranie poruszało. Niezależnie jednak od takich prób organizowano również spotkania połączone z projekcją filmów SF. I wreszcie ostatni, pozytywny efekt działań organizacyjnych – współpraca z Poznańskim Pałacem Kultury. Do czerwca 1983 roku „Nostromo" będzie sekcją klubu filmowego PPK, od września br. stanie się samodzielną pracownią Pałacu Kultury. W imieniu Klubu dziękujemy kierownictwu PPK, bo też obecna sytuacja stworzyła klubowi „Nostromo" dość duże perspektywy. Jest więc możliwość wypożyczania filmów z OPRF, Filmosu i Filmoteki, jest – dzięki wydawnictwu Pałacu Kultury – szansa wydawania klubowego pisma poświęconego szeroko pojmowanej problematyce filmu fantastyczno-naukowego. Znając konsekwencję i zdecydowanie wytrwałych „pasażerów z Nostromo" można wierzyć, że szanse te nie zostaną zmarnowane. Klub „Nostromo" zaprasza wszystkich zainteresowanych filmem SF do Poznańskiego Pałacu Kultury przy ul. Armii Czerwonej (Dział filmowy). A więc może już niedługo jak na film, to do Poznania.

(RPA)

KOSMOS ZACZYNA SIĘ NA ZIEMI

Lekarze drzew

Solenie śniegu to – przy wszelkich pożytkach – morderstwo rokrocznie dokonywane na drzewach. Zdaniem specjalistów z RFN do roku 2000 nie uchowa się w miastach ani jedno drzewo, jeżeli nie zneutralizuje się wprowadzanych do gleby szkodliwych związków chloru i sodu. Naukowcy z Uniwersytetu Hamburskiego opracowali mieszankę związków wapnia, potasu i magnezu. 10-centymetrową warstwą tak spreparowanej gleby pokrywa się ziemię dokoła pnia drzewa. Już po jednym „zabiegu" wyzdrowiały wszystkie dęby i 93% kasztanów, na wszystkie 7 000 drzew poddanych leczeniu.

Tego nie wyjmie się z portfela

Argumentem atomistów jest między innymi proste przeliczenie, że eksploatacja konwencjonalnej elektrowni o mocy miliarda watów wymaga w ciągu roku przetransportowania od 2,5 do 3 mln ton węgla. Natomiast elektrownia jądrowa o podobnej mocy potrzebuje zaledwie 40 ton wzbogaconego uranu. Jest to ciężar, który można przewieźć dwoma wagonami kolejowymi lub helikopterami. Niestety nie powiedziano ile kosztuje tona uranu wzbogaconego; z jakiej odległości trzeba to wszystko przetransportować i ile kosztuje ewentualnie skażenie środowiska. Warto przypomnieć, że w Szwecji uruchamia się całą sieć elektrowni wodnych, że Francuzi sprzedają zestawy przenośnych elektrowni wiatrowych. Ponoć alternatywne rozwiązania są dobrym dowodem dalekowzroczności myślenia.

Rozdwojenie... pamięci

Psychologia ma swoje rozdwojenie jaźni. Rozdwojenie pamięci to już problem bioniki. Wiadomo, że „taniec" pszczół jest sposobem przekazywania zaszyfrowanych informacji. Na podstawie obserwacji „nieliniowego układu biologicznego do produkcji miodu" naukowcy z AGH w Krakowie stworzyli komputerowy model pszczelej rodziny, który pozwala na wyznaczenie optymalnych warunków życia pszczołom prawdziwym. Pojedyńczy owad pamięta położenie określonego źródła pożywienia tylko przez kilka dni. Praktyka i komputer wykazały, że nawet po tygodniowej ulewie pamięć o miejscu żerowiska nie zaciera się, lecz przechodzi na inny poziom – do zbiorowej pamięci całego roju. Wprawdzie owa pamięć nie wygląda tak, jak to przedstawił Themerson w „Wykładzie profesora Mmaa", ale...

Przekładaniec

W nowojorskim szpitalu Medical Center we wrześniu ub. roku przeprowadzono 50 udanych operacji przeszczepienia płuc. W USA w ciągu 6 miesięcy 1982 roku dokonano 56 przeszczepień serca (w latach siedemdziesiątych rocznie dokonywano zaledwie 22 takich operacji). Coraz częściej chirurdzy dokonują przeszczepów rdzenia kostnego, trzustki, nerek i wątroby. Znaczny wzrost skuteczności operacji (do 70%) jest zasługą cyklosporiny. Pierwszą wersję tego leku – cyklosporinę A – już w roku 1978 zastosował brytyjski chirurg dr David Y. Calne. Lekarze twierdzą, że lek ten należy stosować bardzo ostrożnie (w USA jego stosowanie wymaga specjalnego zezwolenia władz medycznych) ponieważ cyklosporina niszcząco działa na nerki i wątrobę. Tak więc pacjent chory na płuca na wszelki wypadek powinien dokonać również wymiany wątroby i nerek, co uchroni go przed powtórną wizytą w tym samym szpitalu.

Rewelacyjny przyrząd kosmonawigacyjny

Po wampach, kobietach-wężach, kotach, lianach i diabłach odkryto nowy cud natury. Jest nim kobieta-kompas. Grupie studentów zawiązano oczy i wywieziono ich z uniwersytetu na odległość od 6 do 52 kilometrów. Następnie (bez zdejmowania opaski) kazano im określić kierunki stron świata i kierunek, w jakim znajduje się ich uniwersytet. Po zdjęciu opasek kazano im zrobić to samo. Okazało się, że bez pomocy wzroku lepiej rozeznaje się kierunki. Nie wiadomo, z jakim organem czy częścią mózgu jest ten zmysł związany. Stwierdzono natomiast, że podczas snu działa słabiej, jak również to, że u kobiet przejawia się wyraźniej, niż u mężczyzn. FANTASTYKA apeluje do wszystkich marynarzy i kosmonautów: zabierajcie swoje żony nawet w podróż do najbliższej knajpy. W sposób niezawodny wskażą wam najkrótszą drogę do domu.

Spadek po faraonach...

...to nie tylko piramidy i wszelkiego rodzaju mumie. Również modny obecnie kryzys energetyczny jest wynalazkiem starożytnych Egipcjan. Upadek potęgi Egiptu w XIII w. przed naszą erą (po gwałtownej koniunkturze za panowania Ramzesa II, czyli 1317–1251 p.n.e.) był skutkiem niekontrolowanego wyniszczania lasów. Za Ramzesa II nad Nilem pracowało ponad 1000 pieców ziemnych do wytopu miedzi – każdy z nich dawał jednorazowo około 100 kg metalu prawie bez zanieczyszczeń. Stałe zapotrzebowanie na węgiel drzewny poprzez wyręb lasów powiększało obszary pustyni, ruchome piaski powoli zasypywały kanały nawadniające i pola uprawne. Pesymistów współczesnych pocieszamy, że kamień piramid przetrwał przez całe wieki. A po nas przecież zostaną całe miasta z trwalszego niż skały żelazobetonu.

Współcześni poszukiwacze skarbów...

...zamiast grzebać w śmietnikach powinni koniecznie odwiedzić parę wielkich planet naszego Układu Słonecznego. Dr Merwin Ross (astrofizyk z USA) twierdzi, że w warunkach panujących na powierzchni Urana i Neptuna metan musiał rozłożyć się na wodór i węgiel. Wodór uleciał do atmosfery, zaś węgiel pod wysokim ciśnieniem zamienił się w proszek o strukturze diamentu. Cząstki diamentu mogą krążyć w dolnych warstwach atmosfery tych planet albo opadać na jego powierzchnię jak śnieg. Proponujemy wysłać na Neptuna Andrzeja Rosiewicza z jego brygadą porannych zamiataczy.

Nie każdą latarnię unosi Diogenes

Wyobraźnia jeszcze nie została zmonopolizowana przez pisarzy SF. John E. Candy i John L. Allen – pracownicy NASA z Ośrodka Badawczego w Hampton (Wirginia) – zaprojektowali system oświetlenia amerykańskich miast z kosmosu. Wymagałoby to zainstalowania na odpowiednich orbitach zestawów gigantycznych luster. Każdy taki satelita dawałby światło odbite 56-krotnie silniejsze, niż tarcza Księżyca. Technologicznie pomysł jest realny (choćby dzięki istnieniu promu kosmicznego) lecz stwarza wiele problemów. Nie wiadomo jak reagowaliby ludzie, rośliny i zwierzęta na takie naruszenie cyklu biologicznego. Autorzy nie podają kosztów realizacji projektu. Sugerują jednak, że takie rozwiązanie dałoby znaczne oszczędności energii, zmniejszenie liczby wypadków samochodowych oraz gwałtów i rabunków w słabo oświetlonych parkach. W każdym bądź razie pomysł imponujący i ciekawy.

Jeśli masz w domu wtryskarkę...

...już dziś możesz przystąpić do udoskonalenia swojego małego Fiata. Specjaliści z Poly Motor Research (USA) opracowali czterocylindrowy silnik samochodowy wykonany w 90% z... tworzyw sztucznych. Standardowy silnik Forda z samochodu Mustang waży 187 kg. Nowy silnik – niemal trzykrotnie mniej, bo zaledwie 76 kg. Tworzywa pozwoliły na zmniejszenie hałasu o 30%, wibracji o 60% oraz zwiększenie mocy i oszczędność paliwa o ok. 15%. Jeżeli dodamy do tego kolejne 10% oszczędności paliwa dzięki trzydziestoprocentowemu zmniejszeniu oporów aerodynamicznych (tak stwierdził dr W. Hucho, były specjalista z zakładów Volkswagena) oraz systemy ogniw fotoelektrycznych (pracują nad nimi spece z Deutsche Shell AG) możemy – oczywiście przy pomocy domowego komputera – już za dziesięć lat przerobić swojego fiacika na supernowoczesny samochód. Warto w nim jednak zainstalować jeszcze jeden drobiazg, który przeoczyli wszyscy projektanci. Chodzi o przerzutkę, łańcuch i pedały.

Kosmiczny cennik

W pierwszym komercyjnym locie kosmicznego promu „Columbia" znalazło się miejsce dla nie wojskowych ładunków. Między innymi są tam dwa satelity komunikacyjne kanadyjskiego towarzystwa „Telesat". Za ich transport i ulokowanie na orbicie NASA zażądała 20 mln dolarów. Za ładunek o wadze 30 kg licznik wybija zaledwie połowę wartości Fiata 125p – 3000 dolarów. Natomiast wynajęcie całego promu na tydzień ma kosztować aż 35 mln dolarów.

■

LĄDOWANIE DRUGIE

Wybaczcie mi moje rozczarowanie, moje gniewne rozczarowanie. Na pewno nie mam do niego prawa, nie roszczę sobie nigdy pretensji do wglądania przemocą w to, co dzieje się we wnętrzu człowieka, do wyrywania z tego wnętrza tego, co je najbardziej nurtuje. Ale dalibóg tylko to byłoby naprawdę ciekawe, i tylko to jest ważne dla Was – Czytelnicy, i dla mnie.

Myślałem, że w listach znajdę trochę ekshibicjonizmu. Toż każda literatura i, jakby powiedzieli niektórzy z pogardą, nawet „science fiction", służy konfrontacjom własnych o sobie wyobrażeń z tym co człowiek prezentuje. Tymczasem większość listów ląduje zbyt blisko ziemi i prawie mowy nie ma o tym co we wnętrzach. Nie wiem co Czytelników bawi, a co nudzi (konkretnie, z przykładami), co wywołuje zgrozę, strach czy wściekłość, a co wypogadza umysły i uczucia. Co lubicie oglądać u nas, co czytać, czego byście chcieli, a czego nienawidzicie. Czyżby pokolenia dzisiejsze zatraciły tę podstawową dla ludzkich dusz szarpaninę między złem a dobrem, pięknem i brzydotą, miłością a nienawiścią? A może tylko wstyd przed odkrywaniem się, przed wywnętrzaniem, przed pokazywaniem swych uczuciowych bebechów każe utrzymywać korespondencję z redaktorami pisma, serwującego teksty z różnych światów, na poziomie zdawkowości?

Bardzo pragnąłbym was widzieć podczas czytania, podczas poznawania różnych światów. Oglądać twarze; pamiętam pasję i te wypieki, które u mnie wywołała napotkana w „Astronautach" Lema ruina życia. Uciekałem przed nią z żarem w piersi do młodopolskiej prozy Jerzego Żuławskiego. I odczuwam po dziś dzień tęsknotę przemożną ze starą Ziemią, jak bohaterowie „Na srebrnym globie". Gdzież tamci ludzie, gdzież tamte czasy? Brnę dłońmi i oczami przez setki listów, w których mnóstwo aktualnych konkretów.

Czy nie stałem się jednak niesprawiedliwy? Bo właśnie w tych konkretnych ofertach i dezyderatach czytelniczych mieści się chyba część faktycznej oceny pisma. Jestem chyba staroświecki w swoim pojmowaniu kontaktów z tymi co fantastykę z różnych powodów czytają. Ale proszę mi te powody wyłuszczyć – konkretnie! W słowach! Bardzo o to proszę wraz z całym zespołem. A przy okazji tego drugiego lądowania wśród Czytelników informuję, że w czytaniu i kręgu ocen redakcyjnych są teksty i ilustracje nadsyłane na nasz nieustający konkurs dla amatorów, a także i zawodowców. W jednym z najbliższych numerów ogłosimy pierwsze wyniki. Podaję to do wiadomości panu **B. Brożyniakowi** z Wrocławia i wszystkim innym, którzy nam materiały nadesłali. Tekstów jest bardzo dużo, stąd dotychczasowa zwłoka w ich ocenie.

Nie ma ciągle jeszcze natomiast pomyślnych wiadomości dla poszukujących bezskutecznie pierwszych numerów „Fantastyki". Staramy się wprawdzie o dodrukowanie najbardziej poszukiwanych egzemplarzy pierwszego numeru pisma, ale nie wiemy czy przedsięwzięcie takie się uda – trudności techniczne i papierowe! Na razie więc postanowiliśmy skorzystać z pomysłu p. **Jerzego Sobolewskiego** z Wrocławia i wprowadzić w ramach naszego lądowania wymianę egzemplarzy pisma między poszczególnymi Czytelnikami. Książki lub inne numery czasopism oto „towar" wymienny. P. Sobolewski proponował Clarke'a „Wyspy na niebie" w zamian za pierwszy numer. Proszę o przysłanie książki – w zamian jeden z zainteresowanych kolegów dostarczy Panu pierwszy numer „Fantastyki". Wiadomo nam, że w poszukiwaniu egzemplarzy naszego pisma uczestniczą już także inne gazety. Pomagają w ten sposób i swoim czytelnikom. W tym przypadku chodzi o pomoc „Trybuny Robotniczej" z Katowic dla tamtejszych fanów ze Śląskiego Klubu Fantastyki. Dowiedzieliśmy się o tym od p. **Bohdana Chylińskiego.** Proponujemy podjęcie takich form poszukiwania, jak propozycje wymiany lub ogłoszenie w miejscowej gazecie, p. **Krzysztofowi Tryble** i innym Czytelnikom. Przy okazji informujemy p. Chylińskiego i jego kolegów, że zastanowimy się nad ich propozycją wprowadzenia na nasze łamy powieści „Obcy" R. Scotta. Bardzo mnie cieszą wszelkie konkretne propozycje, prosimy o dalsze. I to nie tylko z dziedziny samej literatury SF, ale także pokrewnych jej dziedzin – nauki, krytyki, informacji. O to właśnie chodzi, abyśmy orientowali się w gustach i potrzebach Czytelników.

Proponując wymianę „Pikniku na skraju drogi" na pierwszy numer „Fantastyki", co niniejszym ogłaszamy, p. **Andrzej Wasielak** z Krakowa porusza w swym liście sprawę wartości baśni (fantasy) jako formy gatunku SF. Wydaje nam się, że źle został zrozumiany artykuł wstępny z 2 numeru naszego pisma: nie tylko nie dyskwalifikujemy baśni fantastycznej, lecz staramy się ją eksponować, czego świadectwem są niektóre nasze publikacje, z „Pieśnią dla Lyanny" Martina włącznie. Niestety, w naszej polskiej współczesnej science fiction elementy baśniowe to duża rzadkość. Typowej „fantasy" nikt właściwie u nas nie pisuje. Jest więc pole do popisu, gdyż moda na baśniowość bierze górę w wielu krajach nad innymi formami SF.

Pana **Józefa Przeczkę** śmiem z przykrością powiadomić, że – chociaż chciałaby dusza – nie mamy możliwości powtarzania na naszych łamach rzeczy, które już były drukowane. Za mało na to miejsca. Wyjątek, i to celowy, robimy wyłącznie dla tzw. pożółkłych kart, to jest dla tych zjawisk naszej literatury SF, które stały się klasyką, które szczególnie zasługują na przypomnienie. Natomiast warta realizacji (tylko gdzie znajdziemy miejsce?) byłaby idea, wymienionego już p. Wasielaka z Krakowa – wprowadzenia na łamy „Słownika zagranicznych autorów fantastyki". Częściowo spełniamy to wymaganie, zamieszczając przy każdym drukowanym utworze notę biograficzną. Zanim zdecydujemy się na „Słownik zagraniczny" to musi wystarczyć.

Jesteśmy przy wymaganiach i propozycjach czytelniczych, wyłowionych z morza listów. Warto by może w tym miejscu zacytować dezyderat p. **Dariusza Jackowskiego** bynajmniej nie odosobniony. Chodzi mu o zagadnienia z dziedziny paranauki: materiały na temat „Trójkąta Bermudzkiego", telepatii oraz zjawisk ujmowanych ogólnie terminem „psi". Materiały takie publikujemy i będziemy publikować w kolejnych numerach „Fantastyki". Należą do nich artykuły m.in. Arnolda Mostowicza, specjalizującego się w tej dziedzinie. Utrzymuje on kontakty zarówno z naukowcami, jak i pisarzami parającymi się tą problematyką. W bieżącym numerze materiał Macieja Iłowieckiego dotyczący widzenia za pośrednictwem innych ludzi. W programie dalszych publikacji mamy również wyjaśnienia i interpretacje wielu zjawisk paranaukowych pióra wybitnych znawców, takich jak np. Artur Koestler z W. Brytanii, dr Jurij Chłodow z moskiewskiego Oddziału Akademii Nauk ZSRR, dr Michał Cernousek z Uniwersytetu Praskiego (Czechosłowacja) i wielu innych.

Panu **Maciejowi Misztalowi** z Nowej Huty w Krakowie dziękujemy za pomysł utworzenia kącika specjalnie dla młodych i pisanego przez młodych. Uważamy jednak, że nie miałoby to celu. Bo po pierwsze, literatura science fiction jest w gruncie rzeczy literaturą ludzi młodych, po drugie, nie sądzę, aby ściśle kwalifikowanie twórczości według wieku miało w naszej epoce jakikolwiek sens. Nie wiek decyduje wyłącznie o wartościach pisarstwa czy o jego odbiorze.

Dziękując Czytelnikom za ich listy i przepraszając za krytykę, na którą sobie na wstępie pozwoliłem pod ich adresem, zwracam się jeszcze do p. **Janusza Kozaka** z Gdańska: działy, które Pan pragnąłby mieć w naszym piśmie właściwie już istnieją. Staramy się o literaturę i krytykę, a także artykuły z dziedziny nauki, które budziłyby „burzę mózgów", prowokowały dyskusję. Niestety, na jakość papieru, na którym drukujemy teksty i ilustracje, nie mamy wpływu. Także i komiks będzie jeszcze na razie ukazywał się w wersji biało-czarnej. Takie są warunki techniczne.

Proszę nam wybaczyć i proszę surowo i rzetelnie oceniać nasze poczynania w Waszym, Czytelnicy, interesie. Na wiele listów odpowiadamy przez pocztę. Dziękuję, uważając – mimo wszystko – że to lądowanie było za miękkie.

Redaktor



Hieronim Kozłowski


...PRZYSZEDŁEM DO AGENCJI, A KTOŚ WALNĄŁ MNIE W GŁOWĘ. W DODATKU TEN CYMBAŁ WRZESZCZAŁ DO BARLEYA - ZWOLNIĆ GO!
I NIC WIĘCEJ NIE PAMIĘTASZ?
SHARP 2100
TELKOM-S


OTRZEŹWIEJ, FUNKY! BYŁEŚ NIEMOŻLIWY! MUSIAŁAM CIĘ UDERZYĆ.
AUUU!...
ALE DLACZEGO W GŁOWĘ?!


...W GŁOWĘ?
SKĄDŻE... - NO! CO TY ROBISZ?!


FUNKY ?


POCZEKAJ! CO TY TU MASZ?!
AAACH! TO BOLI!


W BUDYNKU NAPRZECIWKO.
ZWIJAMY MAJDAN! MAMY LEPSZE ZDJĘCIA NIŻ OCZEKIWALIŚMY... A ZAPROSZENIE DO „INSTANT ROUGE" JUŻ NA MIEJSCU?
TAK. ZAŁATWIONE. JUŻ MA JE W SKRZYNCE NA LISTY.


GODZINĘ PÓŹNIEJ W KLINICE AGENCJI UNIVERSS...
MIAŁEŚ TĘ „ZASZCZEPKĘ" POD SKÓRĄ. URUCHAMIAJĄC NADAJNIK PARALIZOWALI TWOJE SUPEREGO. WYZWALALI W TEN SPOSÓB NAJNIŻSZE INSTYNKTY, POPĘDY, KOMPLEKSY... ŻADNEJ SAMOKONTROLI, ŻADNEJ DYSCYPLINY, SAMA AGRESJA! - TAKI BYŁEŚ, FUNKY.
ABUSE


SZEFIE, TAK MI GŁUPIO...
NIE TWOJA WINA. PODZIĘKUJ LEPIEJ BRENDZIE.
CHCIELI CIĘ SKOMPROMITOWAĆ, FUNKY. OBAWIAM SIĘ, ŻE NA TYM NIE POPRZESTANĄ.
BIP-BIP-BIP-
!
TERAZ WŁAŚNIE ZNÓW NADAJĄ POBUDZENIE! ZARAZ WMONTUJĘ PANU PRZEKAŹNIK DO KOLCZYKA ABY TO SYGNALIZOWAŁ ZA KAŻDYM RAZEM.
WIĘC PODEJMIJMY ICH GRĘ, FUNKY. ZACHOWUJ SIĘ TAK, JAKBY „TO" DZIAŁAŁO NADAL.


Z PRZYJEMNOŚCIĄ! TRZEBA TEŻ WYKORZYSTAĆ ZAPROSZENIE NA JUTRO DO „INSTANT ROUGE". TO CHYBA JEST OD NICH.
TYLKO NIE WCZUWAJ SIĘ ZA BARDZO W ROLĘ, FUNKY!
BĘDZIEMY TAM Z TOBĄ. ZACZEKAMY, AŻ SIĘ ODSŁONIĄ!


NAZAJUTRZ...
EXCLUSIVE!
INSTANT ROU
Special! FULL SERVICE


UPŁYNĘŁA GODZINA...
UWAŻAJ, JEST PRZY BARZE. CZEKAMY TYLKO NA SYGNAŁ... -JUŻ.
BAR


...UDAŁO SIĘ ZWABIĆ SENATORA. ROZPOCZYNAJCIE AKCJĘ. -POWTARZAM...
BIP-BIP-BIP! ZACZEŁO SIĘ! -SZKODA...


JEDEN JUŻ JEST! A DRUGI?.. -WYCHODZI?!
CZEGO?
KOLEŚ, ZŁAŹ ZE STOŁKA!
EXIT


SPADAJ, GŁĄBIE!
UUUCH!
EXIT


TERAZ MUSI ZAPAMIĘTAĆ TEN WĄSIK, FAJKĘ I ŻABOCIK!
BANG

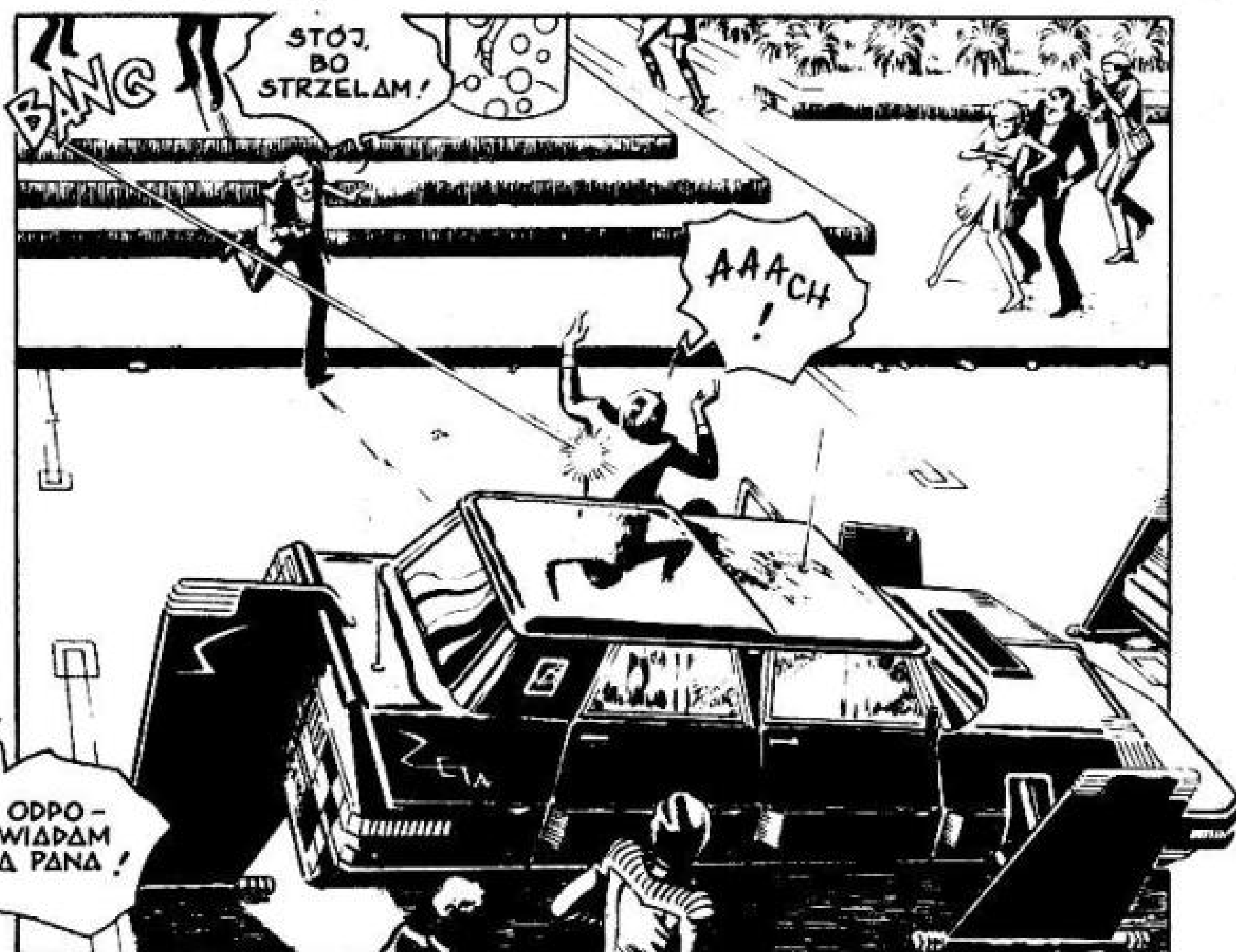

! NA ZIEMIĘ!


CZEKAJ DRANIU!
POLICJA!


?
...NAPISALI ŻEBYM TU BYŁ O GODZ.23. JEŚLI CHCĘ POZNAĆ PRAWDĘ...
STÓJ!
O.K.! JEST SENATOR! I TERAZ FUNKY GO DZIABNIE!
!


PSIAKREW, TO WARIAT!
-BIP -BIP


...O AGENCJI UNIVERSS... O CO CHODZI? – A TU, CO SIĘ DZIEJE?!
DO WOZU, SENATORZE!
ODPOWIADAM ZA PANA!


BANG
STÓJ, BO STRZELAM!
AAACH!

FUNKY MA KŁOPOTY

PAROWSKI ● RODEK ● POLCH







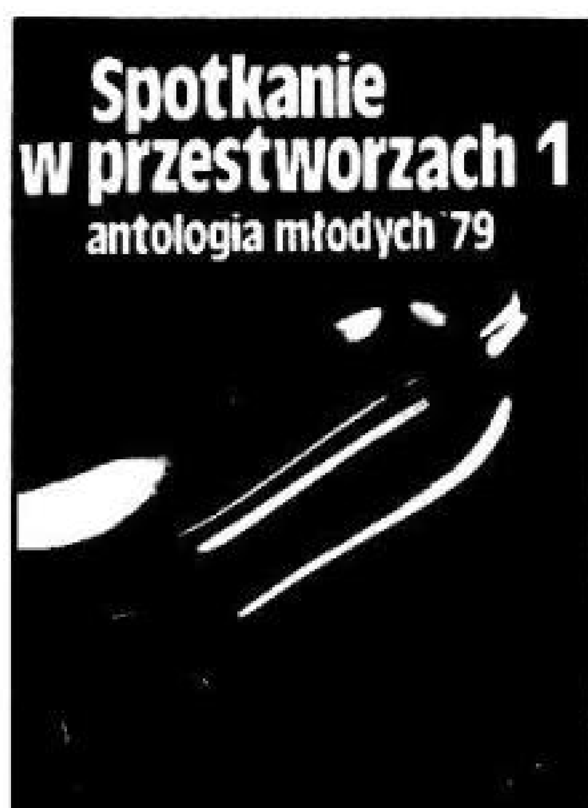






CDN.

LISTA BESTSELLERÓW



Na obu listach – czytelników i krytyków olbrzymie zmiany! Po pięciu miesiącach niepodzielnego panowania, pierwszego miejsca na liście krytyków musiał ustąpić Januszowi Zajdlowi Stanisław Lem! „Limes inferior", książka, która jednogłośnie zajęła czołową pozycję i obrosła legendą na długo przed ukazaniem się na księgarskim rynku. Czytana w maszynopisie, w korektorskich odbitkach, opowiadana na towarzyskich i klubowych spotkaniach fantastów funkcjonowała w polskim światku SF już od kilku lat. Ale też historia jej powstania jest, jak na dzieło tego gatunku w Polsce, niezwykła.

W lutym 1977 roku Ogólnopolski Klub Miłośników Fantastyki i Science Fiction obchodził w podziemiach studenckiego klubu „Ubab" pierwszą rocznicę swego powstania. Wśród różnych atrakcji przygotowanych przez organizatorów dla licznie zgromadzonych gości znalazł się i niezwykły w swej formie „konkurs literacki". Czterech znanych pisarzy SF pisało opowiadanie na zadany temat. Brzmiał on „Lądowanie latającego talerza na dachu domu Adama Wiśniewskiego-Snerga". Zwycięzcą konkursu został właśnie Janusz Zajdel. Doszedł on do przekonania, że Snerg może być znakomitym wzorcem bohatera SF. Potraktował zabawę poważnie i w rok później zgromadzonym na letnim obozie w Soczewce członkom OKMFiSF zaprezentował zamieszczone później w tomie „Ogon diabła" opowiadanie „Dzień liftera". Z biegiem czasu świat przedstawiony utworu rozrósł się do tego stopnia, że starczyło go na powieść.

Sądzimy, że nikt się nie zawiedzie i zmiana na pozycji lidera listy dla nikogo raczej zaskoczeniem nie będzie. Z żalem natomiast musimy odnotować fakt, że do końca roku nie ukazał się szereg zapowiedzianych książek oczekiwanych przez czytelników. Zaległości wydawnicze rosną więc dalej. ■

CZYTELNICY:

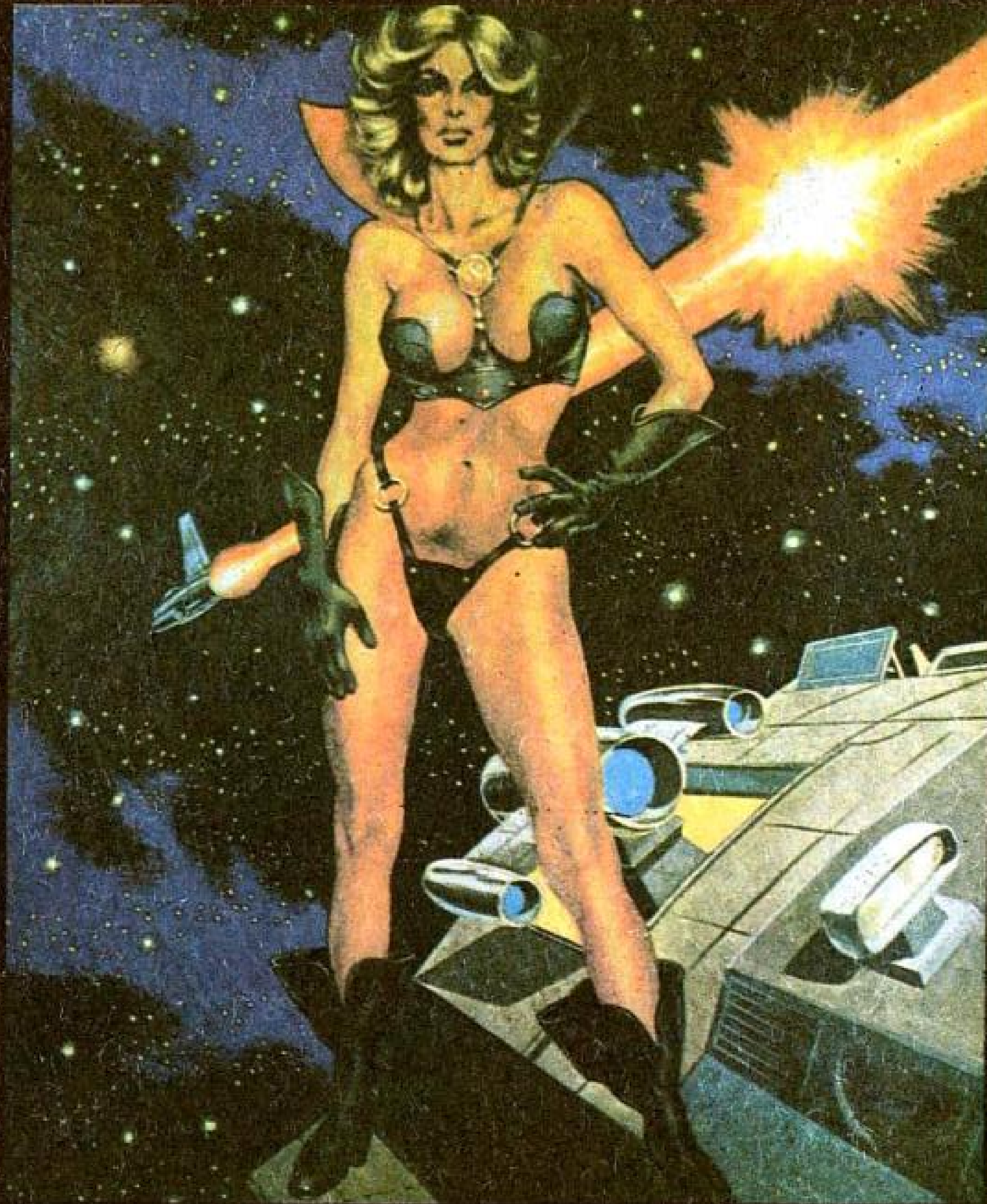
1.	2.	Philip K. Dick	– **Słoneczna loteria**	„Czytelnik"
2.	1.	Stanisław Lem	– **Solaris**	„Iskry"
3.	9.	Stefan Wul	– **Remedium**	„KAW"
4.	5.	Harry Harrison	– **Planeta śmierci**	„Czytelnik"
5.	4.	Maciej Parowski	– **Twarzą ku ziemi**	„Czytelnik"
6.	3.	Stanisław Lem	– **Niezwyciężony**	„Iskry"
7.	8.	Andrzej Krzepkowski	– **Śpiew kryształu**	„Wyd. Lubelskie"
8.	6.	Jacek Sawaszkiewicz	– **Kronika Akaszy**	„Wyd. Poznańskie"
9.	15.	Antologia	– **Spotkanie w przestworzach**	„KAW"
10.	10.	Peter Zsoldos	– **Zadanie**	„Iskry"
11.	–.	J. i S. Abramowowie	– **Wszystko dozwolone**	„Iskry"
12.	11.	Henryk Kurta	– **Dzień czerwonego giganta**	„KAW"
13.	7.	Kate Wilhelm	– **Gdzie dawniej śpiewał ptak**	„Czytelnik"
14.	12.	Aleksandra Szarłat	– **Bogowie naszej planety**	„KAW"
15.	14.	Janusz A. Zajdel	– **Ogon diabła**	„KAW"

Redakcja:

1.	–.	Janusz A. Zajdel	– **Limes inferior**	„Iskry"
2.	–.	Wiktor Żwikiewicz	– **Druga jesień**	„Wyd. Poznańskie"
3.	2.	Stanisław Lem	– **Solaris**	„Iskry"
4.	1.	Stanisław Lem	– **Wizja lokalna**	„Wyd. Literackie"
5.	4.	James G. Ballard	– **Wyspa**	„Czytelnik"
6.	8.	Andrzej Krzepkowski	– **Kreks**	„KAW"
7.	–.	Tadeusz Markowski	– **Tak bardzo chciał być człowiekiem**	„KAW"
8.	6.	Antologia	– **Spotkanie w przestworzach**	„KAW"
9.	–.	Maciej Parowski	– **Twarzą ku ziemi**	„Czytelnik"
10.	9.	Peter Zsoldos	– **Zadanie**	„Iskry"
–.	5.	Stanisław Lem	– **Śledztwo. Katar.**	„Wyd. Literackie"
–.	7.	Philip K. Dick	– **Słoneczna loteria**	„Czytelnik"
–.	–.	Mark Twain	– **Tajemniczy przybysz**	„Wyd. Literackie"

Houston, Houston...

James Tiptree



Jerzy Wróblewski

fantastyka